

Edmund Niziurski

Pięć manekinów

MON 1959

I. ANTONI BUJWID ŻURAWSKI CHCE SPAĆ

Antoni Bujwid Żurawski zmiął w palcach telegram. Wiadomość z Radomia była przykra i rozstroiła go całkowicie. Wiedział już, że będzie musiał wyjechać najbliższym pociągiem. Kiedy odjeżdża najbliższy pociąg? Zajrzał do notesu. Piąta trzydzieści rano. Wyjął złoty zegarek z kieszeni. Było kwadrans po dziesiątej. A więc może się jeszcze przespać. Powinien się przespać, dobrze się przespać przed tym, co go jutro czeka.

Sięgnął po szklankę. Zioła już przestygły. Wypił je duszkiem, odsapnął, zasłonił okna, ściągnął szlafrok i włożył do zimnej pościeli. Czy uda mu się zasnąć? Ostatnio lekarz zabronił mu używać środków nasennych. Pozostawały tylko ziółka na uspokojenie, długi spacer wieczorny i wata, którą codziennie wkładał na noc do uszu, żeby się izolować od sąsiada zza ściany.

Sąsiadem Antoniego Bujwida Żurawskiego był niejaki Leon Postur, młody plastyk, osobnik dziwaczego usposobienia, hałaśliwy, przykry i niezmiernie uciążliwy dla blisko siedemdziesięcioletniego emeryta. Pomijając osobliwy tryb życia, jaki prowadził malarz, jego bujne życie towarzyskie, częste odwiedziny przyjaciół płci obojga przeciągające się do późna w nocy, tupaninę, śmiechy, rżenia i inne produkcje wokalne. Leon Postur miał szczególne upodobania do wieczornych koncertów muzyki poważnej. Nie dalej jak tydzień temu urządził o godzinie dwunastej w nocy hałaśliwy przegląd swej muzycznej płytoteki, ze szczególnym upodobaniem kładąc pod igłę Ryszarda Wagnera. Przez dwie godziny potężne dźwięki tub, wrzawa kotłów i cała nawała instrumentów dętych znęcała się nad Antonim Bujwidem Żurawskim, który kurczył się i jęczał bezradnie w swym łóżku. Dopiero osobista interwencja i groźba poskarżenia się w administracji przerwały ten koszmar.

Dzisiaj na szczęście, za ścianą panowała cisza. Widocznie Postura nie było w mieszkaniu. Antoni Bujwid Żurawski ułożył się wygodnie, zgasił lampkę nocną i starał się nie myśleć o niczym. Nade wszystko zaś nie myśleć o telegramie. Jutro czeka go ta okropna podróż. Psiakrew, zapomniał nastawić budzik. Wygramolił się z łóżka. Budzik wskazywał dwadzieścia po dziesiątej. Nastawił go na pół do piątej i ułożył się z powrotem.

Już zaczynał pomału zapadać w objęcia Morfeusza, gdy wtem za ścianą rozległy się głośne kroki, po czym stało się to najgorsze: usłyszał muzykę, potężne tony Piątej Symfonii Beethovena. Jęknął i zaczął walić pięścią w ścianę. Nic nie pomogło. Muzyka narastała monstrialnie. Typowa dla młodzieży nieczułość czy też złośliwość zamierzona? Antoni Bujwid Żurawski wtulił się w poduszkę i czekał. Upływały minuty. Wreszcie rozległy się ostatnie akordy i muzyka ucichła. Antoni Bujwid Żurawski odetchnął i przewrócił się na drugi bok. Lecz w tej samej chwili dźwięki symfonii powtórzyły się od nowa. Łobuz za ścianą repetował.

Antoni Bujwid Żurawski sapiąc ze wzburzenia wyskoczył z łóżka, naciągnął szlafrok, wybiegł z pokoju i zastukał gwałtownie do drzwi sąsiada. Nikt nie odpowiadał. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Antoni Bujwid Żurawski znalazł się w ciemnym przedpokoju. Postąpił krok na oślep i nagle pośliznął się fatalnie. Uderzył głową o coś twardego. Zaskrzypiało. Ogarnął go zapach naftaliny. Stracił zupełnie orientację. Jakaś szorstka materia ocierała mu się o twarz. Kiedy się podniósł, jego wyciągnięte ręce natrafiły na politurowaną płaszczyznę, a potem na oślizłe paski jedwabnej materii. Co jest, do licha! Krawaty? Czyżby znajdował się w szafie? Cofnął się gwałtownie i potracił wieszaki. Jakieś szmaty spadły mu na głowę. Dysząc ogarniał się z nich w najwyższym zdenerwowaniu.

Zza drzwi dobiegały go wciąż podniosłe tony Beethovena. Kierując się słuchem namacał wreszcie drzwi. Nacisnął klamkę i stanął na progu. Spojrzał i wzdrygnął się nieprzyjemnie. W przyćmionym świetle zobaczył przed sobą pięć nieruchomych dziwacznie przebranych postaci. Dopiero po chwili zorientował się, że są to manekiny służące widać malarzowi za modele do jakiejś kompozycji. Chciał coś powiedzieć, ale niedawne emocje i ogólne wzburzenie odebrały mu głos.

Muzyka ucichła. Zdenerwowany baryton zapytał z głębi pokoju:

- Kto tam, do diabła?! A, to pan, sąsiedzie - głos przybrał miękkie, niemal przyjazne brzmienie.

Antoni Bujwid Żurawski obrzucił wściekłym spojrzeniem pokój. Spoza manekinów, w cieniu dekoracyjnej palmy, błysnęły ku niemu okulary Postura. Malarz siedział w głębokim fotelu ubrany w czarny szlafrok i beret takiegoż koloru. Z nogami założonymi na pluszowy taboret obcinał sobie nonszalancko paznokcie.

Na widok tej niedbałej pozy Antoni Bujwid Żurawski zatrzęsł się w pasji.

- To skandal! - wykrztusił.

- Chwileczkę, drogi sąsiedzie - przerwał mu łagodnie malarz. - Niech pan najpierw zdejmie sobie z ramion mój ręcznik. Wygląda pan w nim wprawdzie bardzo malowniczo, ale chyba nie przyszedł pan do mnie golić się.

Antoni Bujwid Żurawski zerwał z wściekłością ręcznik z ramion i rzucił go na podłogę.

- Czemu mogę zawdzięczać pana miłe odwiedziny? - zapytał ugrzecznym tonem Postur. - Widujemy się ostatnio tak rzadko.

- Za to słyszę pana codziennie. To mi wystarcza! - zasapał Antoni Bujwid Żurawski. - Mam tego dosyć! Protestuję kategorycznie. O tej porze obowiązuje cisza nocna, a pan mi tu nastawia diabelską muzykę.

- Przepraszam, to był Beethoven.

- Beethoven nie Beethoven, ja chcę spać. Ja mam chyba prawo spać. Czy pan wie, która godzina?

Leon Postur spojrział na zegarek.

- A rzeczywiście... Już po dziesiątej. Bardzo przepraszam. Pan mi wybaczy, ale chciałem zagłuszyć ból. Muzyka działa na mnie kojąco.

- Ból?! - wykrzyknął Antoni Bujwid Żurawski...

- Ból. Mały atak kamieni żółciowych... A propos. Czy zły starzec napije się wódki?

- Jak pan śmie proponować mi coś takiego! - zatrzęsł się Antoni Bujwid Żurawski. - To są kpiny!

- W takim razie może napijemy się ziółek?

- Co takiego?

- Fatalnie się czuję... Słyszałem, że pan uprawia z powodzeniem ziołolecznictwo. To bardzo ciekawe. Zachęcał mnie pan swego czasu do picia tych trucizn.

- Więcej tego nie zrobię - zasapał Antoni Bujwid Żurawski. - Pan sobie wtedy zażartował ze mnie. Użyczyłem panu w dobrej wierze ziół, a pan sobie z nich porobił nalewki alkoholowe, a potem udał pan otrutego w wannie i naraził mnie na kompromitację, gdy kierowany ludzkimi uczuciami i panie tego... miłosierdziem... zawezwałem Pogotowie.

- Jestem pełen skruchy, drogi sąsiedzie. Proszę mi wierzyć, że nie miałem złych intencji. Te smutne żarty wyniknęły z rozpacznej eschatologicznej. To samoobrona. Nieraz trudno mi się powstrzymać, szyderstwo przyłgnęło jak rzep do mojej natury.

- Czy z panem nie można rozmawiać poważnie?

- Jestem najzupełniej poważny - rzekł smętnie Postur. - I muszę panu wyznać, że mimo wszystkich kawałów ja naprawdę stosowałem pańskie znakomite ziółka i to z rezultatem jak najbardziej dodatnim. Właśnie dzisiaj naparzyłem resztę i, jeśli cokolwiek obchodzi pana wątroba nieszczęśliwego pacykarza, błagam, niech pan mi jeszcze naparzy czegoś dobrego.

Antoni Bujwid Żurawski chrząknął.

- Ziola nic panu nie pomogą, jeśli nie zmieni pan trybu życia. Do czego to podobne, pan się zrukuje.

- Ma pan rację. Świętą rację, panie Antoni.

Antoni Bujwid Żurawski spojrział na Postura podejrzliwie.

- Pan się zmienił.

- Usiłuję dopiero. Mądrości nie nabywa się od razu i trzeba za nią płacić. Psiakrew, co za ból!

- Powinien pan od razu położyć się do łóżka - mruknął Antoni Bujwid Żurawski.

- Och, to niemożliwe. Muszę jeszcze jechać na Bielany.

- Musi pan?

- Mam pewną sprawę do załatwienia. Ważną sprawę.

Antoni Bujwid Żurawski milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Dobrze, przyniosę panu ziółek - rzekł z namysłem - ale przedtem chciałem pana o jedno zapytać...

II. GODZINA 24.00, BIELANY, WILLA RETTINGERÓW

Apolonia Dopust, gosposia państwa Rettingerów, stała w hallu w nocnej koszuli i dygotała z przerażenia. Stary zegar wybił dwunastą. Apolonia Dopustowa przycisnęła ręce do piersi. Ta noc kosztowała ją dużo nerwów. Co robić? Państwo wyjechali, w całym domu jest tylko ta pannica na górze. A jednak trzeba będzie się zdecydować... Spojrzała w rozterce na drewniane schody wiodące na piętro i zaczęła wspinać się powoli. Stopnie trzeszczały nieprzyjemnie.

Z bijącym sercem stanęła przed drzwiami do mieszkania Krystyny Parytetówny i zastukała. Żaden szelest nie dochodził z wnętrza. Chwilę nasłuchiwała jeszcze, a potem zaczęła bić pięściami w drzwi z rozpaczliwą determinacją.

Wreszcie klucz zgrzytnął w zamku i na progu stanęła panna Parytetówna w szlafroku. Dopustowa spojrzała na nią zaskoczona. Coś ją uderzyło w jej twarzy... Ale co?

Parytetówna zauważyła to, poprawiła odruchowo włosy.

- Co się stało? Czemu się gosposia tak patrzy?

- Panienko... och, panienko... - głos uwiązał Dopustowej w gardle.

Wczepiła się drżącymi rękami w szlafrok Parytetówny i patrzyła z przerażeniem w dół schodów.

- To straszne! Jezus Maria!

- Ale co? Niechże się gosposia uspokoi, na miłość boską!

- Tam... tam ktoś leży, panienko.

- Gdzie?

- Za oknem...

- Kto?

- Jakiś mężczyzna.

- Co też gosposia.

- Jak Boga kocham, panienko... Za oknem... od sypialni... przy garażu...

- Przywidziało się gosposi. - Parytetówna starała się mówić spokojnie, ale głos jej zdrzął mimo woli.

- Nie, panienko, nie! Widziałam na własne oczy!

- Niemożliwe, kto tam mógłby leżeć?

- Nie wiem, nie wiem, panienko.

- Może jakiś pijak...

- Może pijak... - Dopustowa uspokoiła się nieco. - To prawda, że teraz wszędzie można spotkać pijaków. Zeszłej niedzieli rano w kościele znaleźli śpiącego pijaka w konfesjonale...

Zbiegły razem po schodach. Weszły do sypialni Rettingerów i wyjrzały przez okno.

- Niech gosposia zgasi światło, bo nic nie widać.

- Kiedy strach.

- No, niechże gosposia zgasi...

Gospodyni przeżegnała się i zgasiła światło. Parytetówna otworzyła okno. Wyjrzała i zaraz zatrzasnęła je z powrotem.

- Widziała panienka?

Parytetówna skinęła głową.

- Co robić, panienko?

- Drzwi wejściowe zamknięte?

- Tak.

Parytetówna wyszła do hallu.

- Gdzie gosposia ma klucz?

- Co panienka chce zrobić?

- Niech gosposia da klucz.

- Panienka chce do niego...

- Tak!

- O Jezu...

- Może to ktoś chory... Nie wolno go tak zostawić. Trzeba pomóc.

- O Jezu, panienko - wykrztusiła Dopustowa przyciskając ręce do piersi. - Niechże panienka pomyśli... W takie rzeczy nie trzeba się mieszać. Nigdy nic nie wiadomo. Może to tylko pijak... A może... Ja bym już lepiej zadzwoniła na milicję. To ich sprawa. Oni nawet nie lubią, jak się człowiek do takich rzeczy miesza. Zaczną się wypytywać, przyczepiać, podejrzewać... Panienka rozumie.

Parytetówna milczała, patrząc na gospodynię w rozterce.

- Może i Dopustowa ma rację... - rzekła po chwili nieswoim głosem - lepiej od razu zadzwonić na milicję.

Dopadła do telefonu i podniosła słuchawkę.

Sierżant Fiołek z Komendy Dzielnicowej MO - Żoliborz i kapral Paprocki zsiadli z motoru pod domem numer 77 na ulicy Zuga. Sierżant spojrzął, na zegarek.

- Pierwsza dwadzieścia - mruknął i rozejrzał się dokoła.

Ulica była pusta i mroczna. Słabe światła latarni gazowych ledwie były widocznie we mgle.

- To tu - kapral pokazał na oświetlone okno za drzewami.

Sierżant Fiołek pchnął skrzypiącą, zardzewiałą furtkę. Znaleźli się w małym ogrodzie. Opadłe liście chrzęściły im nieprzyjemnie pod stopami. Był dopiero dwudziesty pierwszy września, ale w ogrodzie Rettingerów pachniało już jesienią.

W drzwiach willi stała młoda kobieta.

- Pani Parytet? - zapytał Fiołek.

- Tak.

- To pani dzwoniła?

- Tak.

- Gdzie leży ten człowiek?

- Z tamtej strony domu, pod oknem.

- Pani go oglądała?

- Tylko przez okno.

Sierżant Fiołek skinął w zrozumieniu głową. Kobiety boją się takich rzeczy.

- A może przywidziało się pani? - pociągnął nosem kapral Paprocki.

- Nie, z pewnością nie.

Milicjanci ruszyli wzdłuż ściany... Po przeciwnej stronie willi znajdował się duży garaż, jego dach służył za taras dla mieszkańców piętra.

- Patrz lepiej pod nogi - mruknął Fiołek zatrzymując się przed wejściem do garażu. - Garaż był niedawno odmykany - zauważył cicho. - Nie ma liści pod drzwiami, zostały zgarnięte skrzydłem drzwi.

Błyskając latarkami obeszlili garaż. Za rogiem willi, pod oknem, leżał na wznak młody mężczyzna w gabardynowym płaszczu. Sierżant Fiołek poświecił mu w oczy, pomacał puls. Ręka była zimna i sztywna.

- Gotowy - mruknął.

Chwilę przypatrywał się zmarłemu, po czym wyjął mu portfel i obejrzał dokumenty.

- Zostaniesz przy nim do czasu przybycia ludzi ze śledczego - powiedział do kolegi.

- Mokra robota?

- Diabeł wie. Rany nie widać, ale sprawa mętna.

W hallu oczekiwały na milicjantów dwie kobiety. Fiołek chrząknął i zmierzył je uważnym spojrzeniem.

- Leon Postur, zamieszkały na Saskiej Kępie. Kastylijska 7. Czy to nazwiska jest paniom znane?

Z ust Parytetówny wydarł się zdławiony okrzyk.

- Leon! To niemożliwe. Boże! Co mu się stało?

- Nie żyje.

Parytetówna rzuciła się do drzwi. Filip zatrzymał ją i odprowadził na fotel.

- Do czasu przybycia władz śledczych zechcą panie pozostać w domu.

- Śledczych - wybełkotała Dopustowa. - Matko Najświętsza! Tego jeszcze brakowało.

Sierżant Fiołek podszedł do telefonu. Zanim jednak nakręcił numer, rozległ się krzyk Dopustowej.

- Panienko! Co pani! Jezus Maria, zemdlą!

III. START HIPOLITA ŻURKI

Porucznik Hipolit Żurko wyskoczył z samochodu i energicznie rozepchnął tłum gapiów, którzy mimo niedzieli i wczesnej godziny zatarasowali dojście do willi Rettingerów.

Warkot samochodu poderwał sierżanta Fiołka. W zbliżającym się oficerze rozpoznał Żurkę i obciągnął z zadowoleniem mundur. Kiedy taki sławny oficer jak Żurko bierze się do roboty, to znaczy, że sprawa jest dużego kalibru. Sierżant Fiołek zawsze marzył o uczestnictwie w sprawie dużego kalibru. To wielka szansa, że akurat jemu, Fiołkowi, przypadło zabezpieczenie zwłok. Jeśli Żurko będzie zadowolony, może z tego wyniknąć awans i przeniesienie. Fiołkowi chodziło nie tyle o awans, ile o przeniesienie. Sierżant Fiołek miał swoje ambicje. Pracować w Komendzie Głównej u pułkownika Wadery - to było życiowe marzenie sierżanta Fiołka.

Wyprężywszy się, chciał złożyć meldunek, ale Żurko machnął niecierpliwie ręką.

- Potem, sierżancie. Najpierw zróbcie porządek z tą widownią na ulicy. Do czego to podobne!

Sierżant ruszył do parkanu.

- Słyszeliście, co pan porucznik rozkazał? Już was nie ma, bo, jak Boga kocham, wezmę na przesłuchanie.

Tłum wyrostków rozchodził się niechętnie. Tylko dwu z nich zostało przy parkanie. Oparci leniwie o siatkę przyglądali się Fiołkowi beczelnie.

Fiołek wydał groźny pomruk i doskoczył do nich.

- A wy co za jedni? Tu nie cyrk! Zmiatać, bo na przesłuchanie wezmę!

Wyrostek o długach rzęsach przymrużył oczy.

- Nie bądź pan taki silny. Tam sobie stoim, gdzie mamy życzenie.
- Odejdziecie czy nie?
- Raczej chyba nie.
- A ty chuliganie bezczelny!

Fiołek wytoczył się z ogrodu przez furtkę.

- Pójdziecie, obywatele, za mną.
- Z miłą chęcią.
- Spiszemy protokół.
- Proszę bardzo. - Wyciągnęli dowody. Fiołek zamrugał oczyma. Spojrzał podejrzliwie na wyrostków.
- Wy w tym coś macie?
- Może i mamy.

Od strony ogrodu zbliżał się Żurko.

- Co to za jedni? - zapytał Fiołka. - Czego oni chcą?
- A tacy tam... nie chcieli się rozejść. Zatrzymałem za opór stawiany władzy. A w ogóle podejrzani - obejrzał dowody osobiste. - Nazywają się Henryk Miałek i Wacław Zbąszyński... Zbąszyński to ten z rzęsami jak panna.
- Co z wami? - zapytał Żurko ostro.
- Myśleliśmy, że może pan porucznik będzie. chciał porozmawiać z nami - uśmiechnął się Zbąszyński.
- Ja? A to dlaczego?
- Może by coś zaciekało pana porucznika.
- Chcecie złożyć zeznania w sprawie zabójstwa?
- I w tej, i może w innej.

Żurko zawahał się. Wątpił, czy usłyszy coś ciekawego.

- No, słucham - spojrzał na zegarek.
- Złożym wdechowe zeznanie, ale pan porucznik najpierw wysłucha, z czym przychodzimy. Rozchodzi się o rure wydechowe.
- O co? - uniósł do góry brwi Żurko.
- O rure wydechowe.
- Od wufemki - uzupełnił drugi. - Faktycznie rozchodzi się o to, żeby ta rura była nam zwrócona.
- Nic nie rozumiem.
- Rozchodzi się o to, że funkcjonariusz milicji zabrał nam rure wydechowe na Wolskiej pod pedeciakiem. I w taki sposób zdemontował nam motor, który był na chodzie.
- Bez głupich bredni. Ja nie mam czasu.
- Za przeproszeniem, było tak, Heniek, czy nie, jak Boga...
- Ma się rozumieć, było, ja to panu porucznikowi wyjaśnię. Przejeżdżaliśmy wufemką koło pedeciaka na Woli, może cokolwiek za głośno, bo faktycznie rura wydechowa cokolwiek nawalała...
- Ale trzymało się wszystko. Podwiązane było drutem - wtrącił Zbąszyński.
- A tu nas funkcjonariusz zatrzymuje - podjął znów Miałek - funkcjonariusz nas zatrzymuje z pretensjami, że hałasuję. Ja tłumaczę, że do warsztatu na Karolkową właśnie zaiwaniamy względem tego uszkodzenia rury. Ale on zabiera się do kontroli stanu technicznego. Jak kontrol, to kontrol. Motor chodzi na medal, tylko ta rura. Spokojne jesteśmy i z czystym sumieniem czekamy. A funkcjonariusz do rury się zabiera, drut odkręca, maca, obłapuje. I mówi, że stan techniczny nieodpowiedni. Mandat chce pisać. Zdenerwował przez to kolegę, który jest wrażliwy, kolega niechcący bieg trącił i motor wyrwał do przodu, a

rura została w ręku funkcjonariusza milicji i znajduje się w tymże ręku do dziś, a milicja szuka motoru.

- Niechący bieg trącił - Żurko uśmiechnął się pobłaźliwie i krzyknął:
- Kogo chcecie na to nabierać? Mnie?!
- Jak Boga kocham, niechący, ze zdenerwowania.
- Dlaczego nie wróciliście?
- Strach nas obleciał, że nie dałoby się parna władzy przekonać, że to niechący.

Wolelim nie ryzykować.

- Po diabła więc mi to wszystko opowiadacie?
- Może pan porucznik będzie mógł wytłumaczyć wszystko, jak było, i załatwić, żeby nam rurę zwrócili i umorzili sprawę.

- Jakże ja mogę coś takiego.
- Pan porucznik dowie się za to czegoś ciekawego o tym morderstwie...

Żurko nastroszył się. W pierwszej chwili chciał ich obu zwymyślać za tak bezczelną propozycję, ale zreflektował się.

- Wy i tak wyśpiewacie wszystko.
- Śpiewać możemy dużo - uśmiechnął się pięknorzęsy - ale nie wiadomo, czy to wyjdzie panu na zdrowie.
- Zabrać tych ptaszków! - zwrócił się zdenerwowany Żurko do Fiołka.
- Spokojnie, rączki przy sobie! - krzyknął pięknorzęsy. - Pan nas aresztuje? Za co?
- Za próbę przekupstwa.
- Jakie przekupstwo, my tylko żartowaliśmy...
- Bobrze... dobrze... wytłumaczycie się jutro.
- Noga! - krzyknął pięknorzęsy i obaj rzucili się do płotu, ale tam wpadli w ręce spacerujących po ulicy wywiadowców.

- Pożaluje pan tego - splunął w kierunku Żurki pięknorzęsy, kiedy go ładowano do milicyjnego wozu. - Tak się nie robi.

Żurko machnął zdenerwowany ręką i ruszył w głąb ogrodu.

Przy zwłokach Postura pochylał się ekspert Pluszak z termometrem.

Porucznik Żurko ściągnął rękawiczki i ujął trupa za rękę.

- Stężenie już postępuje? - zapytał eksperta.
- Zaczyna się dopiero. W tej chwili objęło już mięśnie żwaczy. Szczęki zwarły się zupełnie.

Żurko obrzucił szybkim spojrzeniem zwłoki.

- Tłusta plama na płaszczu - skonstatował krótko - krój kołnierzyka, wiązanie krawatu, rodzaj obuwia, ogólna czystość i elegancja i ta plama. Ciekawe. Ten szczegół jest obcy stylowi tego pana. Ciekawe.

Sierżant Fiołek wytrzeszczył oczy i spojrzał na Żurkę z podziwem.

- I ten zapach. Czujecie zapach, sierżancie?

Fiołek pochylał się nad zwłokami.

- Perfumy?

- A oprócz perfum?

Sierżant poruszył uważnie nozdrzami.

- Czysta wyborowa - zaryzykował.

- Nie.

- No to nic nie czuję, poruczniku.

- Macie w nosie polipy - rzekł ostro Żurko. - Sierżant z zatkany nosem nie powinien pracować w milicji.

- Tak jest.
- Udacie się do laryngologa.

- Tak jest.
- Od trupa czuć zapach materiałów pędnych - wycedził Żurko i wyprostował się sztywno.

Zaciekawiony sierżant ukląkł przy zwłokach.

- Porucznik ma rację. Faktycznie coś jak benzyna. Ale co do nosa, - to ja jestem normalny i w porządku. To obywatel porucznik ma nos nadzwyczajny. Wyjątkowa wrażliwość. Chciałem powiedzieć - nadczułość.

- Być może - Żurko włożył rękawiczki i spojrzał łagodniej na sierżanta. - No więc, jak tam było w nocy?

Sierżant Fiołek złożył szczegółowy meldunek. Wspomniał o tym, co zaobserwował przed garażem.

- Doskonale, sierżancie, złożycie zeznania do protokołu. Porozmawiamy jeszcze.

- Tak jest - sierżant Fiołek wyszczerzył zęby. Niewątpliwie był to wielki dzień w życiu sierżanta Fiołka.

Ekspert wyjął termometr.

- Ile? - zapytał go Żurko.

- Dwadzieścia cztery stopnie - odparł ekspert. Żurko spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma.

- Zwłoki stygną około jeden stopień na godzinę, zatem śmierć musiała nastąpić wczoraj o osiemnastej - mruknął. Ekspert potrząsnął głową.

- Nie. Zwłoki leżały na dworze. Noc była dosyć chłodna. Trzeba przyjąć, że w tych warunkach zwłoki stygły szybciej. W tempie co najmniej półtora stopnia na godzinę. Stężenie dopiero się rozwija. Śmierć zatem musiała nastąpić osiem, osiem i pół godziny temu.

- Około jedenastej wieczorem.

- Tak około dwudziestej drugiej trzydziści lub około dwudziestej trzeciej. Oczywiście to jest czas orientacyjny. W grę wchodzi jeszcze wiele czynników...

Przerwał, bo zauważył zbliżającego się Pajkerta. Szef ekipy ekspertów robił jak zwykle przygnębiające wrażenie. Ptasia zapadła twarz, żałobna czarna nie ogolona broda, krzywe cienkie odnoża i czarny niechlujny fartuch, za którym włókł się nie zapięty pasek, nadawały mu wygląd cierpiącego diabła.

- No i cóż, stary partaczu - uśmiechnął się Żurko. - Cożeś wyniuchał?

- Morderstwo,

- Jak go załatwili?

- Możliwe, że dostał po prostu w czapę, a potem skopano go. Na lewej skroni mały krwiak, a na brzuchu i piersiach liczne sińce.

- Hm - mruknął Żurko - i myślisz, że to spowodowało śmierć?

- Nie wiem, to dosyć niejasna historia. Obrażenia na pierwszy rzut oka wydają się raczej powierzchowne, guz słabo zaznaczony, a sińce niewielkie. Jednakże mogło nastąpić jakieś poważniejsze uszkodzenie organów wewnętrznych. Z pobiciem to nigdy nic nie wiadomo. Czasem facet leży we krwi, a nic mu nie jest. Czasem na odwrót - nie ma prawie śladów, a jest załatwiony. Są osobnicy specjalnie wrażliwi... Zdarza się, że facet ginie od zwykłego ogłuszenia. Ogłuszą, straci przytomność, leży, nikt go nie ratuje i po jakimś czasie jest gotów. To się zdarza w następstwie szoku lub zapaści. Chociaż...

- Chociaż co?

- Chociaż nie wykluczam nieszczęśliwego wypadku. Atak sercowy lub zwykłe potknięcie. Facet pada na kant muru czy chodnika i rozbija sobie głowę. Tu jest taka stercząca podmurówka, a niżej betonowe płyty.

- A te sińce na ciele?

- Mógł zastać pobity wcześniej, mógł ulec jakiemuś wypadkowi. Mógł go wreszcie atak zaskoczyć na schodach. Tu są takie schody wiodące na taras pierwszego piętra. Gość stoczył się ze schodów i porozbijał się.

- Ale przecież znaleziono go z drugiej strony domu. Jakies dwadzieścia kroków od schodów.

- Mógł dowlec się tam jeszcze.

- Do diabła, więc, jak zwykle u ciebie, na dwoje babka wróżyła - zadrwił Żurko. Fajkert nastroszył się.

- Nie lubię czarować. Zresztą ustalenie, czym zakatrupili tego biedaka, nie do mnie należy. Łapiduchy pokrajają go i orzekną. Niech ci wystarczy na razie, że śmierć jest podejrzana.

Do oficerów podszedł wywiadowca Drabek.

- Co tam, Drabek?

- Znalazłem papieros... Świeży niedopałek papierosa „Syrena” ze złotym ustnikiem, w kącie ogrodu pod drzewem.

- Czy to wszystko? - zapytał rozczarowany Żurko.

- Wszystko.

- To niewiele.

- Pozwolę sobie zauważyć, że ten niedopałek musiał być porzucony tej nocy. Do późnego wieczoru padał deszcz, a ten niedopałek jest suchy.

- No dobrze, dobrze, na bezrybiu i rak ryba - skrzywił się Żurko i kucnąwszy nad serwetą z folii zaczął oglądać przedmioty znalezione przy zmarłym. Nie było tam nic specjalnie interesującego: zegarek na rękę „Doxa”, chusteczka do nosa, moneta dziesięciogroszowa, papierosy „Grunwald”, zapalki, tuba olejnej farby, notes i portfel, a w portfelu kilka legitymacji, zaświadczeń i pokwitowań, jakiś wymięty list i cztery banknoty po dwa złote.

- Bardziej ciekawe jest to, czego przy zmarłym nie znaleziono - uśmiechnął się krzywo Pajkert.

Żurko skinął głową.

- Myślicie o walucie? Istotnie, waluty trochę skąpo, ale u takiego faceta nie powinno to dziwić. U malarzy różnie bywa. Gdyby to był rabunek, zabraliby i zegarek.

- Nie wiadomo. Są tacy, co biorą tylko gotówkę. A z gotówką ubogo u gościa. Osiem złotych i dziesięć groszy. Tak wygląda, jak by mu tylko zostawili na papierosy. Ale właściwie co innego miałem na myśli. Przy Posturze nie znaleźliśmy kluczy, a wydaje mi się, że ludzie w płaszczach powinni mieć w kieszeniach klucze. Nie uważasz, Hipek?

Żurko grzebał się wśród znalezionych rzeczy.

- To jeszcze o niczym nie świadczy.

- A jednak zdaje mi się, że ten facet powinien mieć klucze - mruknął z przekonaniem Pajkert. - Mieszka na Kastylijskiej na Saskiej Kępie, kawaler, powinien mieć klucze do swego mieszkania. No i okulary.

- Okulary? - zdziwił się Żurko.

- Zobacz tutaj - Pajkert pokazał mu legitymację związkową Postura - facet ma na zdjęciu szkła, tymczasem znaleźliśmy go bez okularów.

- Mógł zostawić je w domu.

- Mógł... W każdym razie należałoby sprawdzić.

Ale Żurko nie słuchał go. Z zaciekawieniem rozprostowywał pognieciony list. Była to połówka kartki żółtego maszynowego papieru.

- Wygląda, jak by ktoś ją zmiął ze złością i chciał wyrzucić, ale potem rozmyślił się i schował do portfela. Czytałeś? - zapytał Pajkerta.

- Owszem. Treść dosyć wymowna. Za bardzo nawet wymowna jak na mój gust.

Żurko ujął ostrożnie kartkę, żeby nie uszkodzić ewentualnych odcisków daktyloskopijnych, i przeczytał półgłosem:

- Leon, zostaw Krystynę. Nie lubię takich numerów i, jak Boga Kocham, na drugi raz odstawię do parku sztywnych. Piotr Mohylny.

List był pisany na maszynie łącznie z podpisem i nosił datę siódmego września.

- Nie podoba ci się ten list, co? - zapytał Pajkerta.

- Nie.

- Pachnie lipą.

- Dostyc wyraźnie.

- W każdym razie warto odszukać tego Piotra Mohylnego.

- Sądzisz, że to on jest mordercą? Zbyt łatwe jak na mój gust.

- Czasami zdarzają się także łatwe sprawy.

- Ta z pewnością nie będzie łatwa - powiedział Pajkert. - Ten list jest lipny.

- Za bardzo jesteś wyrafinowany - uśmiechnął się Żurko. - Zresztą sfałszowany list często jest cenniejszy w śledztwie niż prawdziwy. Falszerek jest zawsze podejrzany. A wyświetlenie motywu skłaniającego go do fałszerstwa często jest równoznaczne z wyświetleniem całej sprawy.

- W każdym razie masz szczęście, Hipku. Taka poszlaka w kieszeni zwłok! Gotowy start.

- Tak - rzekł zadowolony Żurko - odciski palców i ekspertyza czcionek powinny mnie urządzić... Ale wejdźmy pod dach, znów zaczyna kropić - urwał nagle, bo na ścieżce zauważył kapitana Trepkę.

Starszy pan kroczył pod wielkim parasolem angielskim, który nabył na giełdzie marynarskiej podczas ostatniego pobytu w Gdyni. W długiej czarnej jesionce i wielkim kapeluszu na głowie przypominał osobę duchowną.

Żurko zaklął pod swoim długim nosem. Obecność szefa Specjalnego Oddziału Doświadczeń i Studiów przy Komendzie Głównej MO, czyli tak zwanego SODIS-u napelniała go pewnym niepokojem. Nie podzielał wprawdzie dość rozpowszechnionego wśród oficerów Komendy Głównej poglądu, że pojawienie się Trepki w jakiejś sprawie wróży jej ciężki przebieg, tragiczne powikłania i generalną kompromitację dla prowadzących śledztwo - porucznik Żurko zbyt wierzył w swój nos i nieprzeciętne zdolności, by brać poważnie tego rodzaju przesady - jednakże udział SODIS-u w tej fazie śledztwa uważał za zbędny i kłopotliwy i musiał potraktować go jak wyzwanie.

Był jednak zbyt ambitny, żeby nie podjąć rękawicy. Założywszy więc swoim zwyczajem kciuki za pas, wydobyl nieszczery uśmiech na sine wargi i rzekł głośno:

- Doprawdy, kapitanie, jestem głęboko zaszczycony.

- Jak się macie, przyjacielu Żurko? - zapytał kapitan. - Cieszę się, że was spotykam. Szalenie lubię współpracować z wami. Nasza współpraca była zawsze owocna, że wspomnę tylko „Przystań Eskulapa”.

Żurko skrzywił się na to wspomnienie, jakby go nagle zabolął ząb, i na moment odczuł nieprzyjemny skurcz szczeki.

Opanował się jednak i rzekł:

- Przejdźmy może lepiej od razu do willi. Trzeba rozpocząć wstępne przesłuchania.

IV. APOLONIA DOPUSTOWA

Żurko i Trepka rozglądali się po zamożnie urządzonej wnętrze. Z głębi mieszkania dochodziło żalosne miauczenie kota.

Gospodyni stała w hallu jak słup, ocierając ręce o fartuch.

- Panowie względem czego? - zapytała nieufnie.

- Milicja - rzekł krótko Żurko. - Niech pani siada. Chcieliśmy zadać pani kilka pytań.

- Jużem powiedziała sierżantowi, że nic nie wiem. Niech panowie lepiej idą do panienki.

Żurko zignorował tę propozycję.

- Pani jest sama w domu?

- Tak. Państwo wyjechali do Krynicy, po tym nieszczęściu, co ich spotkało.

- Po jakim nieszczęściu?

- Ano syna im zamknęli. W domu poprawczym zamknęli, a on tam wziął i się utopił - gospodyni szczęśliwa, że może ominąć temat zbrodni, rozwinęła swoje niewątpliwe talenty gawędziarskie.

- Jedyne dziecko pana, bo pani Rettingerowa to nie matka Andrzeja... tylko, jak to mówią, macocha. Pierwsza żona pana Rettingera umarła w czasie wojny i zostawiła po sobie sierotę. Przystojny chłopak, chociaż łobuz... O, łobuz, zaniedbane dziecko, panie... i tak skończył...

Żurko skrzywił się i postanowił przystąpić do rzeczy.

- W jaki sposób odkryła pani ciało Postura? - przerwał jej nagle.

Dopustowa umilkła na chwilę.

- Ano, zwyczajnie. Wyrzesałam przez okno, patrzę, a tu leży...

- Która to była godzina?

- Właśnie wybiła dwunasta.

- To pani nie spała do dwunastej?

- Dlaczego miała nie spać? Spałam.

- Gdzie pani sypia?

- W kuchni, za kotarą.

- Zaraz. Trup przecież leżał za oknem sypialni Rettingerów, pani spała w kuchni, więc jak to się stało, że pani go zobaczyła?

Dopustowa poruszyła się niespokojnie na krześle.

- Sen miałam - rzekła niechętnie.

- Sen?

- Najpierw, proszę panów, to śniła mi się procesja... Szłam i śpiewałam. Nagle zorientowałam się, że to nie procesja, ale pogrzeb męża. Potem zostałam sama i płakałam nad grobem męża, w Płocku. Nagle zza pomnika wyszło czterech czarno ubranych mężczyzn w rękawiczkach... Zaczęłam uciekać, ale dogonili mnie, rozebrali, związali i zaczęli na sznurze spuszczać na dół... coraz głębiej i głębiej... Ni to do grobu, ni do studni....

- Dostyc - przerwał jej Żurko z niesmakiem. - Niech pani mówi do rzeczy.

- Przecież mówię... żywcem mnie grzebali, potem była wojna i terkotały karabiny maszynowe... Zerwałam się z łóżka...

Miauczenie kota wzmagało się coraz bardziej. Żurko zasapał zdenerwowany.

- Co jest z tym kotem? - wstał, otworzył drzwi do kuchni i zdębiał.

W klatce kanarka zawieszanej na ścianie szamotał się czarny, wielki kot miaucząc żałośnie.

- Co to ma znaczyć?! - krzyknął. - Pani trzyma kota w klatce?

- To za karę... - mruknęła Dopustowa - zły duch w niego wstąpił.

- Zjadł kanarka? - zapytał ciekawie Trepka.

- Nie, kanarka to już dawno nie ma.

- Cóż więc zjadł kot?

- Pół ćwiartki masła, kotlet schabowy i stłukł słoik śmietany.

- Niezwykły apetyt - uśmiechnął się Trepka.

Zdenerwowany Żurko podszedł do klatki i otworzył drzwiczki. Kot miauknął przeraźliwie i dał susa prosto w twarz porucznika. Porucznik złapał się za policzek.

- Podrapał mnie bestia. To pani wina. Pani go rozbawiła! - krzyknął na Dopustową. - Pani znęca się nad zwierzętami! Kto to widział zamykać kota w klatce! - ocierał krople krwi chusteczką,

Dopustowa zmierzyła go złym wzrokiem.

- Jak mi co zje, pan będzie odpowiadał.

Żurko wrócił wściekły do hallu.

- Dostyc już snów i kotów. Niech pani nareszcie zacznie zeznawać do rzeczy... W jaki sposób znalazła pani trupa?

- Przecież zeznaję. Miałam ten sen. - Śniło mi się...

Żurko jęknął i spojrział bezradnie na Trepkę, biorąc go za świadka swych udręk śledczych.

- Prowadźcie dalej przesłuchiwanie tej obywatelki, ja już nie mogę.

Trepka pogłaskał się po łysinie.

- Zaraz, dziecino - zwrócił się do Dopustowej - stanęliśmy na tym, że pani zerwała się z łóżka...

- Zerwałam się przestraszona. Zapaliłam światło i ze strachu obeszłam wszystkie pokoje... i sprawdziłam, czy okna są dobrze zamknięte. Wciąż o tym myślę, czy wszystko jest dobrze zamknięte. Pan chyba rozumie, człowiek sam w całym mieszkaniu, a sny miałam niedobre już od trzech dni i bałam się, żeby mi się coś nie wyśniło. Ale uspokoiliłam się, bo wszystkie okna były zamknięte.

- W sypialni też?

- Też.

- Zaraz, dziecino - zakaszłał Trepka - pani przecież mówiła, że zobaczyła trupa przez okno. Ale jak pani go mogła zobaczyć, kiedy na dworze było zupełnie ciemno, a w pokoju paliło się światło.

Dopustowa zmieszła się.

- Otworzyłam okno i wyjrzałam.

- Dlaczego? Przecież pani miała tylko sprawdzić, czy jest zamknięte.

- Tak, ale za oknem był kot. Miauczał za szybą.

- Znów kot - jęknął Żurko. - Oszaleć można!

- Jak to, kot? - zapytał zdumiony Trepka. - Przecież kota trzymała pani od trzech dni w klatce.

- Tak, ale tej nocy uciekł.

- Żle pani widać zamknęła klatkę, dziecino.

- Klatkę i drzwi - dodał zirytowany Żurko. - A w ogóle, moja pani, dosyc tych bajeczek! Bajeczki o kotach to pisał pan Jachowicz. Pani nie ma do tego talentu. Dlaczego pani zmyśla te wszystkie historie? Niech pani od razu powie. Zbudziły panią kroki, ktoś był w mieszkaniu i wyskoczył przez okno.

- O Jezu, co też pan! - przestraszyła się Dopustowa.

- Spokojnie, poruczniku - zakaszłał Trepka. - Bez sugestii. Ustalmy najpierw podstawowe fakty. Pani wychodziła gdzieś tego wieczoru? - zwrócił się do gospodyni.

- Tak... Byłam u chrześniaka na Ochocie. Jeżdżę tam co sobotę...

- O której godzinie pani wróciła?

- Nie wiem. Nie patrzyłam na zegar. Ale chyba była jakaś dziewiąta, bo o ósmej wyjechałam od Jurka.

- Nie zauważyła pani, czy ktoś obcy kręcił się koło domu?

- Nie. Nikogo obcego nie zauważyłam... tylko jak szłam od tramwaju, to minęli mnie pan Mohylny i pan Melassa, znajomi panienki.

- No dobrze, a kiedy wróciła parana Parytetówna?

- Tego nie wiem, bo zaraz poszłam spać, nic nie widziałam i nie słyszałam, dopiero w nocy... to już pan wie.

- Wiem. Sen i kot - skrzywił się Żurko.

Dopustowa spojrzała na niego ze złością.

- Ale my nie będziemy na razie mówić o kocie. Niech nam pani lepiej coś powie o Posturze. Pani go dobrze знаła?

- Dobrze nie dobrze. Wiem, że mieszkał w jednym domu z panem Mohylnym. Tyle że przychodził do panienki...

- Narzeczony?

- Ja już tam wolę nie mówić. Nie moja rzecz. W każdym razie miał klucze od jej mieszkania i przychodził, kiedy chciał, bez krępacji.

- Miał klucze, a to ciekawe - Trepka zakaszał. - Czy przy zwłokach znaleziono klucze?

- Nie, żadnych kluczy - odparł z naciskiem Żurko.

- Może zostawił w mieszkaniu.

- Trzeba sprawdzić, ale raczej wątpię... w tych okolicznościach, przecież właśnie szedł do Parytetówny, na to w każdym razie wygląda...

- Hm... a tamtych dwu? - zapytał Trepka Dopustowej.

- Pan Mohylny i pan Melassa? Też przychodzili, ale bez kluczy.

Żurko stłumił uśmiech,

- To młodzi ludzie?

- Pan Mohylny w wieku panienki i też student, tylko na AWF. A pan Melassa to znowu rówieśnik nieboszczyka Postura. Koło trzydziestki. Osobliwego wyglądu... Może się śnić po nocach. Ale jak to mówią, każda potwora znajdzie swego amatora.

- Gdzie mieszka?

- U ciotki na Żoliborzu, Słowackiego 2. Znam ich jeszcze sprzed wojny. Jego ciotka trzyma budkę z gazetami na Powązkach.

- Czy ktoś jeszcze odwiedzał Krystynę Parytet?

- Czasem jakieś koleżanki, ale ona wolała męskie towarzystwo.

- To już chyba na razie wszystko - Żurko wstał zadowolony.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział Trepka. - Jak wyglądała Krystyna Parytet, kiedy pani poszła ją obudzić?

Dopustowa spojrzała na niego zdziwiona.

- Jak miała wyglądać... Zwyczajnie, była przestraszona.

- Czy była ubrana?

- Nie, rozebrana, wyszła w szlafrocuku.

- I nic panią nie uderzyło w jej wyglądzie? - nalegał Trepka. - Niech sobie pani przypomni.

- Nie, nie, chyba tylko... - Dopustowa zawahała się - chyba tylko to, że wyglądała ładniej niż zwykle.

Żurko machnął zniecierpliwiony ręką.

- Czy tędy można przejść do tej panny? - pokazał na schody wiodące z hallu na górę.

- Można, panowie zastukają w drzwi na prawo, bo na lewo są drzwi od strychu.

- Idźcie pierwsi, kapitanie - powiedział Żurko. - Ja jeszcze wyskoczę wydać dyspozycje. Na podwórzu wezwał do siebie wywiadowcę Sojkę.

- Sojka, udacie się natychmiast na ulicę Słowackiego 2 i sprowadzicie nam niejakiego Tadeusza Melassę.

- Tutaj?

- Nie, do mieszkania denata. Saska Kępa, Kastylijska 7. Ja zaraz tam jadę.

- Tak jest, poruczniku - zanotował Sojka.

V. KRYSZYNA PARYTET

Piękna dziewczyna o jasnych włosach, uczesanych, „na urwisa”, patrzyła uważnie wielkimi oczyma na wchodzącego Trepkę.

- Proszę, pan pozwoli dalej - rzekła cicho. - Może herbaty lub kawy?

- Dziękuję, dziecino, niestety nie wolno nam pijać niczego w podobnych okolicznościach - zakaszał Trepka, stawiając parasol pod wieszakiem. - Ale chętnie zdejmę płaszcz.

- Proszę bardzo.

Przeszli do pokoju.

- Okropną pogodę mamy, dziecino... a do tego ten smutny wypadek. Chciałem pani złożyć wyrazy współczucia.

Na twarzy dziewczyny nie drgnął ani jeden muskuł. Wpatrywała się w Trepkę uważnie.

- Pani jest bardzo opanowana. To dobrze, dziecino - rzekł Trepka rozsiadając się wygodnie w fotelu - to cenne w pani przyszłym zawodzie. Pani ma zamiar zostać aktorką, nieprawdaż?

- Bardzo przepraszam - odezwała się dziewczyna - ale sądzę, że nie przyszedł pan rozmawiać ze mną na tematy teatralne. Przystąpmy od razu do rzeczy.

W tym momencie na progu stanął porucznik Żurko. Musiał słyszeć ripostę dziewczyny, bo uśmiechnął się złośliwie.

Trepka pogładził się zakłopotany po łysinie.

- Przystąpimy od razu do rzeczy - powtórzył Żurko dziwnie miękkim głosem.

Chrząknął i poprawił krawat. Urok dziewczyny działał i fuszer Starzał się być elegancki. - Mam nadzieję, że pani nie weźmie nam za złe tego rannego najazdu. To niezbędna formalność związana ze śmiercią człowieka. Znajomego człowieka...

- Dlaczego on to zrobił... Boże, dlaczego on to zrobił... - wyszeptała Parytetówna.

Żurko drgnął i spojrzał na Trepkę.

- Więc sądzi pani, że to samobójstwo?

- A co mogłoby być innego?

Żurko spuścił głowę.

- Och! - oczy dziewczyny rozszerzyły się przerażeniem. - Nie myśli pan chyba...

Jeśli teraz gra, to będzie kiedyś doskonała na scenie - pomyślał Żurko, a głośno powiedział:

- Niestety, musimy wykluczyć samobójstwo i nieszczęśliwy wypadek, są pewne poszlaki... Dlaczego jednak pomyślała pani o samobójstwie?

- Nie wiem, po prostu trudno mi było uwierzyć, żeby ktoś... Za co? Dlaczego?

- Tego właśnie chcemy się dowiedzieć od pani.

- Ode mnie?

- Pani go dobrze znała?

- Czy ja go znałam? - powtórzyła dziewczyna. - Czy jego w ogóle ktoś znał? To był bardzo dziwny człowiek.

- W jakim sensie?

- Był taki nierówny, chorobliwie nerwowy, zmieniał stale upodobania i...

- I co?

- Nic - urwała. Znowu była opanowana. - Po prostu był artystą. Kapryśnym artystą.

Wystarczy zobaczyć, co malował i jak malował.

- Czy miał jakichś wrogów?

- Och nie, skądże! Pan mnie źle zrozumiał. Wprost przeciwnie, ludzie mieli do niego dziwną słabość, był bardzo interesujący w towarzystwie... właśnie przez swoje wyskoki i zmienność. Widzi pan, dziś tak się mało wymaga od ludzi. Wystarczy, jeśli ktoś nie jest nudny, ma trochę czasu, no i oczywiście waluty...

- Czy Postur był dobrze sytuowany?

- Tak. On, widzi pan, prowadził dwutorową działalność artystyczną. Z jednej strony uprawiał malarstwo eksperymentalne, bardzo zresztą ciekawe, a z drugiej - plastykę zarobkową, jeśli można tak powiedzieć. Malował plakaty i zajmował się stroną artystyczną naszych stoisk na targach zagranicznych. Ostatnio w Salonikach, w Grecji Ale dlaczego pan pyta?

- Szukamy motywów zbrodni. Być może morderstwo miało tło rabunkowe. Czy tego wieczoru Postur mie miał przy sobie większej sumy pieniędzy?

- Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? - zdumiała się Parytetówna. - Przecież go nawet nie widziałam.

- Nie widziała go pani? - Żurko uniósł do góry brwi. - Sądziłem, że...

- Nie widziałam się z Leonem od tygodnia - rzekła sucho. - Ostatnio... ostatnio nasza znajomość właśnie się zerwała.

- Nazwisko tej kobiety?

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - spojrzała na Żurkę ze złością.

Żurko stropił się. Był zły na siebie, że wyszedł z roli i dał się ponieść temperamentowi. Metoda zaskoczenia tu nie skutkowałą.

Trepka zakaszłał ostentacyjnie.

- To bardzo nieładnie ze strony pana Postura - podjął - że nie zwrócił pani kluczy.

Dzisiejsza młodzież nie zna się na zasadach *savoir vivre*.

Parytetówna zaczerwieniła się i przygryzła wargi.

- Tak, to było świństwo - przyznała.

- A może tylko zdolność przewidywania? - zapytał Żurko.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Przewidział, że wróci do pani. I wrócił.

Oczy Parytetówmy zabłysły.

- Ten żart, poruczniku, jest w złym stylu.

- Ja nie żartowałem, a jeśli się pomyliłem, proszę mnie poprawić. Więc to nie był powrót?

- Sprawa wyglądała tak. Wczoraj rano Leon zatelefonował do mnie, że chce mnie koniecznie odwiedzić, że wszystko wyjaśni i naprawi. Wahałam się, ale tak nalegał, że zgodziłam się. Powiedziałam, żeby przyszedł o dziewiątej. Zawsze w sobotę o dziewiątej urządzałam mały wieczorek dla przyjaciół. Mieli być na nim jak zwykle Mohylny i Melassa. Leonowi to jednak nie bardzo odpowiadało. Powiedział, że chce się ze mną zobaczyć w cztery oczy, że ma dla mnie dwie miłe niespodzianki, i zapytał, czy by nie mógł przyjść wcześniej. Umówiliśmy się więc na godzinę pół do szóstej. O czwartej, jak zawsze w sobotę, miałam lekcję śpiewu u profesor Olewiczowej na Nowym Świecie. W trakcie lekcji otrzymałam nowy telefon od Leona. Dzwonił, że był u lekarza, że miał mały atak, coś z wątrobą czy woreczkiem żółciowym, że fatalnie się czuje i że przyjdzie do mnie dopiero o jedenastej. Prosił, żebym się nie gniewała, że za to ma dla mnie wspaniałą wiadomość. Wiadomość była istotnie wspaniała. Leon mówił o mnie z reżyserem Kaliną i Kalina wyraził chęć zaangażowania mnie do nowo organizowanego kabaretu „Hades”. Oczywiście bardzo się ucieszyłam. Ta sprawa wałkowała się już od dawna. Pan rozumie, pierwsze w moim życiu engagement! No, a Kalina ma doskonałą markę. Leon, poradził mi, żebym zrobiła się na bóstwo i żebym udała się do Teatru Powszechnego na pół do ósmej, na sztukę Salacrou „Nieznajomy z Arras”. Tam spotkali się z reżyserem Kaliną. Błagał mnie tylko, żebym nareszcie pozbyła się „końskiego ogona”, bo Kalina nie znosi tego uczesania. Musiałam mu obiecać, że pójde natychmiast do fryzjera.

Nie mogłam wytrwać do końca lekcji. Tak fałszowałam i chrypiłam, że biedna profesorka uwierzyła w końcu, że mam gripę i zwolniła mnie przed czasem. Biegłam jak na

skrzydłach. Bałam się, że nie zdążę, bo pan wie, jak to w sobotę z fryzjerami... A tu pod bramą czekał na mnie Pietrek Mohylny z biletami do kina. Nie mogłam się od niego odczepić. Odprowadził mnie aż do samego fryzjera. Dopiero kiedy mu wyjawiałam prawdę, zrezygnował z dotrzymania mi towarzystwa, ale widziałam, że był wściekły. Ledwie go ublażałam, żeby przeprosił w moim imieniu Melassę i zawiadomił go, że z wieczorku nici.

Ale u fryzjera były takie kolejki, że i tak się spóźniłam. Na szczęście Kalina uprzedził bileterów i wpuszczono mnie bez trudności. W antrakcie spotkałam się z Kaliną, no i było po zmartwieniach. Leon rzeczywiście dobrze przygotował grunt. Kalina odnosił się do mnie bardzo życzliwie i prawił mi komplementy, a kiedy przedstawienie się skończyło, zabrał mnie na kolację do SPATiF-u i tam omówiliśmy wszystkie sprawy związane z moją pracą.

Było już grubo po jedenastej, kiedy wróciłam do siebie. Miałam wyrzuty sumienia z powodu Leona, że kazałam mu tak długo czekać, ale w pokoju nie było nikogo.

- Jak pani na to zareagowała? - zapytał Żurko.

- No cóż... pomyślałam, że nie mógł się mnie doczekać i odjechał albo że czuł się tak źle, iż musiał zostać u siebie.

- Czy nie starała się pani skontaktować z nim?

- Skontaktować? - spojrzała zdziwiona na Żurkę, ale zaraz opanowała się. - Oczywiście

- rzekła pospiesznie rumieniąc się lekko - zatelefonowałam do niego natychmiast, ale... - urwała.

- Ale co?

- Nikt u Leona nie odpowiadał.

- Czy to nie wydało się pani dziwne?

- Owszem, ale widzi pan... byłam w tak dobrym nastroju, że... no, że po prostu nie podejrzewałam nic złego. To jest okropne, ale człowiek szczęśliwy zapomina o bliźnich...

- Rozumiem. No i co dalej?

- Nic - odrzekła zawstydzona. - Po prostu... po prostu poszłam spać.

Ona jest rozbijająca z tą szczerością - pomyślał Żurko. - Rozbijająco szczerą albo diabelnie wyrafinowaną - dodał w myśli, a głośno zapytał:

- Jakich środków lokomocji używał Postur?

- Zawsze taksówki.

- Czyli podjeżdżał do tego domu od strony ulicy Zuga?

- Tak - odparła zdziwiona.

- Szkoda.

- Dlaczego?

- Bo jak pani wiadomo, ciało znaleźliśmy za domem, pod oknem sypialni Rettingerów. Zachodzi więc pytanie, co Postur robił w tamtym miejscu. Gdyby nie jeździł taksówką, ale na przykład tramwajem, można by przyjąć, że szedł od strony szkolnego boiska, które znajduje się za willą, i wtedy został napadnięty. To boisko nie jest jeszcze ogrodzone i przechodnie skracają sobie drogę od przystanku tramwajowego przechodząc przez ogród Rettingerów. Czyż nie tak?

- Owszem. Wujostwo Rettingerowie wstrzymywali się z ogrodzeniem parceli od strony boiska, czekając, aż szkoła zrobi to za nich. W rezultacie nie ma ogrodzenia i niektórzy przechodnie korzystają z tego przejścia.

- Ale skoro Postur podjechał taksówką, dziwne jest, co robił z tamtej strony domu.

- Nie mam pojęcia... - szepnęła Krystyna opuszczając głowę. - Może uciekał przed napastnikami i tam, tam go dopadli?

- Mało prawdopodobnie. Raczej starałby się skryć w domu. Miał przecież klucz do pani mieszkania.

- To prawda - zmieszła się - ale... mógł zapomnieć klucza.

- Rzeczywiście, mógł zapomnieć - wycedził Żurko.

- A propos. Czy jest pani pewna, że w chwili pani wyjścia drzwi i okna były dobrze zamknięte?

- Drzwi na pewno, a okno na taras - zawahała się - pamiętam, że wietrzyłam pokój przed snem, ale czy okno było zamknięte w chwili mojego powrotu, nie pamiętam. Te czynności wykonuję zupełnie mechanicznie.

- Szkoda... A... czy pani nic nie zginęło z mieszkania?

- Dlaczego pan pyta? - zdziwiła się Parytetówna.

- Bo może zachodzi inna ewentualność. Przy zwłokach nie znaleziono kluczy. A zatem... istnieje podejrzenie, że zostały one zabrane przez mordercę. Morderca mógł posłużyć się nimi do spenetrowania pani mieszkania.

- To chyba niemożliwe. Skąd by morderca mógł wiedzieć, że to jest akurat klucz do mojego mieszkania?

- Jeśli morderca znał Postura, mógł też wiedzieć o kluczu.

- Nie, nic mi nie zginęło - odparła z jakąś gwałtownością Krystyna.

- Jest pani o tym przekonana?

- Całkowicie. Widzi pan, nigdy nic nie zamykam w pokoju i jestem strasznie roztrzępana. Wychodząc zostawiłam na stoliku złoty zegarek z bransoletką i nikt go nie ruszył... Nie, na pewno nikogo nie było w mieszkaniu.

- A po swoim powrocie do domu nie słyszała pani czegoś podejrzanego na dworze? Jakichś głosów, kroków, hałasu?

- Nie, nic nie słyszałam.

- Czy jak Dopustowa weszła na górę, to pani już spała?

- O tak. Nawet mocno. Nie mogła mnie dobudzić.

- Dopustowa... - powtórzył Żurko. - Co pani o niej może powiedzieć?

- Okropna. Stale mi opowiada o swoich snach. Ostatnio dosłownie ma bzika na tym punkcie. Choruje na jakąś manię prześladowczą. A przy tym wszystkim straszne skąpiradło i materialistka. Handluje włóczką, uprawia faktorstwo, daje zastrzyki...

- Zastrzyki? Dopustowa?

- O, nawet ma tak zwaną lekką rękę. Kobieta z praktyką. Dawniej była położną. Po co jej tyle pieniędzy? Ledwo się trzyma na nogach, a łązi z tymi zastrzykami po całych Bielanych.

Trepkę zdawały się nudzić te pytania. Z zainteresowaniem natomiast oglądał damskie kosmetyki na toaletce.

- Nie powinna pani, dziecino, używać w swoim wieku tych smarów. I bez tego z pewnością wygląda pani pięknie, a na pewno bardziej świeżo... Co wy, dziewczęta, chcecie od swoich twarzy?

- Mówi pan tak samo jak Leon. On też nie cierpiał szminek. Stale toczył o to ze mną wojnę. Niestety, nieraz wieczorem wyglądałam fatalnie... mdło i zupełnie bez rysów.

- Kosmetyki niszczą cerę.

- Och, przesada. Zresztą nakładam je tylko na kilka godzin wieczorem, a przed snem myję dobrze twarz.

Żurko spojrzał na kapitana rozbawiony, ale Trepka kontynuował swoje niezwykle pytania.

- A wczoraj wieczorem też pani myła twarz?

- Oczywiście - odparła coraz bardziej zdumiona dziewczyna.

- A jaki krem pani stosuje na noc?

- Tłusty. Wyglądałam po nim jak Eskimos, ale to konieczne. Mam tak potwornie suchą cerę...

- I wczoraj też wyglądała pani jak Eskimos?

- Oczywiście... ale czemu pan zadaje takie śmieszne pytania.

- Dbam o higienę młodzieży - odparł nie zmieszany Trepka.
- Co to za pytania, kapitanie? - zaśmiał się Żurko, kiedy wyszli z pokoju na taras.
- Chodziło o maleńką poszlakę - powiedział Trepka. - Przypomnij sobie, co mówiła Dopustowa o jej wyglądzie w nocy.
- Mówiła, że Parytetówna wyglądała wyjątkowo pięknie.
- Po zmyciu kosmetyków i nasmarowaniu twarzy tłuszczem. Sama przyznała, że wyglądała jak Eskimos.
- Istotnie - mruknął Żurko - coś tutaj nie gra. Ale u kogo, u Parytetówny, czy może u Dopustowej? Mam większy szkopuł. Cała ta historia z telefonami wygląda na wykoncypowaną. Moim zdaniem sprawa wyglądała o wiele prościej. O wiele prościej... - powtórzył zamyślony, schodząc po stopniach tarasu.

Przed willą zatrzymał oficerów uśmiechnięty Pajkert.
- Pozwólcie do mieszkania Rettingerów, coś wam pokażę.
W hallu zastali wystraszoną gospodynię.
- Pani pójdzie z nami - powiedział Pajkert. Otworzył drzwi do gabinetu inżyniera i stanął przed biurkiem.
- Ślady włamania - rzucił krótko.
Istotnie... na mosiężnym okuciu zamka, w prawym skrzydle biurka, widać było koło dziurki od klucza wyraźne ślady zadrapania.
- Sądzisz, że to jest świeże?
- Najzupełniej. Okucie jest niemal brunatne, a rysy żółte i błyszczące. Zadrapano jakimś ostrym narzędziem, wytrychem zapewne.
- Czy pani widziała te ślady? - zwrócił się do gospodyni.
Dopustowa patrzyła na nich w osłupieniu.
- Jezusie! Nie, nie widziałam. O Matko...
Pajkert wyciągnął pęk kluczy z kieszeni. Przymierzył je po kolei, wreszcie zamek ustąpił... W szufladach panował straszny nieporządek.
- Czy Rettingerowie przechowują w domu jakieś kosztowności? - zapytał Żurko.
- Nie. Przed wyjazdem pani Rettingerowa sprzedała w komisie złoty zegarek i bransoletę. To były ostatnie kosztowne rzeczy.
- Skąd pani wie, że ostatnie?
- Bo słyszałam, jak pani Rettingerowa powiedziała do pana: „Teraz zostały mi już tylko kolczyki”.
- A te kolczyki?
- Też są w komisie, ale nikt nie chce kupić, bo niemodne. Teraz panie noszą klipsy.
- A więc w biurku nic nie było?
- Na pewno nie.
- Ale złodziej mógł o tym nie wiedzieć - zauważył porucznik.
Biurko zostało z powrotem zamknięte. Wszyscy w milczeniu wrócili do hallu.
- A teraz - powiedział ostro Żurko - niech nam pani powie całą prawdę. Bajeczki o kotach proszę zostawić dla dzieci.
Dopustowa stała blada z zaciśniętymi ustami, jej ręce mięły nerwowo fartuch... w rozbieganych oczach był strach.
- Czy pani słyszy? Pytam, kto był w nocy w mieszkaniu.
- Nie wiem, panie kochany, nie wiem. Nikogo nie widziałam. Powiedziałam już całą prawdę.
- I mówi pani, że drzwi i okna były zamknięte?
- Sama sprawdzałam.
- Pajkert, oglądaliście drzwi?

- Żadnych śladów widocznych.

- A garaż? Sierżant w nocy zauważył, że pod garażem nie było liści.

- Przeszukaliśmy. Też bez efektu.

- Zdjęliście odciski palców?

- Tak, ale wątpię, czy znajdziemy coś ciekawego - rzekł, markotny. - Zdaje mi się, że tu buszował złodziej domowy - dodał cicho.

- Kto wie, włamywacz mógł się w jakiś sposób zaopatrzyć w klucze. Zresztą te zamki nie są zbyt skomplikowane. Zręczny fachowiec otworzyłby je nie zostawiając śladów.

- Ale to nie był zręczny włamywacz, skoro nie mógł sobie poradzić z biurkiem - zauważył Pajkert.

- Poza tym... poza tym... - Żurko przymrużył oczy - musimy pamiętać, że Posturowi zabrano klucze. Były to wprawdzie klucze od mieszkania Parytetówny, lecz dzięki nim mógł przeniknąć na klatkę schodową - zamyślił się. Nagle przeniósł wzrok na Dopustową. - Czy pani przypadkiem nie zginęły w ostatnim czasie klucze?

Dopustowa zawahała się.

- Nie... to znaczy... raz myślałam, że zgubiłam, ale zaczęłam szukać i rano znalazłam je w płaszczu. Musiałam zostawić w kieszeni przez pomyłkę.

- Kiedy to było?

- Dwa albo trzy dni temu.

- Hm... no cóż, na razie nie mamy tu nic do roboty - powiedział Żurko.

Wyszli do ogrodu.

- Co o tym wszystkim myślicie, kapitanie?

- Macie jakąś koncepcję? - zakaszła Trepka.

- Och, o to zawsze łatwo, zwłaszcza na początku śledztwa. Ale im dalej w las... Jedna koncepcja rysuje się nawet dość wyraźnie. Napad rabunkowy czy, jeśli wolicie, rabunkowo-chuligański. O godzinie, powiedzmy, jedenastej Postur przybywa do willi Rettingerów. Tutaj zostaje napadnięty i podbity, prawdopodobnie obrabowany z pieniędzy i kluczy. Korzystając z nieobecności mieszkańców willi bandyci za pomocą kluczy dostają się do mieszkania Parytetówny, a następnie Rettingerów, gdzie przeszukują biurko i wydostają się tą samą drogą... Co o tym sądzicie, kapitanie? - zapytał chytrze.

- Wcale rozsądnie - odparł lakonicznie Trepka.

- Nie jestem tego zdania - uśmiechnął się Żurko. - Ta koncepcja jest łatwa, ale do bani. Za wcześnie jeszcze na koncepcje.

- Dlaczego więc je wysuwacie?

- Żeby łatwiej uwypuklić luki i wątpliwości, jakie nasuwa.

Trepka spojrzał na Żurkę z zaciekawieniem. Fuszer niewątpliwie wyrabiał się.

- Wątpliwość pierwsza: sprawa rabunku. Przypuśćmy, że Postur miał przy sobie jakąś sumę pieniędzy i tę sumę mu zabrano, dlaczego więc nie zrabowano mu kosztownego zegarka i sygnetu? Wątpliwość druga: czy w ogóle mordercy byli w mieszkaniu Parytetówny. Jeśli tak, to dlaczego nic nie zginęło, chociaż na wierzchu leżała tam złota bransoleta z zegarkiem? Wątpliwość trzecia: kto przeszukiwał mieszkanie Rettingerów? Jeśli mordercy Postura, to jak się tam dostali, skoro okna i drzwi były zamknięte i nie noszą śladów manipulacji wytrychami, a jak twierdzi Pajkert, bandyci nie byli zbyt kwalifikowani w zakresie „szlusologii”? Bo nawet jeśli przyjmiemy, że weszli przez mieszkanie Parytetówny, to przecież musieli otworzyć jeszcze drzwi do hallu Rettingerów.

- Dopustowej zginęły klucze - zauważył Trepka - gdyby przyjąć...

- A rzeczywiście... - uśmiechnął się Żurko - moja koncepcja nie byłaby więc może w tym punkcie taka głupia, gdyby... Bo cały szkopał w tym, że ja dziwnie jakoś nie mam przekonania do zeznań tych kobiet. Ta sprawa może wyglądać znacznie bardziej kameralnie, Trepka. Bez chuliganów, bandytów i różnych czarnych typów z zewnątrz.

- Bardzo nęćące - zakaszłał kapitan. - Zawsze lubiłem kameralne robótki.
- Tak, ale, jak powiedziałem, za wcześnie jeszcze na domysły. Ustalmy najpierw stan faktyczny.
- Co wobec tego macie w planie?
- Moi ludzie rozejrzą się trochę po sąsiedztwie, a my... my chyba pojedziemy do pieleszy domowych Postura...
- I ja tak myślę - Trepka otworzył parasol.

VI. „GOŁĘBNIK”

Ten zakątek Saskiej Kępy nosił jeszcze posępne ślady zniszczeń wojennych. Piękne niegdyś wille stały odrapane, z tynkami posiekanymi przez pociski. Niektóre były wypalone całkowicie i dopiero teraz je remontowano.

Wśród tych domów-kalek nieruchomości numer 7 przy ulicy Kastylijskiej wyróżniała się niewątpliwie swoistą oryginalnością.

- Prawdziwy gołębnik - powiedział Żurko.

Istotnie, było to trafne określenie. Pocisk artyleryjski dużego kalibru przebił na wylot parter willi, piętro natomiast pozostało nienaruszone. W rezultacie wydawało się, że dom stoi jakby na dwu nogach z wielkim prześwitem na dole.

Obecnie odbudowywano parter. Widać było uwijających się wśród murów robotników.

Kapitan Trepka i porucznik Żurko weszli na piętro po zawieszonych niemal w powietrzu schodach.

Jak łatwo się było zorientować, niegdyś znajdowało się tutaj mieszkanie trzypokojowe. Przerobiono je obecnie na dwie samodzielne kawalerki i pokój z kuchnią w ten sposób, że każde z mieszkań miało tak zwane nie krępujące wejście wprost z przedpokoju.

Pierwsze drzwi na lewo nie nosiły żadnego napisu. Drugie natomiast, znajdujące się pośrodku, ozdobione były rodzajem klepsydry w żalobnych obwódkach treści następującej:

LEON POSTUR plastyk

przyjmuje od godz. 22 do godz. 0.30

(wyłącznie w sprawach sztuki). Kobiety zawsze.

- Wesoły nieboszczyk - zauważył Żurko z niesmakiem.

Wreszcie na drzwiach na prawo widniała wizytówka z wykaligrafowanym na niej napisem:

ANTONI BUJWID ŻURAWSKI

emeryt kolejowy

Zachować ciszę. Nie stukać.

Żurko rozglądał się za kapralem Kajtusem, który miał zabezpieczyć mieszkanie Postura, ale kaprała nigdzie nie było. Zaniepokojony nacisnął przez chusteczkę, żeby nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców, klamkę. Drzwi ustąpiły od razu.

Wszedł i stanął oniemiały. W pierwszej chwili zdawało mu się, że w pokoju stoi grupka ludzi. Dopiero po chwili zorientował się, że to manekiny.

- Spójrzcie no, Trepka - powiedział do kapitana. - Pierwszy raz coś podobnego widzę. Sześć manekinów w pokoju.

- Tylko pięć, obywatelu poruczniku - usłyszał nagle głos i wzdrygnął się odruchowo. Jeden z manekinów poruszył się i stanął w pozycji zasadniczej.

- Kajtus - zasapał Żurko - co to za błazeństwa! Czemu udawaliście manekina?!

- Ja? Niech Bóg broni. Fotografowałem się tylko w tej miłej grupce. Obywatel porucznik zwróci uwagę. To wyjątkowo twarzowe towarzystwo. Będzie wdechowe zdjęcie na pamiątkę.

Rzeczywiście na parapecie okna, naprzeciwko, Żurko zauważył aparat fotograficzny.

- To są rzeczy niedopuszczalnie na służbie, Kajtus - zmarszczył się surowo.

- Obywatel porucznik uwzględni. Nudno było. Wstawiono mnie tutaj w charakterze szóstego manekina. Ani się ruszyć, ani z kim pogadać.

Żurko machnął ręką. Nie sposób było dyskutować z Kajtusem.

- Jakich wy ludzi macie u siebie, Trepka!

Kapitan pogładził się zaaferowany po łysinie.

- Czy to wszystko, co macie nam do zameldowania, Kajtus?

- Ciekawy pokój - odparł kapral - i świeżo pastowany.

- Jak, przyjacielu, powiedziałaś? - Trepka spojrział na Kajtusa z troską.

- Świeżo pastowany na czerwono, kapitanie, mówię. Ale nie zdążono wyfroterować, a taka świeża pasta jest zdradliwa... Ktoś był w tym pokoju i zostawił ślady... Bardzo ładne ślady. Prowadzą na korytarz. Przykryłem wszystko papierem, żeby zabezpieczyć.

Żurko spojrział na Kajtusa dziwnym wzrokiem i cofnął się do przedpokoiku. Istotnie, wyraźne ślady prowadziły na korytarz, a stamtąd do pokoju Antoniego Bujwida Żurawskiego.

- Do pokoju Antoniego Bujwida Żurawskiego - powiedział półgłosem Żurko - ciekawe. Gdzie jest ten człowiek? - zapytał Kajtusa.

- Nie wiem. W pokoju nie ma nikogo. Drzwi zamknięte. W zamku brak klucza.

- Wypadnie się zainteresować bliżej tym panem - mruknął Żurko.

- A ten drugi sąsiad... jak mu tam?

- Mohylny. Jest u siebie - odparł Kajtus. - Widziałem go jak wychodził do łazienki.

Pytał mnie, co tu robię. Kiedy się dowiedział, że jestem z milicji, zagwizdał pod nosem. Nieprzyjemny typek i bardzo pewny siebie.

- Pilnujcie go, żeby gdzie nie przysnął - powiedział Żurko. - Przesłuchamy go zaraz, jak tylko obejrzymy pokój.

Mieszkanie Leona Postura stanowiło coś pośredniego między pracownią malarską a zamożnie urządzonej kawalerką. Ściany pomalowane były na kilka odcieni zieleni, od prawie szarej aż do trawiastej, które nakładały się na siebie wielkimi płaszczyznami o pełnych fantazji kształtach i przywodziły na myśl mapę fizyczną jakiejś nizinnej krainy.

Z jednej strony okna stał nowoczesny tapczan, z drugiej biurko. Na biurku jakaś staroświecka fotografia dwu mężczyzn na plaży w pasiastych kostiumach. Obok w kącie przy rozłożystej palmie i lampie z wielkim abażurem znajdował się głęboki fotel. Dwa identyczne stały przy bocznych ścianach koło radia i szafy z książkami. Mały niski stolik i cztery miękkie taboreciki dopełniały umeblowania.

Poza tym wszystkie niemal ściany obstawione były starymi płótnami, blejtrami, szkicami na płótnie i papierze, jakimiś tekturowymi formami i makietami dekoracji.

Ale uwagę ściągала na siebie przede wszystkim grupa modeli. Stały koło siebie z różowymi twarzami, słodko i bezmyślnie uśmiechnięte, lalkowato ładne, każdy zastygły we wdzięcznej pozie. Zwykle standardowe manekiny, męskie manekiny reklamowe z domu odzieżowego. Tylko ubrane były dziwnie.

Pierwszy wystrojony był w ogoniasty frak, spod którego sterczały mu nagie różowe łydki. Gołą chudą szyję zdobiła mu biała elegancka muszka.

Drugi miał na sobie tylko czerwone gimnastyczne spodenki.

Trzeci - kozuch barani wywrócony włosami na wierzch i czapkę z gazety na głowie.

Czwarty - dla odmiany - śliniaczek pod brodą i zieloną dziecinną czapeczkę z pomponem.

Piątego okrywał damski jednoczęściowy pstrokaty kostium kąpielowy.

Obok stał na sztalugach nie dokończony obraz. Przedstawiał on tancerkę z maską w rękę, otoczoną przez pięć postaci, w których mimo dość daleko posuniętej deformacji rozpoznać można było manekiny znajdujące się w pracowni.

Obraz skomponowany był na zasadzie kontrastu. Malarz przeciwstawiał żywą, utrzymaną niemal w klasycznej konwencji tancerkę - odrealnionym, martwym postaciom manekinów, które otaczały ją jak fantastyczne zjawy, podobne raczej śmiesznym karnawałowym kukłom niż ludziom. Wszystko robiło wrażenie groteski, ale groteski przejmującej i smutnej. Intensywne barwy i niesamowite zestawienia kolorystyczne podkreślały to wrażenie.

- Dziewica i manekiny - szepnął Trepka.

- Zwariowany obraz - mruknął pogardliwie Żurko. - Czy to ma być to nowoczesne malarstwo?

Trepka potrząsnął głową.

- Nie, przyjacielu. To dosyć stara konwencja. Za dużo w tym literatury... Jakieś reminiscencje symbolizmu, jak mi się zdaje - powiedział zaglądając do szafy.

Przez dłuższą chwilę szperali w milczeniu w pokoju.

- Kluczy i okularów rzeczywiście brak - stwierdził Trepka.

- Nigdzie też nie widać tub z farbą olejną - powiedział nagle Żurko.

- Farby są tutaj - zasapał Trepka - schowane w pudle z pastą do butów i szczotkami.

- Z pastą do butów? - Żurko z niedowierzaniem zbliżył się do szuflady w szafie. -

Rzeczywiście. Dosyć dziwne miejsce jak na farby...

- W tym pokoju dużo jest dziwnych rzeczy, przyjacielu - powiedział Trepka. - Odnoszę wrażenie, że osobowość naszego drogiego zmarłego była nadzwyczaj skomplikowana. Czy zwróciłeś uwagę na zdumiewający porządek panujący w tej pracowni?

- Rzeczywiście. To mnie raczej zaskoczyło - odparł Żurko. - Spodziewałem się artystycznego nieładu.

- Nie o to mi chodzi, przyjacielu. Nie należy odmawiać artystom prawa do schludności. I wśród nich zdarzają się pedanci pod tym względem. Rzecz w tym, że porządek, jaki tu zastaliśmy, jest porządkiem pozornym lub, jeśli wolisz, powierzchownym i płytkim. Na przykład książki na półkach pod ścianą. Zobacz, jak one są ułożone. „Historia filozofii” Tatarkiewicza obok „Zasad tańca nowoczesnego”. „Mitologia” Parandowskiego przy podręczniku jazdy samochodowej. Poezje Herberta w towarzystwie... Chorób przewodu pokarmowego”.

- Istotnie, niesmaczne zestawienia - powiedział Żurko.

- A te szlachetne cepeliowskie drobiazgi - pokazał Trepka na stolik - kłócą się wyraźnie ze szmirowatą figurką porcelanowego pastuszka z fujarką i sztucznymi kwiatami w pretensjonalnym wazonie. Zaskakująca mieszanina dobrego smaku i wulgarnych gustów.

Przerwał, bo w drzwiach ukazał się Pajkert ze swoją ekipą. Oficerowie ustąpili mu placu.

- Warto by teraz przesłuchać tego młodzieńca, Mohylnego - powiedział Trepka i nacisnął klamkę u drzwi znajdujących się po prawej stronie korytarza.

VII. PIOTR MOHYLNY

Indywidualizm w farmerkach podniosło się ospale z podłogi i uniosło niesłychanie wyraziste brwi do góry.

- Co się stało? Co za najazd, jak Boga...

- Milicja - odrzekł krótko Żurko obrzuciwszy młodzieńca nieprzyjaznym wzrokiem. - Co pan tu wyprawia?

- Ja? Nic.

- Chodził pan na czworakach po pokoju?

- Skąd pan wie?

- Zajrzałem przez dziurkę od klucza.

- Brzydki zwyczaj - skrzywił się młody człowiek. - Zresztą źle pan zobaczył. Ja nie chodziłem na czworakach. Ćwiczyłem tylko unoszenie tułowia.

Żurko machnął ręką.

- Pan jest Piotr Mohylny urodzony w roku 1935 w Wołkowysku, student?

- Tak jest, a bo co? - indywiduum podeszło do stolika i nonszalancko zaczęło nabijać fajkę tytoniem.

- Pan się powinien domyślić.

- Jeśli chodzi o Leona, to ja nic nie wiem - Mohylny otoczył się kłębem dymu.

- To się panu tylko zdaje, że pan nic nie wie - mruknął Żurko. - Siadaj pan i odpowiadaj na pytania, tylko bez kantów. Dawno pan tu mieszka?

- Trzy lata.

- Ma pan przydział?

- Dostałem mieszkanie po babce. Babka miała przydział, ale umarła.

- Rodzice?

- Ojciec nie żyje. Matka wyszła drugi raz za mąż. Mieszka w Zielonej Górze.

- Co pan studiuje?

- AWF.

- Który rok?

- Drugi.

- Leon Postur mieszkał tu od dawna?

- Sprowadził się zaraz po mnie. Babcia sprzedała mu pokój.

- Sprzedała - Żurkę dziwnie drażnił bezceremonialny sposób wyrażania się studenta.

- Wzięła pięćdziesiąt tysięcy odstępnego. Żyliśmy z tego później przez dwa lata.

- Pięćdziesiąt tysięcy?

- Pan myśli, że mało... ja też, pokój jest słoneczny i nieprzechodni, z używalnością łazienki.

- Myślę, że Postur musiał nieźle zarabiać.

- To był krezus.

- Pan się z nim przyjaźnił...

- Owszem. Byliśmy na ty.

- Kiedy ostatnio pan widział Leona Postura?

- Wczoraj wieczorem.

- O której godzinie?

- Około jedenastej. Spotkałem go w drzwiach łazienki.

- Rozmawialiście ze sobą?

- Zamieniliśmy parę słów... Leon skarżył się na bóle. Zapytałem go, czemu nie kładzie się do łóżka. Powiedział, że musi jechać na Bielany. Myślałem, że udaje z tą chorobą, Leon lubił różne mistyfikacje, ale tym razem rzecz musiała być poważna, bo nasz nieoceniony sąsiad pan A. B. pitrał mu jakieś ziółka.

- Skąd pan wie?

- Mam jeszcze na szczęście czy nieszczęście nos, kapitanie. Atmosfera całego pomieszczenia została natychmiast zatruta. Zresztą widziałem pana A.B., jak z filiżanką ziół w ręku wchodził do pokoju Leona.

- A czy Antoni Bujwid Żurawski też widział pana?

- Sądzę raczej, że nie. Widziałem go przez uchylone drzwi łazienki. A.B. nie oglądał się, a ja zachowywałem się cicho, gdyż rzecz mnie zaintrygowała. Leon zawsze wyśmiewał zielarskie manie sąsiada.

- Kiedy widział pan Antoniego Bujwida Żurawskiego, po czy przed spotkaniem z Leonem Posturem?

- Po. Jakieś pięć, dziesięć minut. Zdążyłem w tym czasie wymyć się dokładnie i wyczyścić zęby, tudzież buty, jeśli to pana interesuje.

- Wieczorem czyści pan buty?

- Mam taki zwyczaj.

- A może się pan gdzieś wybierał?

- Nigdzie się już nie wybierałem - odrzekł zdenerwowany Mohylny.

- Natomiast wybierał się Postur. Mówił do pana, że wybiera się na Bielany - zamyślił się Żur-ko. - A czy nie mówił po co?

- Nie.

- Nie domyślał się pan?

- No, wolałem nie - Mohylny przymrużył oko.

- Kobieta?

- Być może.

- Jej nazwisko?

- Niech pan nie bluffuje, chyba pan ją już poznał.

- Skąd ją miałem poznać?

- Do diabła, przecież to ona znalazła trupa...

Żurko wymienił ledwie uchwytnie spojrzenie z Trepką.

- Skąd pan wie? - zapytał prawie wesoło.

Mohylny zmieszał się.

- Skąd pan to wie? - powtórzył surowo Żurko.

- No, dzwoniła do mnie rano. Była bardzo wystraszona. Rozumiem ją doskonale. Znaleźć u siebie w pokoju trupa, to nic przyjemnego.

- To ciekawe... to bardzo ciekawe. Więc Krystyna Parytet mówiła panu, że trup znajdował się w jej pokoju?

- Tak.

- To dziwne - mruknął Żurko oglądając paznokcie. - To bardzo dziwne, że Krystyna Parytet podała panu taką wersję.

- Dlaczego? - zaniepokoił się Mohylny.

- Bo trupa znaleziono na dworze.

- Na dworze? - powtórzył zdziwiony Mohylny.

- Tak, w ogrodzie pod oknem sypialni Rettingerów.

- Nie rozumiem, to znaczy, musiałem źle zrozumieć. Krystyna użyła słów „u mnie w domu”, myślałem, że ma na myśli mieszkanie... a zatem atak zaskoczył go jeszcze na dworze - szepnął do siebie. - Ale co robił pod oknem sypialni?

- O jakim ataku pan mówi? - zapytał Żurko.

- No przecież chyba jasne, że on zmarł na tę swoją chorobę. Już dawno miewał ataki. Ostatni, miesiąc temu. Ledwie go odratowano.

Żurko zasapał.

- Panie, co pan nas tu bajtlujesz. Pan przecież wiesz doskonale, że Postur został zamordowany.

- Zamordowany?! - wykrzyknął Mohylny. - Ależ to śmieszne. Panowie chyba żartują.

- Nie. To było morderstwo - Żurko wpatrywał się bystro w twarz studenta - to było morderstwo i pan najlepiej o tym wie.

Mohylny zerwał się z krzesła.

- Dlaczego ja, dlaczego ja mam wiedzieć?

Żurko uśmiechnął się zadowolony.

- Bo pan... niniejsza zresztą z tym. Wystarczy, że się rozumiemy. We właściwej chwili powiem panu więcej.

- Czy pan każdemu świadkowi wmawia, że jest... że jest mordercą? Czy to pański system?

Żurko zaśmiał się.

- To byłoby zbyt proste i nie zaprowadziłoby daleko. Zresztą ja wcale nie powiedziałem, że to pan zamordował.

- Powiedział pan, że ja najlepiej wiem.

- Bo pan jest zbyt dobrze poinformowany. Pan jest doskonale poinformowany. Zapewne z pierwszej ręki.

- Ależ zaręczam panu, kapitanie...

Żurko chrząknął,

- Nie jestem kapitanem.

- Zostanie pan - powiedział z przekonaniem Mohylny, ocierając czoło. - Pan ma cholerne zagrywki. Muszę powiedzieć, że przynosi pan chlubę milicji. Zwracam, uwagę na przebieg pytań, to jest piekielnie logiczna kolejka.

Żurko spojrzał podejrzliwie na Mohylnego. Jeszcze nikt w jego karierze milicyjnej nie prawil mu takich komplementów.

- To jest zwyczajny schemat - powiedział oschle.

- Pan może myśli, że to komplementy? Lecz ja miałem już dwukrotnie okazję zetknąć się z milicją w cztery oczy i muszę panu powiedzieć, że pan wyróżnia się nader korzystnie - Mohylny wpatrywał się bez zmrużenia powiek w twarz Żurki. - Czy pana przypadkiem w sferach przestępczych nie nazywają „Suchotnikiem”. Ja bardzo przepraszam... - spuścił wzrok i zaczął oglądać paznokcie - ale zetknąłem się wśród kryminalistów z takim przezwiskiem.

- Pan już siedział?

- Wsadzono mnie omyłkowo za jakąś rozróbkę przed „Kameralną”. W areszcie bardzo dużo mówiono o Suchotniku.

- Wiem o tym - mruknął Żurko. - Istotnie, nazywają mnie Suchotnikiem.

- Cieszy się pan wielkim szacunkiem w świecie przestępczym. Przezwisko Suchotnik wymawiane tam jest ze strachem. Być schwytanym przez Suchotnika to nie wstyd. Sądzę, że to panu sprawi satysfakcję, poruczniku. Pan ma doskonałą opinię wśród fachowców. Imponuje im pana energia i rzutkość. Pan zaskakuje, pan nokautuje, pan oszołamia.

Żurko nastroszył się, kryjąc zadowolenie pod maską szorstkości.

- Opinie przestępców o mojej osobie nie interesują mnie i proszę nie robić dygresji.

Niech pan lepiej powie, co pan robił wczoraj wieczorem.

Mohylny zastanowił się.

- Chciałem iść z Krystyną do kina na siódmą i czekałem na nią na Nowym Świecie.

- Wiemy już o tym - przerwał Żurko.

- A potem pozostała mi już tylko rola „szczygła”. Musiałem pojechać na Bielany i uprzedzić Melassę, że z wieczoru nici.

- I co po tym zrobiliście?

- Nic, wróciliśmy do miasta.

- Czy zauważył pan w zachowaniu lub w wyglądzie Melassy coś dziwnego?

- Nie bardzo rozumiem.

- Czy zachowywał się normalnie, tak jak zwykle?

Mohylny zastanowił się.

- Raczej tak... chyba że...

- Co?

- Chyba że ta teczka.

- Jaka teczka?

- Melassa miał przy sobie wypchaną teczkę. Trochę mnie to zdziwiło, po co on przyniósł teczkę. Zapytałem go, co w niej ma. I niech pan zgadnie, co mi odpowiedział? - Mohylny uśmiechnął się przymrużonymi oczami.

- No nie wiem...

- Otóż niech pan sobie wyobrazi, powiedział, że ma w teczce bieliznę z pralni. Zabawne, co? Idąc w goście do uroczej dziewczyny wziąć z sobą teczkę bielizny. Mówił, że zabrał ją po drodze z pralni.

- O dziewiątej godzinie?

- O dziewiątej godzinie - zaśmiał się Mohylny i wytrząsnął popiół z fajki. - Oczywiście nie uwierzyłem mu wcale, a że jestem ciekawy z natury, próbowałem zajrzeć mu do teczki... I wie pan, co tani znalazłem? Jakiś dziwny długi przedmiot zawinięty w gazetę.

- Pan nie domyślał się, co to mógł być za długi przedmiot owinięty w gazetę?

- Nie mam pojęcia.

- Czy to było kanciaste?

- Nie wiem, nie mogłem się dobrze przyjrzeć, bo Melassa z wściekłością wyrwał mi teczkę... Ale to było raczej kształtu walcowatego.

- Czy to nie mógł być przypadkiem trzonek jakiegoś narzędzia? - wtrącił Trepka poprawiając się na zbyt wąskim dla niego foteliku. - Niech pan pomyśli, młody człowieku. Żurko chrząknął niezadowolony z pytania.

- No więc, młody człowieku - sapnął kapitan zachęcająco.

- Kapitanie, mam wrażenie... - interweniował Żurko, ale Trepka ścisnął go znacząco za rękę.

- Spokojnie, Żurko, dajcie się wypowiedzieć młodemu człowiekowi. - A więc, panie Mohylny, czy to mógł być trzonek?

- Myślę, że tak... ale ręczyć nie mogę, nie widziałem - zastrzegł się Mohylny.

Żurko zdenerwowany przebierał splecionymi na stole palcami.

- Czy jesteście innego zdania? - zapytał go Trepka.

- Ależ nie! To znaczy...

- Za mało uwagi zwracacie na szczegóły, Żurko... Ten Melassa mnie zaciekawia. Młotek w teczce, przyjacielu... Gość wybiera się z wizytą i ma z sobą zawinięty młotek w teczce - kapitan podniecał się niecodziennym obrazem. - Chciałbym przesłuchać zaraz tego Melassę.

- Kazałem go przyprowadzić. Posłałem po niego Drabka.

- Tutaj? A to bardzo dobrze. To bardzo dobrze.

Żurko westchnął pod nosem. Lękał się, że talenty śledcze kapitana Trepki mogły poważnie utrudnić dochodzenie.

- Zostawmy na razie tę teczkę - odezwał się głośno - i wróćmy do naszej wędrówki. Wyszliście więc obaj z Melassą.

W tym momencie do pokoju wszedł kapral Kajtus. Pochyliwszy się nad Trepką, szepnął mu coś do ucha. Trepka uniósł do góry brwi. - Iwaniłło tutaj? Czyżby zwęszył w naszej sprawie swoich „Jaroszy”? Wyrzycie no, Żurko.

Kapitan Iwaniłło był udręką oficerów prowadzących śledztwo. Od roku siedział nad sprawą tajemniczych rabusi figurujących w aktach pod kryptonimem „Jarosze” i, jak głosiła fama, dostawał powoli na ich punkcie bzika.

Żurko wyszedł z pokoju. W półmroku majaczyła charakterystycznie przygarbiona sylwetka kapitana Iwaniłły. Na widok Żurki zamrugał małymi oczkami i podbiegł do niego na krzywych nóżkach.

- Mam do ciebie sprawę, kotusiu.

- Skąd tu się wziąłeś?

- Obok w willi było włamanie.

- Kiedy?

- Dzisiaj w nocy.

- Zdziwiający zbieg okoliczności - mruknął Żurko. - Sądysz, że to może mieć coś wspólnego z naszą sprawą.

- Nie wiem, kotusiu. Zainteresowałem się tym włamaniami ze względu na „Jaroszy”.

Pewne poszlaki wskazywały, że to mogli być „Jarosze”. Ale nie. To jakiś partacz singelton. Zresztą ukradł zegarek. „Jarosze” nigdy nie kradną zegarków. To był jakiś singelton, zresztą niezupełnie normalny. Wyobraź sobie, kotusiu, ukradł książki szkolne.

- Książki szkolne! - wykrzyknął Żurko.

- Tak jest, coraz częściej mamy do czynienia ze zdiwaczalnymi przestępcami. Zabrał komplet książek do jedenastej klasy, należący do panny Pontyskiej, a zostawił platerę.

- Ale zegarek zabrał?

- Zegarek zabrał. A propos, czy Posturowi zabrano zegarek?

- Nie - odparł zdziwiony Żurko. - Ale dlaczego pytasz?

Iwaniłło chrząknął i podrapał się w żalosne szczątki uwłosienia.

- Zdaje mi się, że w waszej sprawie są pewne interesujące szczegóły. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie maczali w niej palców „Jarosze”. O ile się nie mylę, Posturowi zabrano tylko pieniądze w gotówce.

- Prawdopodobnie - rzekł niechętnie Żurko.

- Na ciele, ofiary charakterystyczny ślad uderzenia w okolicach skroni.

- Tak jest.

- Śmierć, nastąpiła na skutek zastrzyku.

- Bardzo prawdopodobne - Żurko spojrzał na Iwaniłłę z rosnącym zainteresowaniem. - Na ramieniu ofiary są ślady ukłucia, ale wyników sekcji zwłok i analizy chemicznej jeszcze nie mamy.

- Z pewnością odnajdą truciznę, z pewnością odnajdą truciznę - mruknął zadowolony Iwaniłło. - Zwłoki ofiary noszą ślady pobicia?

- Tak.

- Zamachu dokonano późnym wieczorem w ustronnym miejscu? Ciemna ulica, park, ruiny, opuszczony ogród...

- Owszem w ogrodzie, ale niezbyt opuszczonym.

- Nie szkodzi. Sprawcy zbiegli nie pozostawiając śladów?

- Tak.

- To by mi wyglądało na „Jaroszy”, to by mi wyglądało na „Jaroszy”... Pozwolisz, że wejrę w twoją sprawę, kotusiu. Mam pewne doświadczenie w sprawach, gdzie działali „Jarosze”. Być może nareszcie ich przytknę. Nareszcie ich przytknę, kotusiu.

Żurko chrząknął niepewnie. Współpraca z Iwaniłłą nie uśmiechała mu się wcale. Z drugiej strony, jeśli Iwaniłło postanowił zająć się sprawą, nie można było zapobiec, by nie wtrącił tam swoich trzech groszy. Jedyna nadzieja w Trepce. Trepka i Iwaniłło zazwyczaj unikali się wzajemnie i jeden drugiemu nie lubił wchodzić w drogę.

Żurko wprowadził więc Iwaniłłę do pokoju i ostentacyjnie pokazał go Trepce.

- Iwaniłło chce wejrzeć w sprawę - mruknął. - Węszy w niej „Jaroszy”.

Trepka skrzywił się na dźwięk tego słowa.

- Byłem tu w sąsiedztwie - Iwaniłło cofnął się na widok Trepki. - Właśnie dokonano włamania, dziwny zbieg okoliczności...

Trepka pogładził się zaintrygowany po łysinie.

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Włamania, mówicie, Iwaniłło. Cóż to takiego? - wstał z krzesła i wyszedł z pokoju na korytarz, by móc porozmawiać swobodnie.

Po chwili wrócił do pokoju z Iwaniłłą.

- Wydaje mi się, przyjacielu Żurko, że powinniśmy zainteresować się tym włamaniem. Nie zaszkodziłoby porozmawiać z tymi Pontyskimi. Sądzę, że powinniśmy zrobić to zaraz.

- Ale przesłuchanie...

- Dokończy za nas Iwaniłło.

- Iwaniłło? - Żurko spojrział zdumiony na Trepkę, ale zaraz uprzytomnił sobie, że to był właśnie styl pracy pułkownika Wadery. Zmieniać funkcje, przerzucać ludzi z jednej roboty w drugą. Kto inny rozpoczął przesłuchanie, kto inny je kończył.

Kapitan uśmiechnął się pod nosem.

- Zdaje się, że zmiana osoby przesłuchującej dobrze wpłynie na pana Mohylnego. Pan Mohylny wydaje się już zmęczony - podsunął Iwanille protokół i wyszedł.

Iwaniłło przebiegł go szybko wzrokiem. Potem odsunął protokół z uśmiechem i drapiąc się po wielkiej czaszce pokrytej łupieżem i zmierzwionymi szczątkami rudawego uwłosienia przyglądał się ciekawie Mohylnemu.

- Tak, kotusiu. To bardzo ciekawe, kotusiu, cóżeśmy więc dalej robili? Nie wiedzieliśmy, co robić dalej. Była sobota, ładny wieczór, choć troszkę chłodny, za to gwiazdy błyszczały. Pożegnaliśmy się więc z Melassą...

- Nie. Melasa poszedł ze mną.

- Z panem? A to po co? Na spacer się panowie razem wybrali czy do lokaliku? Na dziewczynki może?

- Nie - Mohylny przypatrywał się Iwanille nieufnie. - Poszliśmy do domu.

- Do czyjego?

- Po mojego.

- A to bardzo grzecznie... nie spodziewałem się tego po panu, nie spodziewałem się tego po tobie, kotusiu.

- A to dlaczego? Czyż ja wyglądam na pijaka czy bikiniarza?

- Ach nie, skądże znowu, kotusiu. Wprost przeciwnie, wyglądasz na człowieka poważnego, który umie spędzać czas. Wyglądasz na człowieka niepospolitego.

- No, nie przesadzajmy. - Mohylny czuł się wyraźnie nieswojo. Z narastającą nieufnością patrzył na milicjanta.

- A więc nie traciłeś czasu, kotusiu. Nie traciłeś czasu, kotusiu, lecz wróciłeś do domu z panem Melassą, z panem Melassą. Jak to tam było - ty go zaprosiłeś czy też on sam się wprosił, sam się wprosił... Są, widzisz, tacy ludzie, którzy wprasają się nieraz kłopotliwie, nieraz kłopotliwie...

Mohylny drgnął i spojrział niespokojnie na Iwaniłłę, ale kapitan zajęty był intensywnym dłubaniem w uchu.

- Więc jak tam z tym było? - zapytał.

- On wcale się nie wpraszał. Miał jakiś interes. do Postura, więc poszedł ze mną.

- A... miał interes, miał interes do zamordowanego. A nie wiesz przypadkiem, kotusiu, o co mu chodziło?

- Nie pytałem go.

- A nie domyślałeś się? Nie próbowałeś się domyślić, co to za interes może mieć ten dziwny pan Melassa, który miał z sobą teczkę - Iwaniłło przewracał protokół - który miał z sobą teczkę z czymś, co przypominało owinięty w gazetę trzonek... owinięty w gazetę trzonek. Nadzwyczaj pasjonujący szczegół. A więc z teczką o godzinie dziesiątej zjawiamy się u ofiary. Wszak wtedy była już chyba dziesiąta godzina, jak myślisz, kotusiu?

- Myślę, że było dalej.

- Na przykład, kotusiu, na przykład?

- Na przykład kwadrans po dziesiątej.

- Jakże to, tyle czasu jechaliście z Bielan na Saską Kępę?

- Wyszliśmy o pół do dziesiątej, szliśmy do tramwaju kilka minut. Przesiadka w Alejach Jerozolimskich, niech pan policzy. A od przystanku na Rondzie Waszyngtona jeszcze kawałek drogi, my przecież szliśmy spacerkiem. Melassa ma taki zwyczaj, idzie, dyskutuje, jak się zapali, zatrzymuje się, wymachuje rękami. Znow rusza naprzód.

- Rozumiem, skłonności perypatetyczne, mogę sobie wyobrazić... Więc tak szliście obaj. Z tym że ty nie domyślałeś się, po co pan Melassa chce się zobaczyć z Posturem.

- Nie.

- I teraz też się nie domyślasz?

- Nie wiem, oni mieli z sobą jakieś sprawy literackie... Spotykali się, dyskutowali. Może i tym razem... Zresztą pan nie zna Melassy. To człowiek dziwny. Nieraz się zjawiał nie wiadomo skąd i znikał równie szybko, jak się pojawił. Bardzo oryginalny młody człowiek, myśliciel, pisarz.

- Pisarz? Nie słyszałem.

- Jest to indywidualność niedoceniana - uśmiechnął się Mohylny. - Będzie zapewne sławny dopiero po śmierci.

- Pan mnie zaciekawiasz, kotusiu. Pałam chęcią porozmawiania z panem Melassą. Z niezwykłym, tajemniczym, perypatetycznym panem Melassą, który krytycznego wieczoru zjawił się o godzinie kwadrans po dziesiątej w domu zamordowanego, by prowadzić z nim dyskusje literackie. No i co, długo prowadzili, kotusiu, tę dyskusję...

- Nie prowadzili wcale.

- Jak to!

- Postura nie było jeszcze w domu.

- Jeszcze nie było! - wykrzyknął Iwaniłło. - O dziesiątej jeszcze nie było ofiary w domu?

- Kwadrans po dziesiątej - sprostował ponuro Mohylny.

- Chwalebna ścisłość. Ale dlaczego mówisz, kotusiu, „nie było jeszcze”, czyżbyś go potem widział?

- Przecież zeznałem na początku - zdenerwował się Mohylny. - Widziałem go o godzinie jedenastej. Może nawet było pięć po jedenastej. - Mohylny otarł czoło: - Czy pan już kończy to przesłuchanie, czy dopiero się pan rozkręca, kapitanie?

- Dopiero się rozkręcamy, kotusiu, na razie na małych obrotach.

VIII. NITKA Z SAMODZIAŁU

Willa mecenasa Pontyckiego oddzielona była od „Gołębnika” żywoplotem, za którym dopiero montowano nowe ogrodzenie z siatki. Zza czerwonej, pomalowanej minią siatki wyglądała ściana szczytowa jednopiętrowej pudełkowatej willi. Część jej zakrywało dzikie wino o wspaniałych jesiennych kolorach, kładące się plamami o wszystkich odcieniach czerwieni na białą ścianę muru.

Po prawej stronie ściany pnące było zerwane i odsłaniało połamaną kratownicę drabinek, po których się wspinało na ścianę.

Przy zerwanymi winie krzatali się ludzie Iwaniłły. Szukali śladów. W jednym z nich Żurko poznał sierżanta Bojaka, z którym często pracował.

- No jak, Bojak, macie co?

- Tylko to, obywatelu poruczniku. - Bojak wyciągnął z teczki pudełko i otworzył je. - Welniana nitka.

- Samodziałowa - mruknął Żurko. - Gdzie ją znaleźliście, Bojak?

- Zaczepiona na gwoździu od drabinek na wysokości pierwszego piętra. Może metr od okna.

- Od którego? Widzę tu dwa.

- Od prawego, znaczy się od tego, gdzie winorośle zwisa. Drapał się po drabinkach na piętro i tam musiał zaczepić o gwóźdź. Samodziałowe marynarki i swetry strasznie są niepraktyczne w robocie. Aż dziw, że kryminaliści jeszcze ich używają. I to się mści.

- Jakiś fuszer singleton - dorzucił inny z ekipy. Włazić po takich kruchych szczebelkach i zostawić taką włóczkę. Materiał z Cepelii. Z takim śladem jutro kapitan będzie faceta miał w ręku.

- Gdzie ja widziałem podobny materiał? - mruknął zamyślony Żurko. - Gdzie ja go widziałem?

- Pewnie w Cepelii na wystawie. Na placu Konstytucji albo na Nowym Świecie - zauważył Bojak. - To się rzuca w oczy.

- Może w Cepelii - zgodził się Żurko - a może na kimś - dodał po chwili.

- Z takim śladem będziemy mieli faceta w trymiga. Kawał włóczki wyszarpany z fraka. O ile się nie mylę, obywatelu poruczniku, już nawet starożytnych urządzały nici, szczególnie w penetracji labiryntów.

Żurko spojrzał na sierżanta, czy nie kpi sobie z niego, ale twarz sierżanta była przepisowo poważna.

- Jest tam kto w środku? - zapytał pokazując na willę.

- Jest mecenas.

Żurko skinął głową i ruszył w kierunku drzwi. Otworzyła mu zapłakana dziewczyna. W chwilę później z głębi domu nadpłynęła mecenasowa Pontyska.

- Alicjo, prędko do kuchni! - rzekła ostro.

- Co się stało tej dziewczynie? - zapytał Trepka.

- Ach, niech pan lepiej nie pyta - mecenasowa zamachała gwałtownie rękami. - Nie dość, że włamanie, to jeszcze te historie ze służbą. Niech pan sobie wyobrazi, przyłapałam ją, jak przymierzała przy lustrze sukienkę mojej Gosi. Zupełnie nową sukienkę-worek. Wycygała ją bezczelnie. Moja Gosia jest taka naiwna! Już drugi raz w tym roku zdarza się taka sama historia. Wszystkie nowe sukienki oddaje Alicji. A oto i mój mąż! Panowie pozwolą.

Mecenas Pontyski był wystraszony wypadkiem.

- Taki bezczelny napad, panowie. Złodziej bezkarnie wspina się po ścianie, wchodzi przez okno i buszuje po domu. Kiedy zdałem sobie sprawę, jak w gruncie rzeczy jesteśmy łatwo dostępni i bezbronni, strach mnie obleciał. Gdyby nie to, że w powrotnej drodze załamała się drabinka i trzask zbudził naszą służącą, kradzież przeszłaby nie zauważona.

- Sądzi pan więc, że złodziej również wszedł po drabinkach od dzikiego wina?

- A którędy? Drzwi mają dobre zamki, nie znaleziono na nich żadnych śladów majstrowania. W oknach na parterze są kraty, jak panowie widzą. Złodziej mógł wejść tylko przez okna na piętrze. Jak stwierdziłem zresztą po fakcie, okna na piętrze nie były zamknięte, lecz uchylone. Te młode pannice lubią się hartować, panie.

- Bardzo higieniczny zwyczaj - powiedział z uznaniem Trepka.

- Być może, ale nie dla mojej kasy.

- Chcieliśmy porozmawiać z pana córką. Czy można ją zobaczyć?

- Gosia wyjechała do Śródmieścia przed paroma minutami, ale kapitan Iwaniłło ją przesłuchiwał. Jeśli pan sobie życzy, mogę poprosić Alicję, naszą pomoc domową.

- Dziękuję, to zbędnie w tej chwili - rzekł Żurko. - Mamy już tu protokoły z jej zeznań. Interesuje nas raczej opinia pana. Więc pan jest zdania, że złodziej wszedł przez okno do pokoju córki względnie pomocnicy domowej?

- Tak jest.

- Czy one słyszały coś?

- Nie, nie. To właśnie jest zdumiewająco. Złodziej musiał przechodzić przez pokój jednej lub drugiej, a żadna z nich nic nie słyszała. Alicja obudziła się dopiero wtedy, kiedy złodziej w drodze powrotnej połamał drabinki.

- Sen przy otwartym oknie bywa zdrowy - zauważył Trepka. - Nieraz kamienny. Aczkolwiek, przyznaję, niebezpieczny dla kasy. Ale, zdaje się, złodziej nie był zbyt zachłanny.

- No, dlaczego, panie kapitanie. Złoty zegarek „Omega”, płaszcz córki, książki, obraz...

- Obraz? - Żurko spojrzał na Trepkę. - Zdaje się, że pan nic nie wspominał kapitanowi Iwanille o obrazie.

- Istotnie nie wspominałem, gdyż obraz udało nam się odzyskać mimo uszkodzonej ramy. Złodziej porzucił go w czasie ucieczki. Znaleźliśmy pod domem. Nie należy się temu dziwić. Obraz był zbyt ciężki i niewygodny z powodu swoich okazałych wymiarów. Panowie zresztą ocenią sami. Oto ten - mecenas pokazał wielkie płótno zawieszony w rogu pokoju. Przedstawiało ono mężczyznę w stroju z epoki Rembrandta.

- Szkoła holenderska, XVII wiek - mruknął Trepka zakładając okulary - albo zręczna kopia. Czy pan wie coś o tym obrazie?

- Niestety, nabyłem go okazjnie w Pułtusku. Handlarz nie umiał mi nic powiedzieć na jego temat. Nazwałem go portretem pijaka, gdyż ten obywatel ma czerwony nos, a przed sobą kielich.

- Srebrne ramy ze srebrnej oksydowanej blachy - Żurko wodził nosem po obrazie. - Być może te ramy skusiły złodzieja.

- Tak, kapitanie, to jeszcze wszystko byłoby zrozumiałe, gdyby nie książki. Szkolne książki córki. Niech pan mi powie, po co były złodziejowi szkolne książki córki?

- Hm - chrząknął Trepka - to rzeczywiście dziwne. Czy ukradł je wraz z teczką?

- Tak jest.

- Może chodziło mu o teczkę?

- Wątpię, teczka była stara i zniszczona.

- Hm - chrząknął Trepka. - To rzeczywiście dziwne. Powiedziałbym nawet, niedorzeczne.

- Sądzi pan, że to jakiś wariat? - zaniepokoił się jeszcze bardziej mecenas. - Niech pan mnie nie przeraża - wariat w pokoju mojej córki. Wariat jest zdolny do wszystkiego. Dzisiaj włamanie, jutro, nie daj Boże, gwałt albo morderstwo... Panowie, ja mam córkę. Dzisiaj w nocy zamordowano naszego sąsiada. Panowie, ja się boję. To kraniec miasta... różne szumowiny... Panowie, ja kategorycznie proszę o milicyjną ochronę.

- Józku, spokojnie - mecenasowa położyła mu rękę na czole. - Pamiętaj o swoim sercu. Mąż cierpi na anginę pectoris - zwróciła się do oficerów. - Może by panowie już skończyli, ta rozmowa go denerwuje.

Oficerowie wstali.

- Niech państwo będą spokojni - rzekł Żurko - sądzę, że nic już nie grozi, W willi obok będzie czuwał nasz człowiek. Zresztą niepotrzebnie państwo kojarzą te dwa wypadki. Pan Postur został zamordowany na drugim końcu miasta.

- Myśli pan, że to nie ma żadnego związku? - zapytała z niedowierzaniem mecenasowa.

- Oczywiście, że nie. Zupełnie inny charakter przestępstwa i sposób jego wykonania wskazuje na dwie różne osoby.

- To dziwne, że tej samej nocy...

- Właśnie ta zbieżność czasowa wyklucza możliwość, by działał ten sam sprawca. Nie mógł się on przecież znajdować w dwu różnych miejscach na raz. Proszę być dobrej myśli. Wszystko wskazuje na to, że złodziej zostanie szybko ujęty.

Mecenasostwo uspokoiło się nieco.

- Dziękuję panu za słowa otuchy. Panowie rozumieją, jak to wszystko rozstraja nerwy - mecenasowa z uśmiechem podała rękę Żurce.

Gdy znaleźli się na dworze, Trepka jeszcze raz przyjrzał się połamanym drabinkom od dzikiego wina.

- Czy naprawdę sądzicie, przyjacielu Żurko, że te dwie sprawy nie mają z sobą nic wspólnego?

Porucznik uśmiechnął się chytrze pod długim nosem, ale nic nie odpowiedział.

Pod drzwiami „Gołębnika” do oficerów podszedł plutonowy Drabek z oficjalną miną.

- Poszlaki się zagęszczają - zakomunikował ponuro.

- Widzę to po waszej minie - rzekł wesoło Żurko.

- Znalazłem coś na parterze. Tam gdzie remontują.

- No?

- Ktoś rzucił niedopałek papierosa na podłogę - wyrecytował pogrzebowym tonem Drabek.

- Co wy powiadacie, a to niechluj - Żurko lubił drażnić się z Drabkiem.

- Pozwolę sobie zauważyć... - wyjąkał Drabek czerwieniejąc.

- Nie zwracajcie mi głowy. Od rana znosicie mi pety. Obrzydliwe! Skąd to u was? Pewnie jako chłopak zbieraliście je na ulicy.

- Obywatelu poruczniku... ten papieros to „Syrena” ze złotym ustnikiem. Robotnicy nie palą takich. Zresztą podłoga była uprzątnięta, bo murarze zakończyli pracę. Pozwolę sobie również zauważyć, że taki sam znalazłem w ogrodzie Rettingerów.

- Dajcie wy ani spokój z niedopałkami, papierosów, Drabek. Ile razy was słucham, mam wrażenie, że ktoś karmi mnie literaturą sensacyjną w złym stylu - jęknął Żurko.

- Znaczący, mam wyrzucić - mruknął urażony Drabek.

- No, no, bez głupich kawałów. Zabezpieczyć. Może się przyda.

- Tak jest - udobruchał się Drabek. - Porucznik się przekona...

Ale Żurko nie słuchał go już, bo zauważył zadyszanego Sojkę.

- Cóż to, Sojka - zmarszczył się - z próżnymi rękoma? Gdzie ten Melassa?

- Uciekł.

- Uciekł?

- Mieszkanie było zamknięte. Nikt nie odpowiadał. Pytałem dozorcę. Powiedział, że Melassa wczoraj wieczorem wyszedł gdzieś z walizką.

- No to ładnie - wycedził Żurko. - Ten pan staje się coraz bardziej interesujący. No cóż, zaczniemy poszukiwania. Trzeba postawić wszystkich na nogi.

Udzieliwszy Drabkowi instrukcji wdrapał się na górę „Gołębnika” i nakręcił numer telefonu Krystyny Parytet.

- Czy pani dzwoniła dziś rano do Piotra Mohylnego?

- Owszem.

- Czy mówiła pani, gdzie zostały znalezione zwłoki?

W telefonie przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Nie pamiętam dokładnie - odrzekła wreszcie.

- Czy użyła pani słów: „znalazłam zwłoki u siebie?”

- Nie mogę tego stwierdzić kategorycznie. Byłam tak zdenerwowana... mogłam mówić różne rzeczy.

Pajkert kończył już swoją robotę w pokoju Postura.

- Macie coś? - zapytał go Żurko.

- Zdjęliśmy parę ciekawych odcisków palców, poza tym na książce telefonicznej są jakieś numery telefonów zanotowane odręcznie. Trzeba by sprawdzić. W starym

kalendarzyku w biurku znaleźliśmy też zapisany numer książeczki oszczędnościowej denata. Poleciałem sprawdzić telefonicznie ostatnią wypłatę. No i jest jeszcze to - pokazał receptę lekarską - jeśli was interesuje, zupełnie nowa, z soboty, na jakieś zastrzyki.

- Doskonale - rzekł zadowolony Żurko. - Jak dotąd, idzie jak po maśle.

Otworzył drzwi do pokoju po prawej stronie. Kapitan Iwaniłło dręczył tu wciąż jeszcze Mohylnego.

- Poruczniku, jak Boga kocham - zwrócił się student do Żurki - może by już dosyć na dzisiaj. Powiedziałem wszystko, co wiem, i nic mądrego już nie powiem. Jestem głodny jak pies i mam mętlik w głowie. To niezdrowo wysilać się na czczo i to przy niedzieli, dniu świętym.

- Co wy na to, Iwaniłło? - zapytał Żurko.

- Rzeczywiście, młodzieniec zaczyna głądzić od rzeczy. Wysondowałem go dosyć skutecznie.

- Dobrze - mruknął Żurko. - Damy spokój na dzisiaj - przebiegł oczyma protokół. - A więc nie ma pan nic wspólnego z tą całą sprawą?

- Nic - mruknął Mohylny.

- Dobrze... a kto według pana mógł zabić Leona Postura?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Czyżby?

- Niechże mi pan da już spokój - jęknął Mohylny.

- Jak pan chce - rzekł zimno Żurko. - Proszę, niech pan siada do maszyny i napisze oświadczenie, że nic pan więcej nie wie.

- Nie umiem pisać na maszynie.

- Nie umie pan pisać na maszynie - powtórzył Żurko. - A ten list? - podetkał nagle Mohylnemu pod oczy kartkę znaną przy zwłokach.

Mohylny poderwał się z krzesła. Przebiegł szybko oczyma tekst maszynopisu i spojrzał wystraszony na Żurkę.

- Co to ma znaczyć? - wybełkotał. Oficerowie spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Rzadko zdarzało się, by przesłuchiwany w jednej chwili stracił cały tupet.

- Co to ma znaczyć? - powtórzył Mohylny z jakąś wściekłością w głosie.

- To właśnie my chcemy pana zapytać - uśmiechnął się zadowolony z efektu Żurko.

- Ja tego nie pisałem. To prowokacja. Skąd to pan wytrzasnął?

- Znaleźliśmy przy zwłokach Postura.

- Ktoś mi urządził ładny kawał.

- Pan sądzi?

- Ja tego nie mogłem pisać. A w ogóle to bzdura. Ja miałbym o Kryškę... Nie, to bezczelne. Bezczelne i głupie. Nigdy nie byłem zazdrosny o żadną kobietę. Nie potrzebowałem być zazdrosny - zaśmiał się nerwowo. - Jeszcze o Kryškę. Nigdy nic do niej nie czułem. Ktoś chciał mnie zrobić.

- Kto?

- No... morderca.

- To znaczy kto?

Mohylny zawahał się przez moment.

- Nie wiem - spuścił głowę. - Skądże ja mam wiedzieć? - dodał zdenerwowany.

- Ten, kto pisał ten list, znał jednak pana, i to chyba dobrze. Czy naprawdę nie może się pan domyślić, kto z waszych wspólnych znajomych, to znaczy Postura i pana, mógł zrobić panu ten, jak pan się wyraził, „kawał”?

- Nie mam pojęcia. Nikt nie wyglądał na taką świnię - odparł Mohylny. Był już z powrotem opanowany. Udało mu się odzyskać dawny kontenans.

Żurko zrozumiał, że nic więcej dzisiaj się od niego nie dowie, powiedział więc tylko:

- Teraz już tylko pozostaje ostatnia przykrość. Będziemy musieli przeszukać pański pokój.

- Mój pokój? Jakim prawem!

- Formalność. Niestety, chyba zdaje pan sobie sprawę, że jest pan naszym podejrzanym numer jeden.

- Numer jeden, jak to? - wykrztusił Mohylny,

- Jest pan znajomym i sąsiadem ofiary. Nie ma pan alibi. Odwiedzał pan miejsce, gdzie zamordowano Postura, no i ten list...

- Tylko nie list - warknął Mohylny, - Jeśli pan chce wiedzieć, to ja w ogóle nie mogłem tego listu napisać. List nosi datę siódmego września, a ja od piątego do dziesiątego siedziałem w śledczym. Może pan sprawdzić. W sprawie tej rozróbki pod „Kameralną”. Niewinnie byłem wsadzony aż do wyjaśnienia.

Żurko stropił się nieco.

- To się wyjaśni, a teraz siądź pan spokojnie. Obejrzymy sobie pokój.

Niestety, w pokoju Mohylnego nie znaleziono nic ciekawego. Student był człowiekiem ubogim i wiódł prawdopodobnie spartański tryb życia. Okazało się, że niemal całą garderobę miał na sobie. W szafie nie było ani jednej marynarki. Wisiały tylko jakieś dziurawe spodnie i podszyty wiatrem płaszcz w jodelkę. Poza tym żadnych przedmiotów, które mogłyby mieć jakiś związek ze sprawą.

- Nie szkodzi. Nic nie szkodzi - powiedział Żurko wychodząc z „Gołębnika” - w każdym razie wzięliśmy ładny start, panowie. Najważniejsze, że jest co gryźć. Jest za co łapać,

- I jest kogo łapać - dopowiedział Iwaniłło. - Dwu typków dało nura. Mocno podejrzanego nura. Takie wyjazdy w kilka godzin po morderstwie zawsze dają dużo do myślenia.

- Myślisz o Antonim Bujwidzie Żurawskim i o Melassie?

Iwaniłło skinął głową.

- Jeśli wierzyć Mohylnemu, ten emeryt zza ściany był ostatnim człowiekiem, który widział Leona Postura przy życiu. Poza tym ten kapitalny szczegół. Mohylny widział go z filiżanką jakichś ziół. Wiemy, że Postur źle się czuł wieczorem. Emeryt mógł pod pozorem pomocy... Wiesz, Hipolit, ja bym ci radził przeszukać jego pokój.

- Mamy czas - powiedział Żurko. - Znam ten typ staruszków. Wystarczy spojrzeć na jego wizytówkę na drzwiach. Narobiłby wrzasku na cały kraj. Nie pali się, poczekamy, aż się odnajdzie. Wystarczy, że zabezpieczę pokój. Nie podejrzewam go zresztą. Bardziej mnie niepokoi ten Melassa. Krytycznego wieczoru usiłował skontaktować się z zamordowanym. Potem nagle zapakował walizkę i znikł nie podając adresu. Na razie trzeba szukać, szukać, panowie. Brakuje mi tutaj trzech ważnych przedmiotów: okularów, kluczy i maszyny do pisania. Zwłaszcza tej maszyny do pisania. Gdybym wiedział, kto napisał ten list, miałbym mordercę w ręku.

- Za bardzo galopujecie, Żurko - zakaszłał Trepka. - Na dobrą sprawę nie znamy jeszcze motywu i sam rodzaj śmierci jest niejasny. Czy nie należałoby najpierw dowiedzieć się, co o tym wszystkim sądzą eskulapi?

- Spokojna głowa - Żurko odemknął drzwi wozu - już się o tym pomyślało, kapitanie. Mogę założyć się, że jutro rano w komendzie będą czekały na nas gotowe wyniki.

IX. ŻURKO I MEDYCYNĄ

Istotnie w poniedziałek czekały w komendzie na oficerów trzy ważne wiadomości. Po pierwsze reżyser Kalina potwierdził w całości zeznania Krystyny Parytet. Istotnie, Postur zainteresował go młodą aktorką i zaaranżował spotkanie w teatrze. Na pytanie, czy mieli się tam spotkać we trójkę, czy tylko on i Krystyna, odpowiedział, że to nie było właściwie

ustalone: „Sądzę w każdym razie, że Postur nie mógłby mam dotrzymać cały czas towarzystwa - dodał - gdyż wspominał o jakiejś ważnej sprawie, którą miał załatwić w sobotę wieczorem”. Co to była za sprawa, Kalina nie umiał wyjaśnić. Ustalono natomiast, i to było rewelacją, że w sobotę Postur podjął z książeczki PKO sto dwadzieścia tysięcy złotych w banknotach pięćsetzłotowych.

- No to mielibyśmy chyba i motyw - zatarł ręce Żurko. - To spory pieniądz. Nie ulega wątpliwości, że mordercy chodziło o te pieniądze. Książeczkę zniszczył, żeby utrudnić dochodzenie. Przy zwłokach nie było książeczki. Nie znaleźliśmy jej także w pokoju zmarłego.

- Ciekawe, w jakim celu Postur podjął te pieniądze - chrząknął Trepka.

- Tak, to byłoby ciekawe. Cyfra jest dosyć wymowna i chyba obaj pomyśleliśmy o tym samym. Zresztą to się da łatwo ustalić. Bardziej mnie cieszy, że mamy już wyniki sekcji zwłok. Wyższa technika, kapitanie.

Rzeczywiście Żurko umiał zadbać o stronę techniczną śledztwa. „Intensywna kooperacja”, tak nazywał awantury, jakie wyprawiał w Zakładzie Medycyny Sądowej, dawała pożądane efekty. Wystarczył podpis Żurki na papierach ofiary, by lekarze dla świętego spokoju brali natychmiast trupa pod nóż. Nie chcieli się narażać na osobiste wizyty Żurki, jego lamentsy, krzyki i pogroźki połączone z wymachiwaniem skalpelami.

Bywało, że rozsierdzony porucznik chwycił za lancet i chciał osobiście przeprowadzać sekcję, by dowiedzieć się, czy nieboszczyk nie ma w żołądku trutki na szczury, arszeniku lub cyjanku.

Tego rodzaju praktyki wyrobiły Żurce mocną pozycję w oddziale sekcji, aczkolwiek niewątpliwie wpływały na jakość szybkościowych ekspertyz.

Nawet kapitan Trepka nie mógł się powstrzymać od wyrażenia swego podziwu.

- Brawo, przyjacielu! - powiedział na widok gotowego protokołu sekcji. - Zawsze cenilem naszą owocną symbiozę. Powtarzam wszystkim dokoła, że w dobie powszechnej ślamazarności współpracować z wami to rozkosz.

- Chcieliście powiedzieć: pasożytować na mojej krwawicy - zażartował Żurko. - Czy nie zastanowiliście się, kapitanie, że w gruncie rzeczy uprawiacie swojego rodzaju kłusownictwo, buszujecie w cudzych regionach, strzelacie do zwierzyny, którą ja wystawiam do strzału?

- Nie mam zamiaru tym razem strzelać - odparł. - Jestem w tej sprawie w charakterze badacza, nie łowcy. Moje studia teoretyczne zabierają mi zbyt dużo czasu. Tak, przyjacielu Żurko, tym razem strzał musicie oddać wy.

- Dziękuję za łaskawość. Możecie być spokojni, że strzał będzie celny - Żurko szybko przebiegł oczyma treść protokołu sekcji. - Do diabła! - zaklął - w zwłokach odkryto morfinę, i atropinę. Kilka śladów po iniekcjach.

- Jaka jest ostateczna opinia co do przyczyny zgonu? - zapytał Trepka.

- Zaraz: „Zmiany w wątrobie, kamyki średniej wielkości w woreczku żółciowym”. Do diabła, co mnie obchodzi woreczek. „Zgon mógł nastąpić na skutek szoku i zapaści wywołanych urazami zewnętrznymi powłok” itd., itd. „lub też na skutek zatrucia morfiną albo też atropiną względnie morfiną i atropiną symultanicznie”. Dalej już tylko samo jałowe gadulstwo i żargon. Podpisano; doktor medycyny Oktawian Szczurek. Niech ich diabli z taką diagnozą. Mydlą oczy jak zwykle i wykręcają się sianem. Za kogo oni mnie mają? Ja się nie dam nabrać na te plewy. - Żurko skoczył do wieszaka i zaczął okręcać szyję szalikiem wątpliwej barwy i czystości.

- Co chcecie robić?

- Jadę do tych rzeźników. Radzę wam jechać ze mną. To też wam się przyda, do studiów.

W kilka minut potem obaj oficerowie wysiedli z wozu przy ulicy Oczki. Trepka przypuszczał, że będzie świadkiem „intensywnej kooperacji” porucznika Żurki ze światem lekarskim. Okazało się jednak, że fuszer umie dostosować się do sytuacji.

Doktor Oktawian Szczurek mył własnie ręce. Żurko wpadł z krzykiem do umywalni:

- Doktorze, jak Boga kocham, odkąd to bawimy się w Pytię?! Czy ja jestem w ceglaku na Oczki czy w Delfach?! Eskulapie najdroższy, szanuj moje nerwy!

Doktor Szczurek uśmiechał się za okularami, poruszając odruchowo i z nawyku mocno wysuniętą szczęką dolną.

- O co chodzi, generale? - udał, że nie rozumie.

- Chodzi o trupa z Bielan. Ten pobity brunet.

- Wypisałem mu przecież metryczkę.

- Doktorze, nie żartujcie ze mnie. A propos tej metryczki chciałem wam coś powiedzieć, ale obawiam się, że z pustym żołądkiem to niezdrowo. Pytio szanowna, zabieramy was do klubu.

Konsumpcja dobiegała końca. Doktor Szczurek ocierał usta chusteczką. Zaróżowił się po kieliszku mocnego koniaku. Odruchowe ruchy szczęki dolnej uśmierzyły się niemal zupełnie.

- Absolutnie nie mogę stwierdzić kategorycznie - uśmiechnął się do Żurki - za dużo ode mnie żądacie, generale. Świadczenie lekarskie to dokument...

- Jak to nie możecie kategorycznie... Odkrywacie morfinę i atropinę i nie możecie. To przecież trucizny...

- Także lekarstwa, generale. Wszystko zależy od dozy.

- Jaką więc była doza?

- Gdybyśmy to wiedzieli, generale, gdybyśmy to wiedzieli...

- Przecież w wyniku sekcji...

- W wyniku sekcji wiemy figę z makiem, generale. W przypadku morfiny i atropiny sekcja zwłok nie wykrywa charakterystycznych zmian.

- Więc skąd wiemy o morfinie i atropinie, Pytio droga?

- Przez badanie chemiczne i farmakognostyczne. Mocz, nerki i przewód pokarmowy Postura zawierały ślady tychże trucizn.

- A zatem trucizna mogła być wprowadzona doustnie.

- Tak jest. Chociaż z drugiej strony ślady iniekcji każą podejrzewać zastrzyk.

- Jednym słowem, doktorze, według was truto biednego Postura na wszelkie możliwe sposoby - zauważył nieco szyderczo Trepka.

- Nie, przypuszczam, że jedna z tych trucizn została podana w dawce leczniczej. Druga natomiast podstępnie jako trucizna.

- Która?

- Trudno powiedzieć. Osobiście i zupełnie prywatnie, prywatnie i nieobowiązująco, byłbym zdania, że Postura otruto atropiną. Atropiny jest więcej, mimo że w ustroju atropina łatwo rozkłada się i łatwiej uchodzi uwagi. Morfiny stwierdziliśmy zaledwie ślady...

- A więc przyczyną śmierci był zastrzyk atropiny? - mruknął Żurko.

- Niekoniecznie zastrzyk. Jak powiedziałem, atropinę stwierdziliśmy także w przewodzie pokarmowym. Z pewnością więc została wprowadzona doustnie. Na przykład w postaci wywaru.

- Wywaru?

- Atropina występuje w roślinach z rodziny psiankowatych, czyli tak zwanych solanacea, dobrze znanych zielarzom. Na przykład w wilczej jagodzie, w bieluniu dziędzierzawym, w lulku czarnym... Ale, jak powiadam, niewielkie dawki atropiny stosuje się także jako lekarstwo w pewnych chorobach...

- Na przykład?

- Na przykład w ataku woreczka żółciowego. Atropina przeciwdziała stanom kurczowym woreczka i łagodzi bóle. Sekcja zwłok wykazała u denata kamice żółciową. Możliwe więc, że denat zażywał jakiś lek z atropiną. Czy nie znaleziono w pokoju denata żadnych śladów lekarstw?

- Nie - mruknął Żurko. - Znaleźliśmy tylko receptę.

- Ma ją pan przy sobie?

- Niestety.

- Niech pan, generale, odnajdzie lekarza, który ją wypisał. Sądzę, że denat miał jakiegoś lekarza, u którego się leczył. Lekarz ten z pewnością udzieli cennych informacji.

- Tak trzeba będzie zrobić. - Żurko wychylił kieliszek i kiwnął na kelnerkę.

Znajdująca się wśród dowodów rzeczowych nie wykorzystana recepta nosiła datę 19 września i podpisana była przez doktora Baldurskiego ze spółdzielni lekarskiej „Diagnoza” na Nowym Świecie. Na recepcie wypisano zastrzyki „sol. morphini hydrochlorici 1% a 1 ml No X” i „sol atropini sulfurici 0,1% in ampulis a 1 ml. No X”.

Zabrawszy receptę, Żurko pojechał do „Diagnozy”. Doktor Baldurski przebiegał się właśnie w fartuch lekarski. Miał zacząć przyjęcia. Był to okrągły na twarzy, rumiany, tęgi mężczyzna.

Dowiedziawszy się, że ma do czynienia z milicją, zaniepokoił się wyraźnie.

- Co się stało, panowie? - zapytał błędąc.

- Czy u pana leczył się pacjent nazwiskiem Leon Postur? - zapytał zimno Żurko.

- Leon Postur? Owszem. Młody, wesoły malarz o nieco abstrakcyjnym humorze. Bardzo oryginalny, młody człowiek. Tak, owszem, przypominam sobie... To nie był zwyczajny pacjent. Zawsze opowiadał mi jakieś niecenzuralne dowcipy i krzyczał przy badaniu. Przewrażliwiany i niecierpliwy pacjent.

- Na co pan leczył Leona Postura?

- Cholelithiasis - odparł szybko lekarz.

- Co to za zwierzę?

- Kamica żółciowa.

- Kiedy ostatnio Postur był u pana?

- Niedawna, zdaje się w piątek... zaraz sprawdzę - wyciągnął kartę chorobową. - Nie, w sobotę.

- Na co się skarżył?

- Na bóle w okolicach wątroby. Stwierdziłem lekkie podrażnienie woreczka żółciowego. W wyniku przesuwania się kamieni wystąpiła u pacjenta mała kolka wątrobowa. Colica hepatica, czyli tak zwane bóle kurczowe woreczka.

- Co pan przepisał choremu?

- Przede wszystkim dietę, a także pewne środki rozkurczowe i antybólowe.

- Jakież?

- Morfinę z atropiną w zastrzykach.

- O której godzinie pacjent był u pana?

- Około siedemnastej.

- A czy na miejscu otrzymał jakąś pomoc... to znaczy jakieś lekarstwa czy może zastrzyki?

- Owszem, .Otrzymał zastrzyk morfiny z atropiną w pokoju zabiegowym.

- Czy może doktor poprosić pielęgniarkę, która dawała zastrzyk?

- Ale co się stało, panowie? - lekarz był wystraszony nie na żarty.

- Pański pacjent... zmarł.

- Zmarł... co też panowie... sprawa nie była groźna. Dostyc bolesna, ale w żadnym wypadku niegroźna.

- Pański pacjent zmarł nie na woreczek żółciowy - powiedział Żurko patrząc na niego uważnie. - Pański pacjent zmarł na skutek zatrucia.

- To niesłychane! - doktor Baldurski usiadł z wrażenia na krześle. - Czyżby znowu jad kiełbasiany?

- Nie - rzekł ostro Żurko. - Atropina.

- Niemożliwe!

- Mamy orzeczenie Zakładu Medycyny Sądowej. Analiza chemiczna wnętrzości wykazała atropinę.

- To chyba jakieś nieporozumienie. Obecność atropiny nie dowodzi przecież niczego.

Panno Marysiu - zwrócił się do wchodzącej pielęgniarki - jaki zastrzyk otrzymał pan Postur?

- Jeden milimetr sześcienny atropini sulfurici - odparła szybko pielęgniarka.

- Czy jest pani tego pewna? - zapytał Żurko.

- Absolutnie.

- Atropinę mamy tylko w takich małych ampułkach. Zastrzyk zawierał niespełna milimetr sześcienny czystej atropiny, podczas gdy dawka trująca wynosi pięćdziesiąt do stu razy więcej, to znaczy od 0,05-0,1 grama - wyjaśnił lekarz - a zatem o zatruciu w wyniku zastrzyku nie może być mowy. Nawet gdyby pacjent otrzymał dziesięć takich zastrzyków, nie zagroziłoby to jego życiu. Dawki były minimalne, a poza tym musimy wziąć pod uwagę, że morfina i atropina w pewnym sensie stanowią na siebie wzajemną odtrutkę, co jeszcze bardziej zmniejsza możliwość niebezpieczeństwa.

- Pan Postur poczuł się bardzo dobrze po zastrzyku. Bóle od razu ustąpiły - powiedziała pielęgniarka. - Radziłam mu jednak położyć się do łóżka, ale odpowiedział, że to jest wykluczone, gdyż ma masę spraw do załatwienia.

Żurko zdenerwowany schował receptę.

- Czy pan doktor nie zapisywał przypadkiem choremu jakichś proszków, mikstur lub ziół?

- Nie! Po co? Zastrzyki leczą radykalniej. Ale dlaczego pan pyta?

- Ponieważ atropinę odkryto w przewodzie pokarmowym, nie tylko w nerkach.

- W przewodzie pokarmowym?

Żurko wstał.

- Jednym słowem, doktorze, wyklucza pan możliwość zatrucia lekarswami. A jeśli w aptecę pomyłono się?

- Nie, to raczej niemożliwe.

- Czyli należy przypuszczać, że śmierć nastąpiła w wyniku podstępnego zaaplikowania atropiny przez mordercę na przykład w ziółkach, vide zeznania Mohylnego... albo w drugim zastrzyku.

- Recepta na zastrzyki nie została zrealizowana - zauważył Trepka.

- To nie szkodzi. Mógł się znaleźć ktoś uczynny, kto służył atropiną bez recepty.

- Kto?

- Zdaje się, że znam taką osobę. - Żurko zapatrzył się w okno.

- Myślicie o Dopustowe j? - zapytał Trepka.

- A choćby nawet. Macie coś przeciwko temu?

- Och nie, bynajmniej!

- Niesłychane! - zasapał doktor Baldurski. - Czego to mordercy nie wymyślą. Truć ludzi atropiną. Pierwszy raz słyszę.

Stał zaaferowany na środku pokoju. Kiedy oficerowie byli już przy drzwiach, powiedział nagle:

- Mam do panów jedną prośbę. Czy mógłbym obejrzeć zwłoki? To był mój pacjent. Ta śmierć mnie mocno poruszyła. Nie mogę wprost uwierzyć... Dlaczego atropina? - zamruczał do siebie.

- Oczywiście. Chętnie, doktorze, spełnimy pana prośbę.

X. STRZYKAWKA, CZYLI REKWIZYT GRAJĄCY

- Co też panowie? O Jezu! - Dopustowa wypuściła z ręki talerz. - Nie dawałam żadnego zastrzyku. W ogóle nie widziałam pana Postura żywego na oczy. Dopiero jak był trup. Jak miałam dawać, kiedy nawet strzykawki nie mam.

- No, no, pani Dopustowa - nastroszył się Żurko. - Już my o tym cokolwiek wiemy.

- Z jak najlepszej strony - uśmiechnął się dobrotliwie Trepka lękając się, by metoda zastraszenia stosowana najchętniej przez Żurkę nie skomplikowała niepotrzebnie dochodzenia. - Wiemy, że pani chętnie spieszy z pomocą cierpiącym.

- Ja? A któż to panom powiedział? - Dopustowa zmierzyła nieufnym spojrzeniem milicjantów.

- Pani „lekką ręką” jest znana na Bielanych. - Trepka rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Sądziliśmy...

- Głupie ludzkie gadanie! - przerwała mu ze złością Dopustowa. - Nie praktykuję już od dawna. Czasem mnie jeszcze proszą, żebym zrobiła zastrzyk... zdarzy się jakiś nagły wypadek, nie można czekać na Pogotowie, no to idę i robię, sumienie mi inaczej nie pozwala, panowie sami rozumieją, ale to się przecież nie liczy. A już co do pana Postura to się przysięgam... żadnego zastrzyku nie dawałam, a strzykawkę pożyczyłam pannie Krystynie.

- Krystynie Parytet? - zmarszczył brwi Żurko. - Kiedy?

- A już tydzień będzie. Prosiła mnie, żeby jej pożyczyć, bo się uczy na jakichś kursach... PCK, zdaje się. Chciała nawet ma mnie próbować, ale się nie zgodziła. „Niech sobie pani kupi kilo wołowiny - powiedziałam - i próbuje”.

- Więc strzykawka jest u pani Parytet? - zapytał Żurko.

- U panny Parytet - przytaknęła Dopustowa.

- Ciekawe, Trepka, co? - przymrużył oczy

- No cóż, przejdźmy się wobec tego do panny Parytet.

- Załatw to sam, przyjacielu - zakaszła Trepka. - Ta młoda osoba nie jest do mnie nastawiona zbyt serdecznie. Poczekam tu na ciebie.

Żurko wzruszył ramionami i popędził na górę.

Krystyna Parytet siedziała z książką na tapczanie. Na widok porucznika zerwała się na nogi.

- Ach to pan! - zawołała zaskoczona, ale bez specjalnego zmieszania.

- Pani się mnie nie spodziewała? - uśmiechnął się Żurko. - Proszę wybaczyć, że jeszcze niepokoję panią, lecz muszę wyjaśnić jeden mały szczegół... Pani pożyczyła strzykawkę od Dopustowej, prawda?

- Tak - rzekła z wahaniem. W jej oczach pojawił się na chwilę cień niepokoju.

- Czy może mi pani pokazać tę strzykawkę?

- Oczywiście - usiłowała nadać głosowi naturalne brzmienie, ale Żurko zauważył, że usta jej zadrzały.

Podeszła do kredensu, wspięła się na palce i zdjęła niklowane błyszczące pudełko.

Otworzyła je i nagle na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

- Co się stało? - zmarszczył brwi Żurko.

- Strzykawka... - szepnęła - strzykawka zniknęła.

Żurko spojrział na puste pudełko, potem na przerażoną dziewczynę.

- Jak mogła zniknąć? - zapytał.

- Nie wiem. Zupełnie nie rozumiem.

- Kiedy pani widziała strzykawkę po raz ostatni?

- Chyba w sobotę. Tak, w sobotę rano. Ćwiczyłam się w robieniu iniekcji...

- Na wołowinie - skrzywił się Żurko.

- Tak, skąd pan wie? Dopustowa panu powiedziała?

- Mniejsza z tym. Wiec twierdzi pani, że od soboty nie zaglądała pani do pudełka?

- Nie miałam głowy.. Po tym, co się stało.

- Czy jest pani pewna, że w sobotę rano schowała pani strzykawkę do pudełka?

- Tak. Pamiętam dokładnie.

Żurko zamyślił się.

- Dlaczego pan nic nie mówi? - zaniepokoiła się. - O czym pan myśli?

- Myślę - wycedził zimno Żurko - że praktykowanie zastrzyków na kawałku wołowiny może być nudne.

- Nie rozumiem - zbladła Parytetówna.

- Myślę, czy przypadkiem nie wpadło pani do głowy sprawdzenie swoich umiejętności na żywym człowieku.

- Więc pan, więc pan. sądzi, że ja... O Boże! - zakryła oczy.

- Dlaczego to panią tak przeraziło? - uśmiechnął się niewinnie Żurko. - Czyżby pani sądziła, że Postura zabito zastrzykiem?

Parytetówna zmieszala się.

- Nie. Skąd. Pan jest straszny. Ja nic nie sądzę, nic nie wiem.

- Szkoda. A już miałem pogratulować pani domyślności.

- Domyślności?

- Tak, droga pani. Pani znajomy został jednak zabity zastrzykiem. Zastrzykiem atropiny, jeśli to panią interesuje. Atropiny, czyli belladony.

- Belladony? Niemożliwe! Biedny, kochany Leon - rzuciła się na tapczan i zaczęła łkać.

Żurko wstał i pokiwał głową.

- I pani chce zostać aktorką. Musi się pani jeszcze dużo uczyć, dziewczyno.

Wykręcił się na pięcie i ruszył do drzwi.

- Pan jest straszny! Pan jest okropny! - Parytetówna krzyknęła do niego z tapczanu. - A ja pana uważałam za sympatycznego mężczyznę.

- Mam jeszcze pani do zakomunikowania jedną przykrą nowinę - rzekł oschle Żurko. - Będziemy musieli przeszukać pani pokój.

Jeśli jednak myślał, że tym sposobem skłoni Krystynę do zeznań, to omylił się zasadniczo.

- Może pan szukać - odpowiedziała ocierając łzy. - Nic pan tu nie znajdzie.

Żurko chrząknął i bez przekonania zabrał się do roboty.

Jedynym efektem tej niewdzięcznej pracy był pewien list, który dziwnym trafem znalazł się na wierzchu biurka, chociaż nosił datę sprzed dwu miesięcy. List ten pochodził od Melassy i zafrapował Żurkę swoją treścią. A ściślej treścią swojego postscriptum.

„Przepraszam cię najmocniej za to, co się stało nad Wisłą - pisał Melassa - wierz mi, że nie miałem złych intencji. Ale musisz przyznać, że tym razem Leon przeholował. Na drugi raz mogę się nie opanować i...”

- Co to był za incydent? - zapytał Żurko.

- Nie warto o tym wspominać - powiedziała pośpiesznie Krystyna. - Małe nieporozumienie towarzyskie. Postur zaczął sobie żartować z poglądów Melassy. Melassa jest bardzo przewrażliwiony na punkcie swoich idei. Gonili się po plaży i... - urwała.

- I co?

- Postur wbiegł do wody, Melassa za nim. Melassa jest bardzo silny i doskonale pływa. W pewnym momencie zauważyłam, że no... że on topi Leona.

- Jak to? - Żurko spojrzał na nią zelektryzowany.

- No, po prostu wziął go za głowę i zanurzył w wodzie. Narobiłam krzyku. Melassa dopiero wtedy puścił Leona. Musieliśmy go potem cucić na brzegu. Melassa był zmieszany.

Mówił, że tylko żartował, nie przypuszczał, że Leon jest taki słaby... Trochę nieprzyjemne zdarzenie, ale bez zupełnego znaczenia.

- Tak pani myśli?

Żurko zamyślony zszedł po schodach na dół. W hallu było pusto. Zaczął rozglądać się za Trepką. Nagle z wnętrza mieszkania dobiegło go stukotanie maszyny do pisania. Zaskoczony, pchnął drzwi do gabinetu Rettingera i osłupiał. Przy biurku połyskiwała różowa łysina kapitana. Starszy pan z biegłością, o którą nigdy by go nie podejrzewano, wystukiwał jakiś tekst na maszynie.

- Co robicie, Trepka?! - zawołał Żurko.

- Zamknijcie drzwi - rzekł kapitan nie przerywając pisania. - Jak widzicie, piszę na maszynie, przyjacielu Żurko. Maszyna do pisania. Czy to ci nic nie przypomina, przyjacielu?

- Do licha, nie myślicie chyba... - zaklął Żurko przygryzając wargi.

- Ależ tak. To jest zdumiewające, jak czasem wszystko się łatwo układa - kapitan wykręcił z maszyny kartkę papieru i podał Żurce. - Przeczytajcie.

Żurko wybałuszył oczy.

- Przeczytajcie i porównajcie z tym listem, który znaleźliśmy przy trupie. Nie trzeba ekspertyzy - zamruczał Trepka podnosząc drugą kartkę. - Ta maszyna to mocno sfatygowane narzędzie. I jak każda stara rzecz, ima swoją indywidualność. To „e” na przykład zupełnie wysadzone do góry. Albo „A” z uszkodzoną prawą nóżką. Albo to „s” jakieś pogrubione i słabo odbijające...

- Rzeczywiście - rzekł podniecony Żurko, - To jest uderzające. Nie może być wątpliwości. List został napisany na tej maszynie. Pytanie tylko, przez kogo?

Żurko dopadł do drzwi i zawołał Dopustową.

- Kto ostatnio pisał na tej maszynie?

- A któż miał pisać? Kiedy pana nie ma, nikt nie mógł pisać. Ja tam nie umiem - wzruszyła ramionami gospodyni

- Więc od wyjazdu Rettingera nikt nie używał maszyny?

- A pewnie, że nikt.

- A przedtem?

- Tylko pan Rettinger, ale może tylko dwa razy widziałam, jak pisał. Bo ta maszyna jest nowa.

- Nowa? - zmarszczył brwi Żurko. - Przecież to stary trup.

- To znaczy, ona jest stara, ale pan Rettinger niedawno ją kupił.

- Gdzie? Od kogo?

- Skądże ja mogę wiedzieć? Wiem tylko, że przywiózł ją z Niemiec. Pan Rettinger był służbowo w Berlinie i gdzieś ją kupił, podobno bardzo tanio.

- Kiedy to było?

- Ano wrócił ósmego. Tu już czekała na niego ta wiadomość o synu... panowie wiedzą... Tak się tym przejął, że dostał ataku sercowego i zaraz wziął urlop zdrowotny i oboje z panią wyjechali do Krynicy. Co tu było, proszę pana, przed tym wyjazdem!

Trepka zamachał rękami.

- Oczywiście, oczywiście! Niech mi pani jeszcze jedno powie. Tu na oknie leży stos papieru maszynowego. Czy on dawno tu leży?

- Przez całe lato chyba. Nie sprzątałam, bo względem papierów to pan Rettinger zabronił cokolwiek ruszać.

- Czy Rettinger po swym powrocie z Berlina, gdy pisał na maszynie, brał papier z okna?

- Nie. To jest papier do brudnopisów. Po powrocie z Berlina pan Rettinger pisał tylko urzędowe listy na lepszym papierze, tym, co jest w szufladzie. Zresztą tamten papier na oknie strasznie zżółkł od słońca.

- Pani jest doskonale zorientowana, dziecino - przerwał Trepka - jednakże tu się pani omyliła. Ten papier nie jest cały żółty. Tylko do połowy.

- Jak to... nie rozumiem. - Dopustowa wytrzeszczyła oczy.

- Niech pani spojrzy, dziecino - Trepka wziął ją za ramię i podprowadził do samego okna - leży tutaj stos kartek do pisania. Ta na wierzchu jest rzeczywiście pożółkła od słońca, ale tylko do połowy... dalej jest biała... Co to znaczy? To znaczy, że na tej kartce leżała jeszcze jedna kartka, a ściślej, połówka kartki, dość zresztą niestarannie oddarta, o wystrzępionych brzegach. Wszystko to odbiło się dość dokładnie na drugiej kartce. Czy pani nie wie, kto mógł wziąć tę połówkę kartki z wierzchu?

- Nie wiem, nie pamiętam nawet, czy tam była jakaś połówka - rzekła dziwnie rozdrażniona Dopustowa. - Mówię tylko, że było wszystko żółkłe na wierzchu. Tylem zapamiętała i mówię. Jeszcze w sobotę, pamiętam, robiłam porządki i myślałam, czy tych papierów nie wziąć z okna, bo całkiem żółkły.

- A jednak ktoś wziął ten kawałek papieru z okna - wtrącił ostro Żurko - wziął go, napisał na nim list na maszynie i umieścił w kieszeni trupa.

- W kieszeni trupa... O Jezus, co też pan! To niemożliwe! Nikt nie mógł wziąć.

- Niech pani zobaczy, dziecino - Trepka położył list na białej połówce kartki papieru maszynowego. Czy pani widzi? Te postrzępione brzegi pasują jak ulał. Jeśli pani twierdzi, że w sobotę rano ten kawałek papieru leżał jeszcze na swoim miejscu, to znaczy... to znaczy, że został zabrany później. Na przykład w nocy. Wtedy, kiedy zamordowano Leona Postura. Musiał być zabrany. Mało tego. Ktoś, kto go zabrał, wystukał najpierw na nim list. Ten list. W domu była tylko pani, dziecino, i panna Parytet. Czyż nie tak? A więc...

- O Boże, Boże miłościwy! - Dopustowa patrzyła przerażonymi oczyma to na Trepkę, to na Żurkę. - Panowie nie myślą przecież, ja nawet pisać nie umiem...

- Widzi pani, jak mści się kłamstwo w zeznaniach - podniósł głos Żurko. - Pani się sama zapędziła w kozi róg.

- Jakie kłamstwo? Co też pan, panie poruczniku - wykrztusiła.

- Pamięta pani swoje bajeczki o kocie? Pani dobrze wiedziała, dlaczego kot znalazł się za oknem. Bo wtedy, kiedy pani weszła do pokoju, okno było otwarte. Dlatego pani wyjrzała przez okno. Nie dlatego, że za szybą siedział kot. Okno było otwarte, a ten sen, ten rzekomy sen o karabinach maszynowych, które terkotały, w rzeczywistości wyglądał tak, że pani słyszała... Rozumie pani, co mówię? Pani słyszała, ale terkot maszyny do pisania.

- Nie, nie, jak Boga kocham, to był sen, tylko sen. Śniły mi się karabiny maszynowe, pistolety i wojna... - Dopustowa wybełkotała z przestachem. - Tylko to jedno, to pan porucznik ma rację - rzekła cicho. - Okno było otwarte. Niezupełnie otwarte... przymknięte... ale było. A przecież pamiętam, że przed snem wszystko pozamykałam.

Żurko spojrzał zadowolony na Trepkę i przymknął oko, ale kapitan nie zauważył tego. Wpatrywał się pilnie w Dopustową.

- Ale dlaczego, dziecino, nie powiedziała nam pani prawdy? - zapytał wreszcie.

- Bałam się.

- Groził ktoś pani - wtrącił Żurko.

- Nie, bałam się, żeby moi państwo nie pomyśleli, że to przeze mnie, że to ja nie zamknęłam na noc okna i ktoś wszedł do mieszkania. Jeszcze jak zobaczyłam, że ktoś leży za oknem, taki mnie strach obleciał... Nie chciałam, żeby się panowie z czymkolwiek do mnie przyczepili. Sprawdziłam zaraz, czy co nie zginęło. Czy nie ukradli czego. Ale wszystko było na miejscu.

- Wszystko?! - wykrzyknął Żurko. - A masło, a kotlet schabowy, a słój śmietany!

Dopustowa otworzyła szeroko usta.

- Jakoś mi przez myśl nie przeszło. Bo jakże, panowie... tu trup, a tu śmietana.

Pomyślałam, że tylko kot...

- Skądże pani wiedziała, że to trup? Ja bym pomyślał zupełnie inaczej. Ktoś zakradł się do pokoju przez okno. Może jakiś chuligan, może pijak, nic nie znalazł, co by mu odpowiadało, więc tylko nażarł się, a potem wyskoczył oknem, może nogę skrzył, może coś sobie złamał albo przetrącił i tak został. Albo po prostu był pijany i usnął. A pani od razu z taką pewnością, że trup. Wychodziła do niego pani? Sprawdziła, czy żyje? Czy też może...

- Nie, nie, ja nic... Ja tylko takie miałam przeczucie, że to musi być trup.

- Aha, przeczucie - uśmiechnął się Żurko.

- Jedno jest pewne - dodał, gdy zostali sami. - List został napisany przez mordercę w celu skierowania podejrzeń na Mohylnego...

- Dlaczego akurat na Mohylnego? - przerwał mu Trepka.

- Nie wiem. Zresztą... to nie jest ważne. Może dlatego, że Mohylny nosi takie ponure nazwisko i łatwo jakoś zasugerować, że to on, może dlatego, że był sąsiadem i przyjacielem ofiary... albo że morderca chciał się na nim zemścić. Może z powodu tego, że Mohylny był notowany milicyjnie i miał niezbyt dobrą opinię. Tak, wybór kozła ofiarnego był dość trafny, tylko że wykonanie techniczne zawiodło. Wygląda na to, jak by ten pomysł wpadł mordercy do głowy w ostatnim momencie. I oczywiście wykonał go źle. Przechytrzył. To się zdarza często. W pewnym momencie wydało mu się, że nie jest zabezpieczony, że milicja może wpaść na jego ślad, i zdjął go strach. Pragnął się zabezpieczyć dodatkowo i stąd ta historia z listem.

- Jest tu jakaś niejasna sprawa - zakaszłał Trepka. - Zakładasz, że morderca był w mieszkaniu Rettingerów. Lecz jak się tam dostał? Wszystkie drzwi i okna były zamknięte.

- Mógł je otworzyć wytrychem.

- Przypomnij sobie opinię Pajkerta. To nie był zręczny włamywacz. To był amator. Nie umiał sobie poradzić nawet z biurkiem. Tymczasem na drzwiach nie było śladów majstrowania.

Żurko uśmiechnął się.

- Fuszer-singelton, jak mówi Iwanillo. A propos, czy nie zauważyliście, Trepka, pewnego podobieństwa między techniką i stylem włamania do Rettingerów i do Pontyskich?

- Być może, lecz u Pontyskich było od razu wiadomo, któredy i jak dostał się złodziej. Tymczasem u Rettingerów...

- Dostał się równie zwyczajnie - wpadł mu w słowa Żurko.

- Jak to, przyjacielu? - Trepka poruszył niespokojnie uszami.

- Za pomocą dorobionych kluczy - Żurko uśmiechnął się nie bez małego szyderstwa. Lubił przyłapywać Trepkę na małych potknięciach i sprawiało mu przyjemność wprawianie go w stan dzieciennego zdziwienia.

- Kluczy? Jakich kluczy, przyjacielu?! - wykrzyknął Trepka.

- Zapomnieliście, że Dopustowej zginęły na dwa dni przed wypadkiem klucze. Czy nie przyszło wam na myśl, że ktoś mógł je sobie po prostu pożyczyć jako wzór dla sporządzenia drugiego kompletu?

- Zapewne - powiedział Trepka - tylko że my to wszystko wiemy tylko od Dopustowej. Wierzmy jej na słowo honoru...

- Zdaje się, że nie mamy powodów nie wierzyć. Jej dzisiejsze zeznania...

- Były wymuszone, przyjacielu Żurko.

- Wymuszone!

- Ależ tak! Została przez was doprowadzona do takiego stanu, że nie widziała innego wyjścia, jak przez tę furtkę, którą jej sami podsunęliście. Bardzo zresztą dla niej wygodną. To ją od razu postawiło poza stanem oskarżenia.

- Nie rozumiem, myślicie więc, że ona sama... Nie, to przecież niedorzeczne.

Trepka milczał zapatrzony w szybę.

- To przecież niedorzeczne - powtórzył Żurko, ale w głosie jego czuło się już wątpliwość.

W hallu rozległy się kroki, ktoś wesołym głosem pytał o kapitana Trepkę.

Żurko otworzył drzwi i stanął oko w oko z uśmiechniętym szeroko Kajtusem.

- Co tu robicie, kapralu?

- Przybyłem pozasłużbowo, obywatelu poruczniku.

- Nie zwracajcie mi głowy. Jestem zajęty.

- Rozumiem. Obywatel porucznik szuka strzykawki i belladony.

- Jak rozumiecie, kapralu, to wynoście się do cholery!

- Już się robi - Kajtus urażony trzasnął obcasami.

- Kajtus, co to ma znaczyć?! - krzyknął Trepka. - Nie przyszliście tu chyba po to, żeby nam pokazać swoją gębę. Dokąd uciekacie?

- Obywatel porucznik Żurko kazał mi się wynieść do cholery.

Trepka spojrział na Żurkę z wyrzutem. Żurko był zakłopotany. Drażliwość kaprala Kajtusa często była powodem zatargów między obu oficerami.

- Bez dąsów, Kajtus. Służbowo czy niesłużbowo, myślę, że przyszliście w jakimś konkretnym celu.

- Ma się rozumieć, kapitanie. Ale najpierw pokażę, co znalazłem przechodząc przez ogród Rettingerów - to mówiąc Kajtus wydobyl z kieszeni mały przedmiot. - Czy tego obywatele szukali?

- Strzykawka! - wykrzyknął Żurko. - Ostrożnie, Kajtus. Tam mogą być odciski palców.

- Nie ma żadnych odcisków. Sprawdziłem. Fachowa robota. Zawsze noszę przy sobie proszek daktyloskopijny.

Żurko westchnął. Umiejętności i wiedza fachowa kaprala Kajtusa zawsze budziły w nim niepokój.

- Gdzie to znaleźliście, Kajtus?

- Na drzewie.

- Co takiego? - osłupiał Żurko.

- Na drzewie, obywatelu poruczniku. Akurat słońce się pokazało, jakem tu jechał. W ogrodzie wesoło, wróble i sikorki...

- Do rzeczy, Kajtus.

- Przecież mówię rzeczowo. Ćwierkanie na drzewach. Patrę, a tu coś błyszczy na pniu. Podchodzę bliżej zaciekawiony, a to strzykawka. Wbita w pień czereśni na wysokości głowy.

- Niesłychane! - Żurko ze strzykawką w ręku wybiegł z mieszkania. - Na którym drzewie, Kajtus?

Kapral pokazał czereśnię w kącie ogródka.

- Nie do wiary - zamruczał Żurko. - Przecież w niedzielę sam osobiście szperałem po ogrodzie. I wszyscy ludzie Pajkerta. Tego nie można było przegapić. Jeden rozsądny wniosek, że...

- Że strzykawkę wbito tu później - dokończył Trepka.

Żurko rozglądał się dokoła z bezsilną pasją.

- Panowie - rzekł wreszcie. - Tu ktoś z nas kpi w żywe oczy. Ale ja znajdę tego wesółka.

- Nie wątpię w to ani na chwilę, przyjacielu Żurko - zakaszłał Trepka, a w jego siwych oczach błysnęły wesołe ogniki.

Porucznik spojrział na niego podejrzliwie, czy nie kpi, ale starszy pan poważnie gładził się po łysinie.

- W każdym razie w tej chwili dalsze poszukiwania są zbędne - mruknął. - Jeśli nawet gdzieś w willi była atropina, do tego czasu została usunięta. Strzykawkę damy w ręce ekspertom, ale też wątpię, czy coś tam znajdą!

- Tak jest, obywatelu poruczniku - wtrącił Kajtus. - Lepiej od razu pojechać na Saską Kępę do „Gołębnika”.

- Co takiego? Niby dlaczego? - zapytał zaskoczony Żurko.

- Dlaczego? Bo siwy gołąb wrócił - uśmiechnął się Kajtus. - Ja właśnie w tej sprawie... Pomyślałem, zanim obywatela kapitana i obywatela porucznika tu znajdą, ja będę pierwszy.

- Siwy gołąb! Wyrażajcie się po ludzku, Kajtus! - krzyknął Żurko.

- No ten, jak mu tam, Antoni Bujwid Żurawski. Siedzi teraz na walizce przed drzwiami do swojego pokoju i denerwuje się, bo go nie chcemy wpuścić. To znaczy Drabek, bo ja już jestem po służbie i działam pozasłużbowo, obywatelu poruczniku, w ramach ogólnego zainteresowania.

Aha, jeszcze jedno, w południe listonosz przyniósł do tego pana list. Może zainteresuje obywatela porucznika.

To mówiąc wręczył Żurce nie zaklejoną kopertę.

- Otwieraliście, Kajtus?

- Niech mnie Bóg broni... Taki już przyszedł. Obecnie klej na kopertach jest bardzo słaby.

Żurko wyciągnął list z koperty, przeczytał i oddał Trepce.

- Hm, to może być nawet ciekawe. Dosyć ciekawe, nieprawda, Trepka?

XI. POWRÓT TRUCICIELA

Gdy tylko obaj oficerowie i Kajtus weszli na schody „Gołębnika”, zrozumieli, że coś tu nie jest w porządku. Z góry dobiegały ich na przemian to głucho uderzenia, to jakieś brzęczenia metaliczne, a jednym i drugim towarzyszyły nieartykułowane, zachryple dźwięki, w których wprawne ucho porucznika Żurki rozpoznawało jednak głos ludzki.

- Co to może znaczyć, Kajtus? - zapytał zdenerwowany Żurko.

- Boję się, że jakaś draka - odparł flegmatycznie Kajtus.

Żurko przyspieszył kroku i w kilku susach znalazł się na górze. Ku jego zdumieniu korytarz na piętrze był pusty. Nie było widać ani Antoniego Bujwida Żurawskiego, ani plutonowego Drabka. Natomiast zza drzwi ubikacji dochodziły zachryple krzyki i stukanie. Za każdym uderzeniem haczyk nad klamką brzęczał rozpaczliwie.

Porucznik Żurko doskoczył do drzwi i szarpnął za haczyk. Z ubikacji wybiegł wściekły Drabek.

- Ty stary diable! - zachrypiał i urwał nagle, gdyż zauważył, że przed nim stoi porucznik. Zatkawszy sobie usta, cofnął się przerażony.

Żurko posiniał z gniewu.

- Drabek, co wy tu wyrabiacie do cholery?!

Drabek odruchowo przyjął pozycję zasadniczą.

- Zamknęli mnie - wyjąkał wyprężony.

- Kto was zamknął?

- Pewnie ten Antoni Bujwid Żurawski. Wszedłem tylko na chwilę za małą potrzebą. Musiał skorzystać z tego i zamknął mnie stary diabeł.

- Jak mogliście pozwolić na coś takiego? To jest kompromitacja, Drabek.

- Tak jest, obywatelu poruczniku. Obywatel porucznik łaskawie zachowa w tajemnicy... - prosił zrozpaczony.

Żurko chciał mu jeszcze powiedzieć coś do słuchu, ale na widok nadchodzącego Trepki z Kajtusem opanował się i machnął tylko ręką.

- Gdzie jest ten stary?

- Pewnie w pokoju.

- Nawarzyliście piwa, Drabek - zgrzytnął zębami Żurko.

Dopadł do drzwi i nacisnął klamkę.

- Otworzyć! Milicja!
Nikt nie odpowiadał.
Żurko zaczął walić pięściami w drzwi. Po chwili w pokoju rozległo się człapanie, zgrzytnął klucz w zaniku i na progu stanął mały staruszek w szlafroku.

- Panowie sobie życzą?
- Co to ma znaczyć? - zapytał ostro Żurko.
- Nie rozumiem - wybełkotał staruszek.
- Pan zamknął podstępnie funkcjonariusza w... w... - słowo nie chciało przejść Żurce przez gardło.
- Co też pan, przepraszam, z kim mam przyjemność?
- Niech pan nie udaje greka! Ja wyciągnę konsekwencje z pana postępków! - grzmiał Żurko.
- Jak Boga kocham, nie wiem, o co chodzi. Nikogo nie zamykałem - jęknął staruszek.
- Wyrwał się pan podstępnie spod opieki plutonowego i przeniknął pan do pokoju...
- To przecież mój pokój. Wróciłem z podróży, a ten pan - pokazał na Drabka - kazał mi się na walizce i trzymał mnie dwie godziny pod drzwiami nie pozwalając wejść. A co do zamykania, to ja nie zamykałem. Może pan Mohylny. On ma takie dowcipy. Mnie też raz zamknął.
- Przyprowadzić Mohylnego! - rzucił Żurko Drabkowi.
Drabek wybiegł. Wrócił po chwili.
- Mohylny właśnie dał nura na ulicę, poruczniku. Ścigać?
Żurko machnął ręką i opanowawszy się całym wysiłkiem woli zaczął rozglądać się po pokoju.

Panował tu schludny porządek, tylko jakiś niezwykły zapach, coraz bardziej intensywny, unosił się w powietrzu. Słodkawy i odurzający zarazem. Ni to kadzidła, ni palonej słomy. Porucznik Żurko zatkał z obrzydzeniem nos.

- Co pan tu pali?
- Nic... śmieci... robiłem porządek...
Żurko doskoczył do żelaznego piecyka i przez chusteczkę od nosa otworzył rozpalone drzwiczki. Cały piec zapchany był jakimś żółtawozielonkawym zielskiem. Płomień przedarł się przez ostatnią zaporę z ziół i zahuczał zwycięsko. Żurko zatrzaskał popielnik. Przez szpary w spojeniach piecyka, drzwiczek i rury zaczął się dobywać dławiący szarożółty dym.

- Co pan robi? - staruszek doskoczył do Żurki, ale porucznik odsunął go stanowczo.
- Niech pan otworzy lepiej okno, panie Żurawski.
Antoni Bujwid Żurawski podreptał do okna oglądając się bojaźliwie. Niebawem świeże powietrze usunęło dym.

- Teraz możemy pogadać, panie Antoni. Więc pan palił zioła. Bardzo ciekawe.
- Robiłem porządek, zwietrzałe ziółka usunąłem...
- Nagle po powrocie z podróży wzięła pana chętka do robienia generalnych porządków... To dziwne. W pana wieku wypoczywa się raczej po podróży. A propos, dokąd pan wyjeżdżał?
- Do siostry, do Radomia.
- Taki nagły wyjazd w niedzielę rano? Cóż pana skłoniło do tej eskapady?
- Otrzymałem telegram. Nagły telegram w sprawach rodzinnych. Mój szwagier poważnie zachorował. Atak sercowy.
- Ach tak... Czy mógłby nam pan pokazać ten telegram?
- Nie mam go już, wyrzuciłem.
- Jak się nazywa pana szwagier?
- Wencelski. August Wencelski, ulica Manifestu 18.

- Niech pan zamknie okno - powiedział Żurko rozglądając się po pokoju. - Więc pan jest znachorem? - zapytał niespodziewanie.

- Znachorem... co też pan. Jestem emerytem kolejowym. Byłem ostatnio zastępcą naczelnika wydziału DOKP Warszawa. Moją specjalnością są taryfy.

- A ten list?

Żurko odczytał na głos: - „Podany przez Szanownego Pana zestaw ziół poprawił stan zdrowia ojca. Ojciec wstaje i próbuje nawet grać na skrzypcach. Apetyt wrócił. Bardzo prosiłabym o dalsze wskazówki. Wdzięczna do śmierci - Henryka Tałaczewska”.

Antoni Bujwid Żurawski zamachał rękami.

- To znajoma, poznałem ją w Ciechocinku. Poradziłem, żeby stosowała zioła.

- Więc pan zajmuje się ziołolecznictwem?

- Skądże znowu! Czasami, owszem, zaparzam... uważam, że ziółka mogą nieraz pomóc, ale nie znam się na tym więcej od przeciętnego wieśniaka.

- Czyżby? - skrzywił się Żurko. - A te ziółka, które pan spalił, czy może pan powiedzieć, jakiego były rodzaju?

- Nie rozumiem... oczywiście zioła lecznicze: kwiat kocanki, skrzyp, dziurawiec... Kiedyś w czasie pobytu w sanatorium zabawiłem się w zbieracza, lecz człowiek nie zużyje wszystkiego. Zioła zwietrzały. Postanowiłem je usunąć.

- Tak - mruknął Żurko. - A czy posiada pan przypadkiem u siebie bielun dziedzierzawy względnie lulek czarny. A może wilcze jagody?

Antoni Bujwid Żurawski zerwał się z krzesła.

- Co to ma znaczyć! Panowie sugerują mi posiadanie trucizn.

- To są także zioła lecznicze.

- Nie interesuję się nimi. Cierpię na wątrobę i nerki. Interesują mnie tylko zioła moczowe i żółciopędne. Panowie, co znaczą te pytania? Mam wrażenie, że podejrzewacie mnie o otrucie pana Leona Postura. Zaręczam, że o niczym nie wiem. Jestem niewinny.

- Nikt pana nie podejrzewa - rzekł spokojnie Żurko. - W organizmie zmarłego wykryto atropinę, która znajduje się także w niektórych ziołach, stąd nasze zainteresowanie. Pan powinien zrozumieć. Szukamy poszlak...

- U mnie ich panowie nie znajdziecie. Nie utrzymywałem żadnych stosunków z panem Posturem.

- Nie widywał go pan zupełnie?

- Unikałem go. To okropny młody człowiek. Nie wypada źle mówić o nieboszczyku, ale to straszny przedstawiciel młodego pokolenia...

- Na czym pan opiera tego rodzaju sąd?

- Tryb życia. Rozwiążłość. Brak zasad moralnych. Cyniczny stosunek do starszych. Te ściany, pan będzie łaskaw zrozumieć, są bardzo cienkie. Słyszałem różne rzeczy...

- Kto odwiedzał Postura?

- Tabuny, tabuny, panie szanowny. Znajomych liczył na dziesiątki.

- Chodzi mi o bliższe znajomości, przyjaźnie.

- Przyjaźnie! - wykrzyknął staruszek z szyderstwem. - Pan chyba żartuje! Ci młodzi ludzie nie znają tego słowa. Kumple, panie szanowny. Kumple. Znajomi do picia, do gry, do szyderstwa. Nie mówiąc już oczywiście o kobietach.

- Właśnie, kobiety, czy mógłby nam pan powiedzieć, jakie kobiety odwiedzały Leona Postura?

- Kociaki, panie szanowny, kociaki. . - Jakie? Chodzi mi też o opis zewnętrzny.

- Nie widziałem nigdy żadnej na oczy. Ja o tej porze już śpię.

- A w sobotę? W sobotę wieczorem... czy ktoś był u Postura?

- Nie, nie słyszałem. Tego dnia Postur wrócił dosyć późno do domu i wkrótce po tym wyszedł.

- O której godzinie wrócił?

- Już po dziesiątej, i od razu narobił hałasu. Musiałem interweniować. Stukanie w ścianę nie pomagało. Musiałem interweniować osobiście, in persona.

- Był pan w pokoju Postura? - zainteresował się Żurko. Nagle wzrok jego padł na bambosze starszego pana stojące przy łóżku. Podniósł je i z ciekawością obejrzał podeszwy. - Czerwona pasta. Zgadza się.

- Nie rozumiem - zaniepokoił się Antoni Bujwid Żurawski. - Co pan chce przez to powiedzieć?

- Pobrudził pan sobie bambosze pastą, którą zasmarowany jest przedpokój Leona Postura. Zostawił pan również czerwone ślady na podłodze.

Staruszek wyraźnie stracił humor.

- Czerwone ślady, mówi pan. To przykre, to bardzo przykre - mruknął.

- Więc był pan po dziesiątej w mieszkaniu Postura? - powtórzył zadowolony Żurko. - Jak zachowywał się Postur?

- Jak zwykle. To znaczy bardzo oryginalnie. Siedział pod palmą i puszczał płyty z muzyką poważną. Był w humorze, we właściwym sobie humorze, nienormalnym i, chciałoby się rzec, diabolicznym. Skarżył się na kolkę wątrobową i chciał mnie częstować wódką. Radziłem mu położyć się do łóżka, ale powiedział, że ma do załatwienia ważną sprawę na Bielanach.

- O której godzinie wyszedł pan z pokoju Postura?

- Za pięć jedenasta. Pamiętam, że kładąc się spać spojrzałem na zegarek. Była za pięć jedenasta.

- Czy słyszał pan, jak Postur wychodził z mieszkania?

- Nie. Moja interwencja odniosła skutek, bo Postur zachowywał się już bardzo cicho. Zresztą zatkałem sobie uszy watą.

- Kto według pana zabił Postura?

- Rotpelcowie - odpowiedział bez namysłu.

- Rotpelcowie, co to za jedni?

- Kupili niedawno ten dom i chcą go opróżnić z lokatorów. To ludzie bez skrupułów...

- Bez głupich żartów! - rzekł Żurko. - Pan pójdzie z nami.

- Jak to? - przestraszył się staruszek.

- Musimy pogrzebać troszkę w pana pokoju. Taka formalność. Pan rozumie. Przykra, ale konieczna formalność.

- Panowie myślą, że ja...

- Niestety, pańska sytuacja jest, hm..., specjalna. Pan ostatni widział Postura przy życiu. Jak dotąd. Przejdziemy do pokoju obok. To nie potrwa długo.

- Czy mam wziąć zapas bielizny? - wybełkotał starzec.

- Co z pana za człowiek?! - zirytował się Żurko. - Mówię przecież, że przejdzie pan tylko do pokoju Postura.

Antoni Bujwid Żurawski uspokoił się nieco. Wziął tylko szalik i okręcił nim szyję, a na głowę założył beret.

Trepka zamknął drzwi prowadzące z pokoju Postura na klatkę schodową i zwrócił się do zmartwianego staruszka.

- Mam do pana pytanie, przyjacielu. Niech pan się rozejrzy po pokoju i powie, co się tu zmieniło od czasu ostatniej pańskiej wizyty?

Antoni Bujwid Żurawski poprawił okulary i powiódł wzrokiem dookoła.

- Jest więcej miejsca - powiedział bez namysłu.

- Więcej miejsca? Co pan przez to rozumie? - zdziwił się Trepka.

- Przedtem nie można się było ruszyć.

- Zabrano jakieś sprzęty? - Żurko zapytał z niedowierzaniem.
 - Nie. Niczego nie brakuje, tylko jakoś inaczej ustawione.
 - Inaczej ustawione? - Kapitan spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Co jest inaczej ustawione?

Antoni Bujwid Żurawski chrząknął zakłopotany.
 - Chyba te manekiny... Teraz stoją w ciasnej grupie, a wtedy... wtedy stały w szeregu. Od stolika z radiem do szafy z książkami.
 - Jest pan tego pewien, przyjacielu? - zakaszłał Trepka.
 Antoni Bujwid Żurawski skinął głową.
 - Czy może pan je ustawić, tak jak wtedy stały?
 Antoni Bujwid Żurawski nie bez wstępu zabrał się do przestawiania kukieł.
 Ustawivszy je w jednym rzędzie w poprzek pokoju otarł ręce o szlafrok i spojrzał na Trepkę.
 Kapitan przyglądał się przez chwilę rzędowi manekinów.
 - I zapamiętał pan, że były odwrócone tyłem do drzwi?
 - Tak.
 - Kiedy pan wszedł, zobaczył pan tylko ich plecy?
 - Tylko plecy.
 - Ciekawe - mruknął Trepka. - Bardzo ciekawe. Manekiny w wojskowym szyku. Czy pan służył w wojsku? - zapytał nagle Antoniego Bujwida Żurawskiego.
 - Owszem - wybełkotał zaskoczony staruszek - byłem porucznikiem ułanów... drugi pułk ułanów mazowieckich.
 - Był pan porucznikiem ułanów, przyjacielu? Czy pan często ma wojskowe sny?
 Antoni Bujwid Żurawski wybałuszył oczy.
 - Nie rozumiem.
 - Pytam, czy często śni się panu wojsko.
 - Nie, raczej nie. Przeważnie śnią mi się podróże.
 Żurko wybiegi z pokoju. Po chwili wrócił z kapralem Kajtusem.
 - Wy zabezpieczaliście pokój, prawda? - odrzucił się do Kajtusa.
 - Ja.
 - O której godzinie przybyliście tutaj?
 - Punktualnie o szóstej, obywatelu poruczniku.
 - Pokój był zamknięty, prawda?
 - Tak jest. Otworzyliśmy go kluczami specjalnymi.
 - Jak wtedy stały manekiny? Tak jak teraz?
 Kajtus potrząsnął głową.
 - Nie. W sympatycznej grupce, tak jak na tym obrazie malowanym przez nieboszczyka.
 - Ustawcie je tak, jak stały.
 Kajtus zaczął przenosić oburącz kukły i ustawiać je w małym ciasnym kręgu przy sztalugach.
 - Gotowe, obywatelu poruczniku - poprawił papierową czapkę na głowie piątego manekina.
 W drzwiach okazał się Pajkert.
 - Załatwione - powiedział do Żurki.
 - Odprowadźcie teraz obywatela Żurawskiego do jego pokoju.
 Antoni Bujwid Żurawski stał nieruchomo na środku pokoju jak szósty manekin.
 - Co się panu stało? - zapytał ostro Żurko. - Dlaczego pan nie idzie?
 - Boję się - jęknął starzec. - Zdaje mi się, że wpłatałem się w ponurą aferę. Panowie mi nie wierzą...
 - Jeśli pan mówił prawdę, nie ma pan się czego obawiać - Żurko spojrzał na niego przymrużonymi oczyma. - Ale czy pan powiedział prawdę?

- Bardzo podejrzana historia z tym starszym panem - mruknął do Trepki, kiedy zostali sami w pokoju - gra naiwnego, ale wielu takich „naiwnych” posadziłem już w ciepłym, dobrze izolowanym miejscu.

Przez chwilę mierzył podejrzliwym wzrokiem manekiny przy sztalugach.

- Dlaczego Postur poprzestawiał te kukły?

- Jeśli w ogóle je poprzestawiał - powątpiewał Trepka.

- Sądźcie, że ten stary zełgał?

- Nie wiem, nic jeszcze nie wiem, przyjacielu.

- Cóż by mu przyszło z tego rodzaju kłamstewka?

- W istocie, cóż by mu przyszło - powtórzył zgodnie Trepka.

- Zostawmy na razie ten drobiazg - Żurko rozsiadł się w fotelu. - Zbyt jeszcze mało wiemy o sprawie, żeby można ocenić wartość tego rodzaju szczegółu. Postur robił wiele dziwnych rzeczy. Być może, ta historia nie ma żadnego znaczenia. Być może ma znaczenie zasadnicze. Na razie wystarczy zapamiętać.

- Słusznie. Wróćmy do spraw podstawowych - zasapał Trepka.

- Tak czy owak, mamy powody do zadowolenia - rzekł Żurko. - Można teraz dosyć dokładnie ustalić czas śmierci Postura. Nastąpiła ona przypuszczalnie między godziną jedenastą a jedenastą trzydzieści wieczorem. No, powiedzmy... za kwadrans dwunasta.

XII. PORUCZNIK ŻURKO NIECIERPLIWI SIĘ

Dobry humor porucznika Żurki nie trwał długo. Popsuł się już zdecydowanie następnego dnia, we wtorek. W dalszym ciągu nie zostało wyjaśnione, w jakim celu Postur podjął ze swojego konta w PKO 120 000 złotych. Znajomi Postura przesłuchiwani na tę okoliczność nie umieli nic wskazać. Relacje wywiadowców też rozczarowały Żurkę. Miejsce pobytu Tadeusza Melassy pozostawało w dalszym ciągu nieznane. Zachowanie podejrzanych osób nie było podejrzane.

W tej sytuacji Żurko przypomniał sobie o zatrzymanych łobuzach Zbąszyńskim i Miałku i odwiedził ich w areszcie. Odwiedziny trwały jednak krótko i Żurko wybiegł stamtąd wściekły. Obaj osobnicy utrzymywali, że nie mają nic do powiedzenia w sprawie i że wtedy w niedzielę chcieli zwyczajnie zrobić z sierżanta balona. W południe Żurko wezwał powtórnie wywiadowców na odprawę i dał upust swej złości. Najwięcej dostało się Drabkowi.

- To jest skandal, koleżko. Dałem wam cały aparat do dyspozycji i jak oni pracują! Jak oni pracują! - wykrzykiwał. - Melassa nie jest żdźbłem trawy. To człowiek.

- Ludzie też giną jak kamień w wodę. Szukamy dopiero dwa dni.

- To nie jest człowiek o przeciętnej powierzchowności. Ten człowiek ma znak szczególny. Jest garbaty. Czy tak trudno wpaść na ślad garbusa? Coście właściwie robili przez ten czas, Drabek?

Drabek chrząknął zakłopotany.

- Zbierałem informacje, przesłuchałem jego ciotkę.

- Ciotkę przesłuchaliście?! - wykrzyknął Żurko.

Drabek umilkł urażony.

- No, co tak zamilkliście, do cholery?! Czekacie, aż wam pogratuluję, że przesłuchaliście ciotkę. Mówcie coś, do diabła ciężkiego.

- Obywatel porucznik zauważy, że z tym Melassą to nie taka łatwa sprawa. Nigdzie nie pracuje. Tryb życia pustelniczny lub, jeśli obywatel porucznik woli, zakonny. Ciotka zeznała...

- Ciotka - westchnął porucznik. - No dobrze, cóż zeznała ta ciotka?

- Ciotka zeznała, że w sobotę wieczorem zabrał walizkę, poduszkę i dwa koce i wyjechał. To znaczy powiedział, że wyjeżdża do siostry do Otwocka. Podała adres. Byłem pod tym adresem. Wytrzeszczyli oczy. Powiedzieli, że nie widzieli Melassy od lipca.

Dopytywałem się w sąsiedztwie. Nikt nie widział tam Melassy. Również wszystkie inne informacje zawiodły. Także poufne. Myślę jednak, że w najbliższych dniach...

Żurko machnął ręką.

- Weźcie no lepiej w obroty tę ciotkę i siostrę. Do licha, jeśli gość się wybiera z poduszką i kocami, to musi mieć jakąś upatrzoną melinę. Ruszcie no się, Drabek.

Następny zameldował się wywiadowca Sojka. Miał zbolałą minę i poruszał się sztywno.

- Co wam się stało, Sojka?

- Wpadłem do dołu, poruczniku. Stłukłem sobie biodro w czasie pełnienia funkcji służbowych. Pozwólcie spocząć.

Trzymając się za biodro opadł na krzesło. Żurko chciał mu powiedzieć coś przykrego, ale Sojka należał do najlepszych wywiadowców i Żurko pohamował się.

- Gdzieście się tak urządzili?

- Na Powązkach, w starych ogródkach działkowych. Szedłem za tym facetem Mohylnym. Facet pracuje na budowie Bielany II...

- Co takiego? Mohylny na budowie? - zdziwił się Żurko.

- I to w charakterze pomocnika hydraulicznego. Zdziwiłem się sam. W instrukcji podane było „student”. Ale pomyślałem, wakacje studenckie trwają. Widocznie gość chce sobie zarobić. W biurze mi powiedzieli, że pracuje od sierpnia. Przyuczył się już trochę. Tak jest, poruczniku. Rano o szóstej bierze flaszkę mleka, kilka bułek i jedzie na budowę. O trzeciej po południu czekałem na niego pod budową. Myślałem, że wróci do domu, ale facet pognął pustym polem na przełaj, prosto na Powązki. Ruszyłem za nim. Nawet mi się to spodobało. Coś w trawie piszczy, pomyślałem. Patrzę, facet skręca w ogródki. Idę za nim. Może ciut-ciut za nerwowo. Nagle o coś się potknąłem i poczułem, że wpadam w jakąś dziurę. Kiedy się podniosłem, zobaczyłem, że jestem w dole głębokim na trzy metry. Smród jak cholera. Musieli kiedyś tam badylarze kompost trzymać. Z wierzchu był przykryty deskami, na deskach pełno liści, a deski próchno. No i takem się urządził. Zanim się wygramoliłem, faceta już nie było.

Żurko bębnił palcami w biurko.

- Szkoda, Sojka. Ten Mohylny mi się nie podoba. Kto wie, czy to nie był ten ślad, na który czekamy.

- Nic straconego, poruczniku, dzisiaj możemy poprawić. - Sojka uśmiechnął się chytrze.

- On tam codziennie chodzi na te Powązki. To znaczy w poniedziałek był, no i wczoraj.

- Pewne?

- Stróż budowy mi powiedział. Pytałem się, czy nie zauważył jakiejś zmiany u Mohylnego po niedzieli, to znaczy, po zabójstwie Postura. Owszem, powiedział, dawniej, do soboty, znaczy się, to z dziewczętami wychodził. Jest tam kilka takich dzierlatek, co pracują przy malowaniu. A teraz, powiada, znika gdzieś zaraz po fajerancie. Nie przechodzi przez bramę. Nawet dzierlatki dopytywały się u stróża o niego. On tam jest znany na budowie. Student go nazywają. Znaczy się, poruczniku, pewnie na te Powązki mu się śpieszy.

Żurce różne myśli chodziły po głowie.

- Dobrze, Sojka - mruknął zadowolony. - Zajmiemy się tym.

- Znaczy się, dzisiaj poprawię, poruczniku.

- Nie, Sojka, nie będziecie poprawiać. - Żurko oglądał paznokcie. - Jesteście kontuzjowani, daję wam dwa dni urlopu.

Sojka wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Kiedy kapitan Trepka zajrzał godzinę później do gabinetu Żurki, zastał porucznika w białym przymierzającym kapeluszu przed lustrem.

- Co się z wami dzieje, przyjacielu? - stanął osłupiały.

Żurko uśmiechnął się pod długim nosem.

- Wkraczam do akcji, kapitanie. Wysiadywanie przy biurku i czekanie na meldunki tych smętnych niedorajdów przejadło mi się gruntownie. Muszę przełamać pewien... hm, impas zarysowujący się w dochodzeniu.

- Czy do tego potrzebny jest wam kapelusz?

- Wybieram się na mały rekonesans. Wydaje mi się, że powinienem nieco zmienić swoją powierzchowność. Poszperałem trochę w rekwizytorni.

- Melassa? - zapytał ciekawie Trepka.

- Nie, Mohylny - odparł Żurko, naciągając stare spodnie.

- Czy to nie za ryzykowna eskapada?

- Cóż jest warte życie bez ryzyka?

- Widzę, że jesteście nastroszeni bohatersko, przyjacielu Żurko.

- Jak wam się podobam? - Żurko w podniszczonym ubraniu, oklapłym kapeluszu, z teczką w ręku, przeglądał się w lustrze. - Nie powinienem chyba zwracać na siebie uwagi - przygarbił się.

Trepka zakaszła.

- Doskonale, przyjacielu. Jestem pełen podziwu.

- Za wcześnie, kapitanie - rzekł skromnie Żurko.

XIII. IWANIŁŁO I „ZBRODNIA TECHNICZNA”

W tym jednym wypadku dzielny porucznik miał niewątpliwie rację. Dalszy rozwój wypadków wykazał, że tego dnia prześladował Żurkę wyjątkowy pech.

Dosłownie w pięć minut po jego wyjeździe nadeszły wyniki badań z Instytutu Kryminalistyki. Wkrótce po tym zjawił się Iwaniłło. Był niezwykle podniecany i jeszcze bardziej rozczochrany niż zwykle.

- Gdzież to nasz dzielny Żurko? - zapytał Trepkę.

- Poszedł się przewietrzyć - odparł flegmatycznie kapitan, unosząc głowę znad protokołów ekspertyzy.

- Szkoda, mam dla niego małą ciekawostkę. A to co? - spojrzał na protokoły. - Macie wyniki, kotusiu? Odciski paluszków, jak widzę.

- Bryndza i klops, przyjacielu - westchnął Trepka. - W willi Rettingerów znaleziono tylko odciski palców Dopustowej, Parytetówny, no i gospodarzy.

- Tak się spodziewałem. „Jarosze” pracują w rękawiczkach.

- „Jarosze”? - skrzywił się Trepka. - Dajcie sobie spokój z „Jaroszami”. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że ta sprawa ma charakter, że tak powiem, kameralny...

- Rozgrywka towarzyska - uśmiechnął się pobłaźliwie Iwaniłło. - Mylicie się, Trepka. Mam coś w rękawie, co was zastrzeli.

- Mianowicie?

Iwaniłło uśmiechnął się tajemniczo, ale nic nie powiedział. Przez chwilę studiował protokoły.

- I w „Gołębniku” też, jak widzę, bez rewelacji daktyloskopijnych. Jest tylko odcisk tego starego pajaca Antoniego Bujwida Żurawskiego,

- Zależy, jak się na to patrzy - powiedział Trepka. - W każdym razie odcisk palca Antoniego Bujwida Żurawskiego w szafie... zwróćcie uwagę, przyjacielu, wewnątrz szafy w mieszkaniu Postura podziałałby bardzo zapładniająco na wyobraźnię niektórych naszych kolegów.

- Co wy powiadacie? Odcisk palca Antoniego Bujwida Żurawskiego w szafie zamordowanego?

- Tak jest, przyjacielu.

- Kapitalne! Czy to wszystko?

- Nie. Jest jeszcze coś bardziej pikantnego - zamruczał Trepka - otóż analiza popiołu i resztek ziół znalezionych w piecyku Antoniego Bujwida Żurawskiego...

- Analiza popiołu i ziółek! - wykrzyknął szyderczo Iwaniłło. - Patrzcie no, patrzcie.

- Analiza popiołu i resztek ziół wykazała - ciągnął poważnie Trepka - że spalono pokazną ilość lulka czarnego, rośliny trującej zawierającej atropinę.

Iwaniłło zagwizdał.

- Co wy powiadacie? No to wsiąkł starowina. Żurko teraz go zrobi na szaro. Lulek czarny. To brzmi groźnie. Niegdyś czarownice trwały nim swe ofiary.

Trepka poruszył się niespokojnie. Kpiny Iwaniłły wyraźnie działały mu na nerwy.

Iwaniłło spostrzegł to i położył uspokajającym gestem rękę na ramieniu kapitana.

- Dostyc żartów. Ubawiłeś mnie, kotusiu, a teraz porozmawiajmy poważnie. Słuchajcie, co powiem, Trepka. Dajcie wy sobie spokój z ziółkami. I w ogóle wróćmy do rzeczywistości z tej krainy baśni. Żyjemy w dwudziestym wieku, kapitanie.

Iwaniłło uśmiechnął się i podrapał w okolicach grdyki.

- O ile się nie mylę, ekspertyza lekarska nie wykazała uszkodzenia narządów wewnętrznych denata. Zarówno guz na głowie, jak i sińce na torsie okazały się obrażeniami zupełnie powierzchownymi, czyż nie tak?

- Zgadza się.

- Jednocześnie odkryto w organizmie Postura ślady atropiny?

- Zgadza się.

- Idąc po najmniejszej linii oporu lekarze zawyrokowali, że to otrucie. Choć wiadomo było, że Postur przyjmował atropinę leczniczo, wszyscy jakoś zgodzili się z tym, że ktoś musiał mu dodatkowo zaaplikować końską dawkę tegoż alkaloidu. Horrendalny fenomen naiwności, nieuctwa, wygodnictwa, oportunisty i w ogóle idiotyzmu.

- Przyjacielu - jęknął Trepka.

- Spokojnie, kotusiu. Powiedziałem, idiotyzmu. Gdyż nikt nie umiał sobie wytłumaczyć inaczej śmierci nagłej, nienaturalnej a bezurazowej. Nikomu nie przyszło jakoś na myśl, że Postur mógł zostać po prostu - Iwaniłło zrobił efektowną pauzę - po prostu uduszony.

Trepka spojrział na niego z pobłażliwością.

- Zapominasz, przyjacielu, że na zwłokach Postura nie odkryto żadnych śladów, które mogłyby świadczyć o tego rodzaju śmierci.

- Otóż właśnie. Nie można udusić silnego, dorosłego mężczyzny bez walki. Stąd zwłoki uduszonego noszą zwykle ślady licznych zadrapań i obrażeń, nie mówiąc już o charakterystycznym znamieniu na szyi. W jednym tylko wypadku można udusić człowieka bez walki, jeśli przed tym wprowadzi się go w stan szoku, na przykład za pomocą małego urazu.

- Lecz przecież - zaprotestował Trepka.

- Rozumiem, co was dręczy - przerwał mu Iwaniłło - nie ma śladów urazu mechanicznego. Nikt nie rąbnął ofiary pałką w głowę. Lecz nie zapominaj, kotusiu, że żyjemy w naszym wspaniałym wieku. Walić łomem po głowie. Fe, to brzydkie, brutalne i przestarzałe! Od czegoż jest technika? Szereg naszych wspaniałych urządzeń technicznych może być wspaniałe zaadoptowanych do tego rodzaju bądź co bądź przykrych i kłopotliwych czynności.

- Nie bardzo rozumiem, co macie na myśli - Trepka potarł zaferowany łysinę.

- To, że nieodżałowanej pamięci Leon Postur mógł paść ofiarą zbrodni technicznej. Co byście na przykład powiedzieli no, dajmy na to, o porażeniu prądem elektrycznym?

- Doskonale, przyjacielu, w takim, wypadku na skórze zwłok powinno wystąpić znamię prądu - wyraźny ślad oparzelinowy.

- Och, niekoniecznie! Czy ja twierdzę, że porażenie prądem musiało być bezpośrednią przyczyną śmierci? Nie. Morderca był na to za sprytny. Wystarczył słaby, nie wywołujący

zmian anatomicznych wstrząs. Maleńki szok obezwładniający ofiarę. Reszty potrafiłoby dokonać nawet dziecko. Wystarczyło zatkać nieszczęśnikowi nos i usta. Udusiłby się, nie mogąc się bronić.

- Pięknie, lecz na jakiej podstawie twierdzicie, że właśnie tak było. Skąd wam to przyszło do głowy?

- Och, ja tylko tak przykładowo - uśmiechnął się Iwaniłło. - Chciałem po prostu wykazać, że niekoniecznie zatrucie i niekoniecznie ziółka. Chciałem was wyrwać z obsesji czarnej magii i złych czarodziejów pitraszących trucizny.

- Zgoda, przyjacielu, to wszystko jest bardzo interesujące. Mam tylko jeden mały szkopuł - chrząknął Trepka.

- Szkopuł?

- Że to jest czysta fantazja nie mająca żadnego pokrycia w okolicznościach sprawy.

- A może jednak... - Iwaniłło uśmiechnął się tajemniczo.

- Przyjacielu, wymyślić można wszystko, lecz cóż stąd?! Jeśli tylko to masz w swojej dwudziestowiecznej kieszeni...

- Mam jeszcze jedno.

Trepka spojrzał na niego z zainteresowaniem. Stary kozioł nie daje się zbić z tropu. Czyżby udało mu się wpaść na jakiś ślad?

- No, słucham was, cóż takiego?

- Czy zwróciliście uwagę na jeden szczegół? Na okładce książki telefonicznej zanotowany był jeden numer z żoliborskiej centrali. Sprawdźcie w protokole.

- Owszem, jest - Trepka pogrzebał w aktach - 33 97 65.

- Czy sprawdzono, czyj to jest numer?

- Tak. Niejakiego Czesława Cacko, Lisowska 67. To na Bielanych.

- Czytajcie dalej. Jaki jest zawód tego pana?

- Zakład elektrotechniczny - przeczytał Trepka. - Elektrotechniczny, no zaczynam rozumieć.

- Nic jeszcze nie rozumiecie, Trepka. Czytajcie dalej.

- Dalej jest adnotacja! „Sprawdzono. Cacko nie zna Postura. Nie rozpoznał na fotografii”. Na tym notatka się kończy.

- Szkoda - powiedział Iwaniłło - bo ja wiem coś więcej. Cacko kłamał. Znał dobrze Postura. Krytycznego wieczoru mieli załatwić pewną transakcję. Jak pamiętacie, tego dnia Postur podjął z konta sto dwadzieścia tysięcy złotych, czyż nie tak?

- Tak, ale...

- A teraz przeczytajcie to - Iwaniłło położył przed Trepką wycinek z gazety.

Było to ogłoszenie treści następującej: „Sprzedam simcę-aronde na dotarciu. Model 58. Oglądać w garażu Lisowska 67. Zakład elektrotechniczny”.

- Jasne - Iwaniłło uśmiechnął się z satysfakcją.

- Do diabła, przyjacielu! - Trepka zerwał się z krzesła. - Jak wpadliście na to?

- Łatwa historia. 120 000. Bielany. Telefon Cacki. Ślady oleju mineralnego na ubraniu Postura. Jakoś od razu skojarzyło mi się to z samochodem. Kazałem przeszukać ludziom ogłoszenia z września w prasie warszawskiej w rubryce „samochody”. To wszystko.

XIV. SIMCA-ARONDE

Dom przy ulicy Lisowskiej 67 stanowił część przedwojennej, bliźniaczej willi. W piwnicach nieruchomości znajdowały się dwa garaże. Nad jednym z nich wisiał szyld z napisem sformułowanym w stylu epoki: „Punkt usługowy ślusarsko-elektrotechniczny”.

Iwaniłło zastukał do drzwi. Nikt nie odpowiadał.

- Nie podoba mi się to, kotusiu - mruknął do Trepki.

- Spróbujmy jeszcze do mieszkania.

Tym razem naciśnięcie dzwonka przyniosło pożądany efekt. Za drzwiami rozległy się drobne kroki i zgrzyt odsuwanej zasuwki. W progu stanęła młoda dziewczyna. Zanim jednak zdołała powiedzieć słowo, została odepchnięta przez krępego, krągłego mężczyznę w sile wieku. Wyświechtana na brzuszku kamizelka zdradzała w nim metalowca.

- Panowie sobie życzą...

- My w sprawie wozu.

Cacko szacował ich przez chwilę przenikliwym spojrzeniem człowieka interesu. Poczciwa łysina i wielki parasol Trepki oraz żaloszny wygląd Iwanillo musiały wywrzeć na nim jak najbardziej niekorzystne wrażenie, bo powiedział ostro:

- To drogi wóz. Nie zainteresuje panów.

- My nie w sprawie kupna, kotusiu - uśmiechnął się słodko Iwanillo.

- Tylko?

- W sprawie zabójstwa Leona Postura.

Cacko zbladł i cofnął się o krok.

- Nie rozumiem - wybełkotał.

- Jesteśmy z milicji - Iwanillo wyciągnął legitymację. - Czy to pana bardzo dziwi? - zapytał swobodnie.

- Nie... to znaczy, tak, tylko... - tłuściochowi trzęsły się ręce.

- Nazwisko pana Postura nie jest chyba panu obce, panie...

- Nazywam się Czesław Cacko - grubas przełknął ślinę, otarł kark i zaprosił oficerów do środka. - Czesław Cacko - powtórzył nie wiadomo dlaczego z naciskiem, jakby go to miało bronić przed wszelkimi nieporozumieniami. - Koncesjonowany zakład elektrotechniczny. Może przejdziemy do pokoju...

- Wolelibyśmy od razu do simki.

- A proszę, proszę bardzo. Jest w garażu... w tym drugim... Panowie wybaczą moje zdenerwowanie, ale to już druga wizyta milicji w tym tygodniu, a właśnie dzisiaj prasa przyniosła wiadomość, że pan Postur... Panowie rozumieją, jak to może zdenerwować człowieka. No i od razu plotki, ciemne domysły - Cacko powoli odzyskiwał równowagę. - Nie wiem, skąd się dowiedzieli, że nieboszczyk pan Postur zamierzał kupić tę maszynę i że właśnie szedł do mnie, kiedy...

Oficerowie wymienili spojrzenia.

- Pan dziwnie zmiękł, kotusiu - wycedził Iwanillo. - O ile się nie mylę, za pierwszym razem, kiedy była u pana milicja, wyparł się pan wszelkiej znajomości z Posturem.

- Skądże ja mogłem wiedzieć? - Cacko otarł pot z szyi. - Mam tylu klientów. A ci panowie nic nie wspominali o samochodzie. Dopiero gdy przeczytałem w gazecie, przypomniałem sobie o tym nazwisku. Prawdopodobnie ten wstrząs... panowie rozumieją, ten wstrząs...

- Odkorkował panu pamięć - zaszydził Iwanillo.

- Odkorkował... Pan to trafnie wyraził... - Cacko znów otarł szyję. - Proszę tędy. Tutaj jest warsztat - pokazał na drzwi od pierwszego garażu. - Nie ma warunków, pracuje się w piwnicy. Tak... dzierżawię oba garaże. Ten od mojego segmentu i ten sąsiedni. Bo jak panowie widzą, to jest willa-bliźniak. Simca stoi w drugim garażu. Zaraz otworzę - sięgnął po klucze nie przestając gadać, jakby tą gadatliwością chciał zagłuszyć strach.

Drzwi zaskrzypiały nieprzyjemnie. Powiało piwnicznym chłodem. W głębi ciemnego garażu majaczył elegancki kształt wozu. Cacko z niespodziewaną przy jego tuszy zręcznością prześliznął się między wozem a ścianą i znikł gdzieś w ciemności. Przez chwilę nie było go widać.

- Zaraz zapalę - zasapał. - Gdzież jest, u licha, ten kontakt? - rozległo się uderzenie metaliczne, coś zastukało głucho.

- Przecież tu jest przy wejściu wyłącznik - zauważył Trepka i wyciągnął rękę do ciemnej plamy tastra.

- Niech pan nie dotyka! Tam łapie prąd! - wykrzyknął Cacko.

- Co pan powiedział? - drgnął Trepka.

- Tam jest zepsute gniazdko. Ja sam zapalę.

Trepka cofnął pomału rękę. Przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę z Iwaniłłą i spojrzawszy na niego podejrzliwie. Iwaniłło uśmiechał się dziwnie. Czyżby ten stary maniak miał dar jasnowidztwa? Nie, ta cała hipoteza nie ma przecież sensu.

Nareszcie zabłysło światło. W drugim końcu garażu widać było Czesława Cacko. Medytował nad czymś ze ścierką w ręku.

- Co się stało? - zapytał Trepka.

- Nic - Cacko ocknął się jakby - nic, zupełnie nic. Starłem tylko błoto z maski.

- Czy tu można porozmawiać w cztery oczy, panie... Cacko?

- Oczywiście - rzekł szybko Cacko, ale spojrzawszy niespokojnie w kierunku bocznych drzwi w ścianie garażu.

- Dokąd prowadzą te drzwi?

- Do mojego warsztatu. Przebiłem je po wydzierżawieniu garażu, żeby mieć łączność... Ale niech pan będzie spokojny, tam nikogo nie ma. Warsztat jest chwilowo nieczynny z powodu choroby pracownika.

- Gdzie pan umawiał się z Leonem Posturem o sprzedaż wozu, przyjacielu? - zapytał cicho Trepka. - Tutaj?

Cacko skinął głową.

- Za ile wóz został zgodzony?

- Sto dwadzieścia kawałków.

- Czy mógł ktoś podsłuchać waszą rozmowę?

Cacko spojrzawszy w kierunku drzwi wiodących do warsztatu.

- Pan myśli...

- W tej chwili interesuje mnie raczej, co pan myśli, panie Cacko?

Cacko miał bardzo nieszczęśliwy wyraz twarzy.

- Proszę odpowiedzieć - zakaszłał Trepka. Z piwnicy wiało stęchlizną i chłodem. - Czy wtedy był kłós iw warsztacie?

- No... był Tadzik. Ale przecież on nie mógł... Co też panowie... - Cacko patrzył przerażony na milicjantów - to taki porządny chłopak.

- O kim pan mówi?

- O moim pracowniku. Uczeń ślusarski Tadeusz Tatomir. Ale przecież on...

- To ten, co choruje?

- Tak.

- Ciekawe, czy przypadkiem nie od poniedziałku... - wtrącił z niewinną miną Iwaniłło.

- Tak, a bo co?

- Nic. Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Jego adres?

- Bagno 37.

Iwaniłło chwilę rozglądał się bystro po garażu, a potem zaczął przeciskać się w kierunku przodu simki.

- Nie radzę, pobrudzi się pan - Cacko stał sztywno w przejściu. - Naprawdę, pobrudzi się pan - zasapał dziwnie zdławionym głosem.

- Odsuń się, kotusiu - rzekł łagodnie, lecz stanowczo Iwaniłło.

- Co ,pan, panie władzo... co się stało? - bełkotał Cacko. Stał wciąż w ciasnym przejściu tarasując drogę.

- Czy pan nie rozumie, co do pana mówię? - Iwaniłło stracił cierpliwość. - Niech pan mi zrobi przejście. Chciałem obejrzeć wóz. - I nie czekając dłużej, odepchnął elektrotechnika.

Trepka patrzył za nim z zaciekawionym.

Iwaniłło wy dostał z teczki latarkę. Był to przyrząd tak imponujących rozmiarów, że mógł z powodzeniem służyć za reflektor samochodowy. Wsunął ją do wnętrza wozu i lustrował go w skupieniu.

- Co to jest? - zapytał nagle.

- Nie rozumiem - jęknął Cacko.

- Pan przecież się temu przyglądał. Pan to widział.

- Nie wiem, skąd się to wzięło. Skąd mogę wiedzieć? Nie oglądałem samochodu od piątku.

Trepka przepchnął się zaintrygowany do nich. Wsadził łysinę do wozu i znieruchomiał. Na bocznej ścianie popielniczki przy tylnym siedzeniu widać było maleńką ciemnorubinową smuzkę zaschniętej krwi, zakończoną kroplą, która nie zdążyła spaść. W zwykłym świetle niemal nie była widoczna, lecz „reflektor” Iwaniłły uwypuklał ją wyraźnie.

- Przecież to... przecież to krew - zakaszłał zdumiony Trepka. - To krew, panie Cacko.

- Nie wiem, przysięgam panom, że nie wiem - jęczał Cacko.

Kapitan Iwaniłło wsadził głowę do środka wozu i ciekawie oglądał wnętrze.

- Również na siedzeniu - zauważył jakby rozczerwony odkryciem. - Zobacz, kotusiu, co za niesamowity daktyl!

Istotnie, na jasnym obiciu widać było krwawy ślad.

- To palec, przyjacielu - chrząknął podniecony Trepka. - Odcisk zakrwawionego, źle wytartego palca.

- Na to wygląda - w głosie Iwaniłły brzmiały jakieś rozpaczliwe nuty. - Świeża krew.

Trepka przejechał palcem po górze karoserii. Na palcu został kurz. Opony były zabłocone. Odłupał grudkę błota z bieżnika.

- Dokąd pan jeździł tym samochodem? - zapytał pobladłego elektrotechnika.

- Nigdzie nie jeździłem... Ostatni raz jechał wozem pan Postur,

- Kiedy?

- W piątek.

- W ubiegły piątek?

- Tak. Chciał wypróbować wóz przed kupnem.

- A potem umówili się panowie na sobotę?

- Tak.

- Na którą godzinę?

- Na jedenastą.

- Rano?

- Nie, wieczór. Na dwudziestą trzecią, jeśli pan woli.

- Na dwudziestą trzecią? Pan przyzna, że to dość dziwna pora jak na załatwienie transakcji.

- Owszem, ale nie dało się wcześniej - Cacko był już opanowany. Jakby wstąpił na pewniejszy grunt. - Trzeba było to i owo dokręcić, naprawić światła, no i ten akumulator. Jeszcze o dziewiątej znajdował się na Woli. Oddałem go do ładowania. Pan wie, ładowania przyspieszyć nie można.

- A po co się było śpieszyć, przyjacielu? Mógł pan oddać samochód Posturowi w niedzielę lub w poniedziałek - zauważył Trepka.

- Pan Postur chciał go mieć koniecznie w sobotę. W niedzielę o siódmej rano miał wyjechać do Zakopanego.

- Tak od razu, bez rejestracji?

- Z rejestracją na moje nazwisko. Spieszył się, miał opłacone miejsce w pensjonacie.

- Zdaje się, że na tym skończymy, przyjacielu - mruknął zadowolony Trepka do Iwaniłły. - Zdumiewająco obfite żniwo.

Iwaniłło nic nie odpowiedział. Na jego twarzy widać było przygnębienie. W milczeniu wyszli z garażu. Przed bramą Trepka zatrzymał się i powiedział do załamane go Cacki.

- To nieładnie trzymać zepsuty wyłącznik w ścianie, a do tego wyłącznik, który łapie. Brzydko się pan bawi, przyjacielu Cacko. To niebezpieczne zabawy.

- Ależ ja...

- Spokojnie. Będziemy rozmawiać potem. Na razie jedna prośba do pana. Bez zezwolenia milicji proszę nie wydalać się z domu. Pan będzie nam potrzebny, przyjacielu elektrotechniku. Dużo jeszcze rzeczy musimy sobie wyjaśnić. Dużo rzeczy, panie Cacko. Proszę, niech pan wyjdzie. Musimy zamknąć drzwi.

To mówiąc wyjął z kieszeni sznurek, wosk i zaplombował starannie drzwi do garażu na oczach oniemiałego elektrotechnika.

- A teraz niech pan nas prowadzi do warsztatu. Stamtąd jest przejście do garażu. I tam musimy zabezpieczyć drzwi. I proszę pamiętać: pan jest odpowiedzialny za całość plomb.

- No, to idziemy coraz dalej w las - powiedział Trepka, maszerując obok przygarbionego Iwaniłły małymi uliczkami Bielan. - Sprawa nabrała zupełnie nowego wyrazu. Coraz to nowy materiał do studiów. Nowe koncepcje wprost cisną się na usta. Rozważmy pierwszą - zażartował - Pod płaszczykiem zakładu elektrotechnicznego działa wyrafinowana banda. Cacko w roli szefa. Simca-aronde w roli przynęty. Banda daje ogłoszenie w prasie, że ma do sprzedania wóz. Zjawiają się klienci. Cacko wybiera spośród nich ludzi samotnych albo uwikłanych w jakieś ciemne interesy, umawia się z nimi na późną godzinę wieczorną i gdy przyłożą z forszą, morduje, forszę zabiera, a następnego dnia daje nowe ogłoszenie.

- Niech was licho! - zaklął ponuro Iwaniłło.

- Pomysłowość mordercy poszła tym razem dalej niż w innych tego rodzaju sprawach - ciągnął nie zrażony Trepka. - Udało mu się wywieść w pole już przy ustalaniu sposobu śmierci. Porażenie prądem. - Któż mógł wpaść na to? Postur przybywa wieczorem. Pora wybrana jest celowe. Oczywiście ta cała historia z ładowaniem akumulatora i pośpiechem Postura to lipa. To Cacko wybrał tę porę do rzekomej transakcji, nie Postur. Otwierają drzwi garażu. „Niech pan będzie łaskaw zapalić światło. Kontakt jest przy drzwiach po lewej stronie” - słychać w ciemności głos Cacki. Tak to sobie można doskonale wyobrazić. Postur sięga do wyłącznika... i pada nieprzytomny. Cacko zabiera pieniądze. Ofiara jest obezwładniona, ale żyje jeszcze. Cacko dusi go jakąś miękką materią, wsadza do samochodu i zwłoki podrzuca do ogrodu Rettingerów. Oczywiście jest zbyt sprytny, żeby zatrzymać samochód przy willi i taszczyć trupa z ulicy do ogrodu. Podjeżdża więc od strony podwórza szkolnego. Jak wiemy, nie jest ono jeszcze ogrodzone. Stawiają dopiero słupki betonowe. Nic prostszego jak podjechać od tamtej strony.

- Przestańcie się nabijać - mruknął Iwaniłło.

- Zdumiewa mnie wasz nastrój, przyjacielu Iwaniłło. Czyż to nie piękna koncepcja?

- Zbyt piękna! Za dużo tego dobrego.

- I ta krew.

- Do licha, prawda! Jest jeszcze krew.

- Wszystko zakrawa na jakąś makabryczną bzdurę. Niby wszystko po myśli mojej koncepcji, ale w karykaturze. Zupełnie, jakby jakiś dowcipniś zabawił się naszym kosztem.

- W każdym razie mieliście niezwykłego nosa, Iwaniłło. Wasza aktywność doprowadziła do zdumiewających odkryć.

- Ale to nie „Jarosze”... - westchnął Iwaniłło. - „Jarosze” nie są idiotami, a to jest zupełnie idiotyczna historia. Ten trzęsący się pocziwiec Cacko, ta krew i brudny odcisk palucha. „Jarosze” nie babrzą się we krwi.

- Małe zmartwienie, grunt, że sprawa nabrała nowych perspektyw.

- To nie „Jarosze” - powtórzył do siebie Iwanillo. - Wykluczane. Błędny ślad. Stał i zapatrzył się w niebo, chudy i zgarbiony.

Don Kichot milicyjny - pomyślał Trepka. - Wstąpimy jeszcze do Rettingerów? - zapytał.

- Mówiliście coś, Trepka?

- Wstąpimy do Rettingerów? To niedaleko stąd.

- Wstąpcie sami. Przepraszam was Trepka, ale ta odnoga śledztwa na razie mnie nie interesuje... Chyba że wyjdzie coś zupełnie nowego. Żegnam was. Powodzenia.

Trepka chciał coś powiedzieć, ale machnął tylko ręką. Dziwak. Szkoda słów.

Ruszyli w przeciwną stronę. Na ulicy Kasprówicza uwagę Trepki zwrócił patrol milicyjny na samochodzie. Ledwie ucichła jedna syrena, zajęczała druga. Nadjeżdżało Pogotowie.

- Stało się coś? - zapytał funkcjonariusza, który wyrósł nagle przed nim jak spod ziemi. Kapral rozpoznał Trepkę i zaszalutował.

- Obywatel porucznik Żurko został zabity.

Trepka zdrętwiał.

- Gdzie?

- Na budowie, przy Żeromskiego.

Trepka zatrzymał jadący warszawą patrol.

- Podrzucicie mnie na miejsce wypadku.

Wśród tłumu robotników i gapiów ulicznych transportowano na noszach Żurkę. Trepka przedarł się do ambulansu i odetchnął. Zbyt pośpiesznie uśmiercono Żurkę. Stary fuszer leżał bezwładnie na noszach, ale był żywy. Na widok Trepki próbował się nawet uśmiechnąć.

- Nic strasznego... nic strasznego, Trepka... Chcieli mnie unieszkodliwić, ale ja mam twarde gnaty.

- Kto?

- Mohylny. To morderca. Kazałem go aresztować.

XV. ŻURKO W POLIKLINICE

Porucznik Dziarmaga, młody adept SODIS-u, wsunął uzbrojoną w okulary twarz do gabinetu Trepki. Zza parawanu wyglądał czubek łysiny starszego pana, a kłęby pary i cierpkosłodkawy zapach unoszący się w pokoju świadczyły wyraźnie, że czynność naparzania zielonej herbaty zmierzała ku końcowi. Dziarmaga poruszył ze wstrętem nosem i chrząknął głośno. Minio paroletniej współpracy z Trepką nie mógł się przyzwyczaić do tego przywiezionego z Chin nałogu kapitana.

- Czy to ty, mój chłopcze? - zapytał Trepka.

- Tak jest, kapitanie.

- Bądź łaskaw spocząć i rozprężyć się duchowo, bo czeka cię mała robótka, Pawełku. Nad czym ślęczysz obecnie?

- Nad sprawą „Czterech włamań”.

- Zostawisz na razie tę sprawę. Mam dla ciebie poważniejszą robotę. Jak wiesz, nasz nieoceniony przyjaciel Żurko uległ tragicznemu wypadkowi podczas rozplątywania zagadki zabójstwa Leona Postura. Jest to sprawa cenna dla naszych studiów. Zaangażowałem się w niej osobiście, niestety moje studia teoretyczne nie pozwalają mi ująć w swe ręce steru śledztwa, a wyłączenie z akcji naszego znakomitego Żurki stawia pod znakiem zapytania skuteczność dalszego dochodzenia. Sprawę poprowadzi zapewne dalej podporucznik Filip. Podporucznik Filip jest niewątpliwie obiecującym i utalentowanym młodzieńcem, lecz ja osobiście żywię pewne obawy, Pawełku. Żywię pewne obawy, czy ten debiutant potrafi zastąpić wielkiego fuszera. Sprawa jest dosyć trudna... trudna i uciążliwa. Myślę, że powinieneś się włączyć, mój chłopcze. Włączyć się ze swoim doświadczeniem, rozsądkiem i

umiarem w ocenie zjawisk. Będziesz mógł nareszcie wykazać swoją wartość w odpowiedzialnej robocie. Zawsze narzekałeś, że prowadzę cię za rączkę - Trepka spojrzął na Dziarmagę spod okularów. - Mam wrażenie, że cieszysz się, mój chłopcze.

- Cieszę się - odparł niepewnie Dziarmaga...

Niewątpliwie porucznik Dziarmaga chciał debiutować samodzielnie w sprawie, jednak nie takiej jak zabójstwo Postura. Wypadek z uwagi na osobę ofiary stał się głośny w prasie, a w Komendzie Głównej krążyły pogłoski, że połamią na nim zęby najbardziej doświadczeni oficerowie. Złośliwi szeptali nawet, że choroba Żurki to bardzo niejasna sprawa, że jest to choroba typu dyplomatycznego i że fuszer przekonawszy się o trudnościach, jakie nastęcza śledztwo, wołał nie ryzykować swojego dobrego imienia i zaaranżował wypadek. Dziarmaga zbyt dobrze znał Hipolita, by uwierzyć w tego rodzaju brednie, zdawał sobie jednak sprawę, że istotnie można się tutaj zdrowo położyć. A kłaść się nie chciał. Zbyt już wiele dowcipów krążyło na jego temat w komendzie. No i ten Filip. Czy można uważać tę sprawę za swoją, jeśli stale będzie do niej wtrącał swoje trzy grosze jakiś żółtodziób.

- Jeszcze jedno, mój chłopcze - usłyszał głos Trepki - byłbym zapomniał. Kupisz wiązanek jesiennych kwiatów dla naszego przyjaciela Żurki. Pójdziemy do polikliniki na Wołoską i złożymy mu wyrazy współczucia. To bardzo uciążliwe dla tak aktywnego i ruchliwego funkcjonariusza być uwięzionym w łóżku przez całe tygodnie. A propos. Należy mu zanieść coś do czytania. Sądzę, że myśli Rochefoucaulda dobrze wpłynęłyby na stan jego nerwów.

W klinice zastali Żurkę z wielką białą nogą w gipsie na wyciągu. Mimo tej niewygodnej pozycji dzielny porucznik był jak zwykle pełen energii i animuszu.

- Bardzo mi przykro, kapitanie, że widzicie mnie w stanie unieruchomienia zasadniczego - rzekł wachając kwiaty. - Mój wypad terenowy nie był bezowocny. Ten Mohylny to szatan. Czy wiecie, kogo spotkałem u niego na budowie? Melassę. Ci dwaj się kontaktują.

- Jesteście pewni? - zainteresował się Trepka.

- Nie może być pomyłki. To był człowiek niski i garbaty, a więc na pewno Melassa. Rozmawiał z Mohylnym ukryty za stosem cegieł. Postanowiłem ich zatrzymać, lecz ledwie ruszyłem w ich stronę, obaj dali nogę. Wpadłem za nimi na schody budynku. Kiedy znalazłem się na piętrze, Melassy już nie było. Natomiast Mohylny smarował na górę, oglądając się za siebie ze strachem. Musiał coś wyniuchać, nie sądzę, żeby mnie poznał. Dla pewności ściągnąłem marynarkę i udawałem robotnika. Na pierwszym piętrze wezwałem go do zatrzymania się. Nie posłuchał. Wbiegliśmy na drugie piętro. Układano tam dopiero stropy. Mohylny skakał po belkach ze zręcznością małpy. Musiałem zrobić jakiś fałszywy krok... - Żurko chrząknął zażenowany. - Mam jednak wrażenie, że sprawa na tym nie ucierpi zbyttnio. Zastąpi mnie podporucznik Filip. No i bądź co bądź śledztwo stoi już mocno na nogach.

- Niewątpliwie, przyjacielu...

- Mam nadzieję, że będziecie służyli Filipowi swoim doświadczeniem.

- Możecie być spokojna. Nasz przyjaciel Dziarmaga włączy się natychmiast do akcji. A ja będę czuwał nad ogólnym przebiegiem dochodzeń. Ta sprawa interesuje minie bardzo.

- Dziękuję wam, Trepka. Spada mi kamień z serca. Mam wrażenie, że nie zawiedziemy się na Filipku. Filip to zdolny chłopiec. Może was dziwi, że postarałem się, by właśnie on prowadził dalej sprawę, lecz jestem zwolennikiem odważnego wprowadzania młodzieży w najtrudniejsze sprawy. Tylko w ten sposób zdobędą ostrogi. Zaraz go tu zobaczycie. Kazałem mu przyprowadzić do mnie Mohylnego.

- Tutaj? Do szpitala? - zdumiał się Dziarmaga.

- Tak. Postanowiłem przesłuchać podejrzanego osobiście. Szpital to równie dobre miejsce jak każde inne. Nie miałbym spokoju, gdybym nie przesłuchał tego drania.

Zrazu oficerom zdawało się, że dzielny Żurko mający w gorączce, jednakże ku ich zdumieniu w kilka, minut później otworzyły się z hałasem drzwi i do pokoju wpadł młody podporucznik o konopiastej czuprynie i okrągłej, różowej, chłopięcej twarzy, prowadząc z sobą szyderczo uśmiechniętego Mohylnego.

- Mamy go, poruczniku - zasapał - obawiam się jednak, że mnie goni cały batalion eskulapów. Przeniknąłem nielegalnie.

- Doskonale - wycodził przez zęby Żurko, unosząc się z pasją na łóżku, i wlepił w Mohylnego swoje oczy bazyliuszka. - Przystaw sobie, Filipku, krzeselko do drzwi i siądź tam z łaski swojej.

W tej samej chwili za drzwiami rozległy się pośpieszne kroki, a potem gwałtowne pukanie.

- Otworzyć, natychmiast otworzyć! - krzyczał zachrypły głos. - Obywatele, tu jest szpital! Proszę natychmiast opuścić teren kliniki. Odpowiadam za zdrowie chorego.

Filip spojrzał zdezorientowany na Żurkę.

- Nie słuchaj, Filipku, zrzędzeń tego sympatycznego pana w bieli - zacharczał Żurko.

- Proszę się wynosić! - krzyczał lekarz.

- Filipku, zimna krew. No i co pan ma mi do powiedzenia, panie Mohylny?

- Składam panu wyrazy najgłębszego współczucia. Bardzo mi przykro, doprawdy - uśmiechnął się swobodnie Mohylny. - Pan był bardzo nierozsądny, poruczniku. Jak się miewa pana nóżka? Czy mogę panu w czymś pomóc? To bardzo ładnie z pana strony, że pamięta pan o mnie, nawet w tak niewygodnej sytuacji.

Żurko. zasapał

- Pan jest bardzo pewny siebie, Mohylny. Ale wątpię, czy długo utrzyma się pan w takiej formie. Podporuczniku Filip, przystąpmy do przesłuchania podejrzanego. Eskulapi za drzwiami bardzo się denerwują. Musimy się śpieszyć.

- Tak jest, poruczniku - rzekł ochotczo Filip. - Siadajcie - zwrócił się do Mohylnego. - Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że dalsze zapieranie się nie ma już żadnego sensu. Został pan przychwycony na potajemnych kontaktach z Tadeuszem Melassą, który od trzech dni ukrywa się przed ręką prawa. Pańska ucieczka i zasadzka, jaką pan przygotował porucznikowi Żurce...

- Bardzo przepraszam - zaprotestował Mohylny. - To są insynuacje. Po pierwsze, nic mi nie wiadomo, by Melassa ukrywał się przed milicją, po drugie, nie przygotowywałem żadnych zasadzek...

- Jednakże wprowadził pan porucznika Żurko na teren niebezpieczny i śliski, wiedząc, że poruszanie się na nim grozi śmiercią lub kalectwem.

- Nie wiedziałem, że to porucznik Żurko. Nigdy bym się nie ośmielił... Mam zbyt głęboki szacunek dla porucznika Żurki, niewątpliwie jednego z najzdolniejszych specjalistów w dziedzinie kryminologii...

Żurko poruszył nerwowo nogą na wyciągu.

- Dosyć, pańskie opinie nie interesują nas zupełnie. Niech pan mówi do rzeczy. Kontynuujcie, Filip.

- Pańskie zeznania są wykrętne - rzekł surowo Filip. - Jeśli pan nie wiedział, że to porucznik Żurko, dlaczego pan uciekał i nie zatrzymał się na wezwania?

- Sądziłem, że to komornik. Od kilku miesięcy nachodzą mnie komornicy, by egzekwować długi, które zmuszony byłem zaciągnąć na pogrzeb babki. Zawsze uciekam przed komornikami. Porucznik Żurko był tak perfidnie przebrany. Pan zapomina, drogi podporuczniku, o nadzwyczajnych zdolnościach mimicznych i aktorskich swojego szefa.

Zupełnie identycznie wygląda komornik, który mnie nachodził. Filip spojrzał na Żurkę bezradnie.

- Jednakże, gdy porucznik Żurko wzywał pomocy będąc zawieszony na prętach zbrojeniowych nad przepaścią, pan naigrawał się z niego.

- Nieścisłe - pokręcił głową Mohylny. - Po pierwsze, jak powiedziałem, wciąż brałem go za złośliwego komornika, po drugie, pytam się, kto kazał porucznikowi Żurce spuszczać się na linie zaimprovizowanej z szelek, szalika i krawata z trzeciego piętra na drugie.

- Ja na linie? To nonsens! - zgrzytnął zębami Żurko poruszając niecierpliwie nogą na wyciągu.

- Bardzo mi przykro. Doprawdy, gdybym wiedział, że to pan porucznik, to z narażeniem własnego życia...

- Ten łobuz kpi ze mnie! - krzyknął Żurko.

- Poruczniku, na miłość boską, spokojnie - zaniepokoił się Filip. - Wasza noga.

Żurko pohamował się.

- Kontynuujcie, Filip.

- Skąd wam do głowy przyszło, Mohylny, że porucznik Żurko spuszcza się za wami na linie. To bzdura! - wykrzyknął Filip.

- Jak to, przecież widziałem.

- Porucznik Żurko zawisł na szelkach spadając ze stropu. Zawisł na szelkach zaczepiając o pręty zbrojeniowe. Tylko dzięki temu nie poniósł śmierci na miejscu.

- To rzeczywiście szczęśliwy traf. Byłbym niepokieszony...

- Jednakże pan nie zdjął porucznika Żurki z szelek. Szelki nie wytrzymały obciążenia i porucznik przez was złamał nogę.

- O przepraszam. Nie przeze minie, tylko przez szelki. Nie mogę brać odpowiedzialności za złą jakość milicyjnych szelek, panowie stanowczo za dużo ode mnie wymagają. Normalnie szelki wytrzymują ciężar ciała ludzkiego. Nie sądziłem więc, że zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo, i stąd, przyznaję, pewna, niezawiniona, opieszałość z mej strony.

- Wyprowadzić! - zatrzęsł się Żurko. - Wyprowadzić tego mordercę.

- Fe, co za brzydkie słowo - skrzywił się urażony Mohylny. - Widzę, że narażę się panu beznadziejnie. No cóż, będę siedział.

- Za sam język warto by pana posadzić.

- Będę siedział - jęknął z fałszywą żalnością Mohylny.

Trepka uznał za stosowne interweniować.

- Dobrze już, młody człowieku - powiedział. - Uznajemy pana zdolności aktorskie tudzież literackie, jesteśmy pełni podziwu dla pana talentów satyrycznych i możemy pana zaprotegować do teatru „Buffo”, do teatru „Buffo”, drogi chłopcze, czyli do pana Lopka, jednakże popisy w tym miejscu w obliczu złożonego niemocą funkcjonariusza i rozwścieczonych chirurgów za drzwiami są wysoce gorszące i nie na miejscu, nie na miejscu, mój chłopcze. Wracajmy przeto do sprawy. Może nam lepiej powiesz, gdzie się podziewa twój przyjaciel Melassa.

- Jeszcze się nie zgłosił? - wytrzeszczył oczy Mohylny.

- Nic mam o tym nie wiadomo. Tadeusz Melassa ukrywa się od niedzieli.

- Bzdura! Po prostu zmienił chwilowo miejsce zamieszkania. To mu się zdarza czasem, kiedy napada go gorączka twórcza. Tadeusz Melassa jest bowiem niewątpliwie jednostką twórczą.

- Bez żartów, młody człowieku, proszę podać miejsce pobytu Melassy.

- Ogródki działkowe na Powązkach. Działka numer 44. Zielony pawilon.

- Czy pan chce przez to powiedzieć, że Melassa przebywa w budce ogrodniczej?

- Jeśli pan chce to tak określić. Tadeusz Melassa wycofał się w to zacisze, by wykończyć swoją pesymistyczną pracę o hiperastenii sztuki współczesnej.

- O czym? - zdumiał się Trepka.

- O hiperastenii sztuki. Sądzę, że bliższe szczegóły będzie mógł podać panom osobiście, bo ma się wkrótce zgłosić na milicję. Nakłoniłem go wreszcie do tego, tłumacząc, że jego dalsze przebywanie w zaciszu twórczym może być źle zrozumiane przez groźnych funkcjonariuszy... Był przerażony, gdy poinformowałem go, iż ciąży na nim podejrzenie o dokonanie morderstwa. To bardzo wrażliwy młody człowiek. Proszę to wziąć pod uwagę przy ewentualnym przesłuchaniu.

Oficerowie wymienili spojrzenia.

- Zdaje się, że nie powinniśmy dłużej nadużywać cierpliwości ludzi w białych fartuchach - powiedział Trepka. - Filipku, bądź łaskaw wyprowadzić pana Mohylnego.

- Niesłychana sprawa! - wykrzyknął Żurko, gdy został sam z Trepką w pokoju. - Sami wariaci i dziwacy!

- Chciałeś powiedzieć, aktorzy, przyjacielu - sprostował Trepka. - Same maski i manekiny - dodał po chwili zamyślony.

XVI. „ZIELONY PAWILON”, CZYLI CZYM SIĘ ZAJMUJĄ FILOZOFOWIE

Porucznik Żurko. miał rację. Jego tragiczny wypadek nakreślił wyraźną linię śledztwa. Dalsze postępowanie narzucało się samo. Należy wziąć w obroty Melassę.

W godzinę po odwiedzinach szpitalnych Filip i Dziarmaga wysiedli z wozu przed ogródkami działkowymi na Powązkach.

Spoza rzadkich drzew ukazały się, ogrodnicze altany, komórki i budki. Niektóre były zamieszkane, bo z ich kominów snuły się wąskie smugi dymu.

Oficerowie rozglądając się na boki weszli na ścieżkę między grzędami kapusty.

- „Zielony pawilon” to chyba ten... - Filip pokazał na domek z jednym oknem, oszalowany deskami koloru sałaty. - Swoją drogą trzeba mieć fantazję, żeby tak ochrzcić tę kosią budkę.

Drzwi były zamknięte. Zastukali. Nikt nie odpowiadał. Filip zajrzał do okna.

- Nikogo nie ma - mruknął. - Wejdziemy?

Pokusa była zbyt silna.

Dziarmaga skinął głową i wyciągnął wytrychy.

„Zielony pawilon” składał się z dwu komórek. Jedna stanowiła typowy skład rupieci. Znajdowały się tu stare narzędzia ogrodnicze, na pół zgniłe maty, jakieś wiadra i garnki oraz trochę opału. Druga izba była zamieszkaana. Stał tutaj prosty stół, krzeselko i żelazne łóżko z kocem i poduszką. Na ścianie wisiało czarne wizytowe ubranie i biała koszula ze złotymi, tombakowymi spinkami. Na stole i na podłodze pod ścianą leżało kilkanaście książek i pism.

Żelazny piecyk dopełniał umeblowania. Filip zajrzał do niego. W popiele tliło się jeszcze kilka węgielków. Pod piecykiem leżała kupa śmieci, jakieś stare gazety, torby i zmięte kartki rękopisu...

Filip przeglądał je ciekawie... Były to jakieś pokreślone rozważania psychologiczne, gęsto usiane nazwiskami filozofów, oraz list w kopercie z urzędowym nadrukiem.

- Znalazłeś coś? - zapytał Dziarmaga, grzebiąc wśród książek.

- Nic specjalnego - mruknął Filip. - Jest list Państwowego Wydawnictwa Naukowego, adresowany do Melassy z dnia 18 września, o bardzo przykrych treści. Posłuchaj: „Z pracy pańskiej pod tytułem «Artysta i epoka» nie skorzystamy...”

Przerwał nagle, bo do jego uszu dotarły dziwne żalosne westchnienia i sapania. Odwrócił się i zobaczył Dziarmagę rozciągającego z jękiem jakieś sprężyny.

- Co ty wyrabiasz?

- Nic. Wyobraź sobie, znalazłem tu sprężyny treningowe.
 Filip obejrzał je ciekawie.
 - U licha, widzę, że ten filozof uprawiał kult ciała.
 Potoczył wzrokiem dookoła. Wśród książek zauważył „Przegląd Sportowy”, „Sportowiec”, podręcznik boksu i jakąś antykwaryczną książkę o dżudżitsu.
 - Obejrzyj sobie jeszcze tę fotografię na ścianie - usłyszał głos Dziarmagi. - Krzepiąca.
 Filip przyjrzał jej się z bliska. Była to właściwie cała okładka „Life`u” przedstawiająca ogromnego, muskularnego Murzyna wagi ciężkiej w rękawicach bokserskich. Z pochyloną głową czaił się jakby do rozstrzygającego ataku.
 - Interesujące - mruknął. - Bardzo interesujące.
 - Czy tylko interesujące? - zapytał go Dziarmaga, poprawiając z dziwnym uśmiechem okulary.
 - Nie rozumiem.
 - Zaraz coś zobaczysz. Widziałeś tę książkę o dżudżitsu? Weź ją i rzuć lekko na stół, grzbietem do góry.
 - Zwariowałeś?
 - Rób, co mówię.
 Filip wzruszył ramionami, podniósł książkę, do góry i upuścił na stół.
 - Zobacz, na której stronie się rozwarła.
 Filip obejrzał ją zaskoczony. Książka otworzyła się na stronie sześćdziesiątej siódmej.
 - Przeczytaj tytuł rozdziału - rzekł Dziarmaga.
 Filip przeczytał.
 „Obezwładnienie napastnika. Chwyt trzeci z przejściem do kontrataku.”
 Rzecz ilustrowana była schematyczną ryciną.
 Obrońca uchwytem jednej dłoni powstrzymywał rękę napastnika uzbrojoną w nóż, a drugą uderzał kantem dłoni w skroń.
 Pod spodem znajdowała się uwaga:
 „Reakcja natychmiastowa. Napastnik traci przytomność na pewien czas. Tym sposobem nawet słaby fizycznie osobnik może obronić się skutecznie, o ile jego refleks będzie dostatecznie szybki”.
 - Do diabła! - zaklął Filip i z niedowierzaniem powtórzył eksperyment. Broszura znów otwarła się na sześćdziesiątej siódmej stronie.
 Podporucznik spojrział bystro na Dziarmagę.
 - Nie myślisz chyba, że Melassa...
 - Nie. Myślę tylko, że to zaskakująca lektura jak na filozofa.

XVII. TADEUSZ MELASSA

Kapral Kajtus uchylił ostrożnie drzwi do gabinetu Trepki, a ujrawszy w nim tylko Dziarmagę, wpakował się bezceremonialnie, dłubiąc w zębach zapalką.

Nie zwracając uwagi na Dziarmagę stanął przed ściennym lustrem i studiował leniwie uzębienie, a może po prostu ziewał. Nieobecność szefa wpływała wybitnie demoralizująco na kaprala Kajtusa.

Dziarmaga przyglądał mu się znad okularów z rosnącym zdenerwowaniem, wreszcie zapytał siląc się na spokój.

- Życzycie sobie czegoś, kapralu?

- Ja nie, tylko jeden facet... tam na dole. Mówi, że nazywa się Melassa.

Dziarmaga zerwał się z krzesła.

- Dawajcie go tutaj.

- Spokojnie i bez nerw, poruczniku. Obywatel porucznik za mało się oszczędza, może się zdarzyć, że obywatel porucznik wysiądzie, zanim odkryjemy mordercę i byłaby faktycznie

wielka szkoda dla śledztwa. A co do tego faceta tam na dole, to go zabrał do siebie pułkownik Wadera. Pułkownik Wadera lubi od czasu do czasu co większą rybę osobiście wzdąć na haczyk. Dla treningu. A tą sprawą interesuje się specjalnie.

Dziarmaga poczuł się niepewnie i na wszelki wypadek poprawił krawat. Jeśli pułkownik Wadera zainteresował się osobiście sprawą, nie może z tego wyniknąć nic przyjemnego dla Dziarmagi. Pułkownik dziwnie onieśmielał Dziarmagę. Zapewne zażąda szczegółowych wyjaśnień o stanie sprawy i będzie krytykował Dziarmagę. Sama myśl o tym wywołała nieprzyjemny skurecz szczęk u porucznika. Należy się przygotować...

Zanim jednak zdołał zebrać myśli, usłyszał za drzwiami głos pułkownika.

- Nie mam cierpliwości - rzekł zdenerwowany Wadera wchodząc do gabinetu - to jakieś niesamowite indywiduum. Gdzie jest kapitan Trepka?

Dziarmaga wyszedł zza biurka. Chrząknął. Nie wiedział, co robić z rękami. Zaczął poprawiać nerwowo okulary.

- Kapitan Trepka prowadzi studia terenowe.

- Podporucznik Filip?

- Podporucznik Filip wyjechał sprawdzić alibi podejrzanych.

- Hm... - pułkownik Wadera spojrział zmartwiony na zwisające ręce Dziarmagi. Widok porucznika Dziarmagi zawsze działał przygnębiająco na pułkownika Waderę i pułkownik Wadera uważał za swój obowiązek musztrować porucznika Dziarmagę.

- Nie garbić się. Prostować.

- Tak jest.

- Nie upodabniać się do małpy. Nie dawać się.

- Tak jest.

Pułkownik chrząknął.

- Przejdziecie do pokoju obok mojego gabinetu. Tam czeka świadek Melassa.

Przesłuchajcie go. Tylko ostro. Z nerwem, Dziarmaga.

- Tak jest, pułkowniku.

Przesłuchiwać ostro, poskromić onieśmielenie, które w nim budzili przestępcy, było marzeniem porucznika Dziarmagi.

Zwykle Dziarmaga doznawał uczucia rozczarowania, kiedy stykał się oko w oko z jakimś renomowanym przestępcą. Przestępca okazywał się zwykle człowiekiem o bardzo przeciętnej powierzchowności, który na ulicy w ogóle nie zwracałby uwagi. Tym razem jednak rzeczywistość przerosła wyobrażenie. Tadeusz Melassa należał do typów, które mogą się śnić po nocach.

Miał silną krótką szyję, wyraźnie zaznaczony garb i podniesione ramiona, które sprawiały, że jego głowa wyglądała tak, jakby była bezpośrednio osadzona na krótkim tułowiu. Długie ręce o owłosionych dłoniach nadawały tej postaci coś małpiego. Wrażenie to podkreślała szeroka twarz o cofniętym podbródku, wielkich łukach brwiowych i nisko zarośniętym czole.

Pitekanthropus - pomyślał Dziarmaga. - Pitekanthropus w ubraniu człowieka.

Na twarzy Melassy błąkał się w tej chwili uśmiech ni to wyzywający, ni wstydlivy.

Dziarmaga zastanawiał się przez chwilę ze spuszczonej oczyma, jaką ma przyjąć metodę wobec tego indywiduum. Nie wiedział, od czego zacząć.

- Niech pan siada - powiedział wreszcie i jak zwykle w takiej chwili sięgnął po papierosy. Nagle przypomniał sobie o papierosach „Syrena”, które jakoś dziwnie plątały się w śledztwie, i postanowił wykorzystać moment. Poklepawszy się bezradnie, po kieszeni zapytał jakby mimochodem:

- Czy ma pan przy sobie papierosy?

- Proszę bardzo - odrzekł Melassa. Głos miał skrzekliwy, charakterystyczny.

Wyciągnął paczkę sportów.

Dziarmaga nie dał poznać po sobie, że to go rozczarowało trochę.

- Zdaje się, że pan palił przedtem syreny?

- Ja syreny? Nigdy! Dlaczego?

- Mniejsza z tym - chrząknął Dziarmaga. - Przystąpmy do rzeczy. Pana zawód?

Melassa wykonał rękami jakiś nieokreślony ruch w powietrzu.

- Z wykształcenia jestem historykiem sztuki.

Dziarmaga skrzywił się.

- Nie interesuje mnie, kim pan jest z wykształcenia, tylko z czego pan się utrzymuje.

- To trudno powiedzieć. Nie mam stałego zajęcia. To są zresztą pytania nie mające chyba nic wspólnego ze sprawą, w jakiej przyszedłem - Melassa poprawił tombakowe spinki u mankietów koszuli.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Pracuję dorywczo, pomaga mi trochę ciotka.

- Nazwisko ciotki?

- Melania Góralska.

- Zawód?

- Ma kiosk inwalidzki na Żoliborzu.

- A pan, co pan właściwie robi?

Melassa zmieszał się, pytanie wyraźnie go zdeprymowało.

- Studiuję... oczywiście prywatnie... poza tym... poza tym...

- Co poza tym? - zapytał z westchnieniem Dziarmaga. Wiedział już, że z Melassą nie będzie miał łatwego zadania.

- Poza tym... poza tym poświęcam się pracy filozoficznej i literackiej.

Dziarmaga z trudem stłumił śmiech. Postanowił utrzymać poprzedni ton śledztwa.

- Jednym słowem, obce pan powiedzieć, że jest pan wałkoniem, dorosłym, wykształconym mężczyzną pozostającym na utrzymaniu starej, schorowanej kobiety, ofiary wojny.

- Ależ ja... ja naprawdę staram się... tylko pan rozumie, czy u nas można się utrzymać z filozofii? Zwłaszcza... zwłaszcza jeśli się jest filozofem niezależnym...

- Co pan chce przez to powiedzieć? Co pan przez to rozumie?

- Prawdziwą filozofię - odpowiedział sztywno Melassa.

Brzmiało to o jeden ton za wysoko. Dziarmaga po raz pierwszy spojrział uważnie na Melasę.

Czy przypadkiem ten mydłek nie chce mnie tutaj brać na fundusz. Gra komedię czy też jest rzeczywiście stuknięty na punkcie filozofii? - pomyślał.

- Niech mi pan tu nie zawraca głowy - powiedział umyślnie głośno. - Gdyby pan był filozofem, pracowałby pan na uniwersytecie. Pan nie ma prawa nazywać się filozofem, proszę to przyjąć do wiadomości i dawać bardziej rzeczowe odpowiedzi. Teresko - zwrócił się do protokolantki - proszę zapisać: „Tadeusz Melassa, bez zajęcia, na utrzymaniu ciotki, Melanii Góralskiej, zamieszkałej...” Aha, nie powiedział nam pan, gdzie pań mieszka...

Przypuszczam, że u ciotki. Czyż nie tak?

Melassa był wściekły. Owłosione dłonie zaciskał bezsilnie. Mierzył Dziarmagę zwięzonymi jak u kota oczyma. Jego wypukła pierś podnosiła się przyspieszonym oddechem. Jeszcze bardziej niż przedtem wyglądał na napuszonego złośliwego marabuta.

- Po co pan pyta? - rzekł piskliwym głosem. - Przecież pan sprawdzał, przecież pan już się dowiedział.

- No, niezupełnie, niezupełnie, panie Melassa. Pan się gdzieś przecież przeprowadził. Nie było pana w domu od trzech dni. Dziwnym trafem akurat od dnia, w którym popełniono morderstwo.

- Ależ zaręczam panu, to nie ma nic wspólnego! Ja... - wykrztusił przerażony Melassa.
- Ale my wiemy, co pan robił - ciągnął głośno Dziarmaga. - My dobrze wiemy! - Wstał z miejsca i zbliżył się do Melassy wolnym krokiem. Oparł się rękami o deskę biurka i powiedział cicho, niemal na ucho: - Pan się ukrywał, prawda?

- Co też pan - bełkotał Melassa. - Przecież najlepszy dowód, że przyszedłem dobrowolnie, żeby złożyć zeznania, czego właściwie żałuję, bo pan...

- Przybył pan dobrowolnie, bo zrozumiał pan, że nie ma sensu dalej się ukrywać. Jutro przyprowadzono by pana tu siłą.

- Ależ nie! Przyszedłem, bo dowiedziałem się, że milicja mnie poszukuje.

- Szanowny panie. Poszukujemy pana trzeci dzień. Trzeci dzień, panie Melassa.

- Nie wiedziałem. Dopiero dzisiaj w sklepiku powiedziano mi, że milicja pytała się o mnie. Więc nie zwlekając zjawiłem się.

- A gdzie pan żył do tego czasu? Na księżycu? O ile się nie mylę, utrzymywał pan przecież dość bliskie, powiedziałbym, serdeczne stosunki z denatem, widywano was niemal codziennie razem.

- Istotnie, ale to jest sąd powierzchowny.

- Jak to powierzchowny?

- Rozczarowałem się w stosunku do Leona Postura. Jego ostatnie posunięcia obnażyły jego właściwy charakter. *De mortuis nihil nisi bene*, ale jeśli chodzi o prawdę, to powiem: Leon Postur był karłem.

- Jak to karłem?

- Leon Postur był karłem moralnym.

Dziarmaga znów spojrzał uważnie na garbusa, czy nie gra. Ale twarz przesłuchiwanego była nieprzenikniona. Czyżby to był jego normalny sposób wyrażania się? Dziarmaga oglądał paznokcie.

- Proszę nie kwalifikować - odparł surowo. - Nie jestem ciekaw pana opinii. Pan z dziwnym uporem zbacza z normalnego toru śledztwa. Proszę odpowiedzieć krótko na pytanie: gdzie się pan ukrywał przez te trzy dni?

- Protestuję! - zerwał się z miejsca Melassa.- Nigdzie się nie ukrywałem. Po prostu zamieszkałem w jednym z domków w ogródku działkowym przy Libawskiej.

- Zamieszkał pan! - powtórzył ironicznie Dziarmaga. - Ceni pan sobie spokój i ciszę. To zapewne było panu niezbędne do uprawiania filozofii. Bo mam nadzieję, że uprawiał pan tam filozofię, a nie ogórki ?

- Ja protestuję przeciw metodzie prowadzenia tego przesłuchania. Istotnie przeprowadziłem się tam dla spokoju... dla ciszy... pan tego oczywiście nie rozumie...

- Nie rozumiem - przerwał mu ostro Dziarmaga. - Nie rozumiem, jak można będąc przy zdrowych zmysłach wyprowadzać się na zimę do budki skleconej z desek.

- Czasem ważniejsze od wygod cieleśnych jest samopoczucie. Potrzebowałem samotności. Po prostu nie mogłem dłużej znieść...

- Ciotki?

- Pan nie rozumie. To całe otoczenie. Czwooro rozwrzeszczanych dzieci. Podwórze bloku naszpikowane plotkarkami. Jedna izba i kuchnia pełna wyziewów nieśmiertelnego kapuśniaku.

- Rozumiem. Kapuśniak nie usposabiał pana filozoficznie.

Melassa spojrzał z wściekłością na Dziarmagę, ale nic nie powiedział. Zamilkł zrezygnowany.

Dziarmaga wstał i przeszedł do sąsiedniego gabinetu, gdzie za wybitymi wojłokiem drzwiami oczekiwał na rozkazy plutonowy Drabek, rozwiązując bezskutecznie krzyżówkę.

- Zajmiecie się tym facetem - powiedział.

- Według instrukcji A czy B?

- Według instrukcji S.

- Znaczą się łącznie z dezynfekcją mebli - westchnął Drabek i zapakował numer Trybuny z krzyżówką do kieszeni.

- Tylko szybko i dyskretnie - Dziarmaga szepnął mu do ucha.

- Tak jest, obywatelu poruczniku. Już idziem.

Wróciwszy do siebie Dziarmaga zauważył ze zdziwieniem, że Melassa jest na pół rozebrany. Marynarka z cepeliowskiego samodziła wisiała na oparciu krzesła, krawat - na biurku. Melassa czerwony z wysiłku mocował się z tombakową spinką u kołnierzyka.

- Co pan mi tu wyprawia? - zapytał ostro Dziarmaga. - Cóż, to za *strip-tease*? Tu nie kabaret. Tu milicja.

- Źle się poczułem - sapał Melassa. - Duszno tu, milicyjna atmosfera nie bardzo mi służy. Pan mnie wyczerpał.

Dziarmaga chrząknął.

- Pan ma słabe nerwy, Melassa. Ale wracajmy do rzeczy. Jakie stosunki łączyły pana z Krystyną Parytet?

- Zaraz - jęknął Melassa.

Spinka wypadła mu z rąk i potoczyła się pod biurko. Melassa rzucił się za nią na czworakach... i zniknął z pola widzenia.

Dziarmaga wyskoczył zza biurka i zdenerwowany przecierał okulary. Pierwszy raz miał do czynienia z podobnym indywiduum. Nic dziwnego, że pułkownik Wadera miał go dosyć. Dziarmaga nastroszył się.

- Dosyć tego! - krzyknął. - Niech pan natychmiast wyjdzie i zajmie swoje miejsce. Pod biurkiem zakotłowało się i po chwili wybiegł spod niego na czworakach Melassa.

- Przepraszam, pan coś mówił? Nie dosłyszałem.

- Niech pan zajmie miejsce i zachowuje się poważnie.

- Tak jest.

- Powtarzam pytanie. Czy kochał się pan w Krystynie Parytet?

Melassa wyprostował się z godnością.

- To są moje osobiste sprawy... Zresztą, jeśli pan chce wiedzieć... nie kocham panny Krystyny.

- Znaczą... mamy napisać, że łączyły pana z nią stosunki towarzyskie.

- Koleżeńskie. Ściślej mówiąc studiowaliśmy kiedyś razem historię sztuki, potem ona przeniosła się do szkoły dramatycznej.

- Rozumiem. I to przez nią poznał pan Leona Postura?

- Tak.

- Zdaje się, że panowie się zaprzyjaźnili?

- No, to za wiele powiedziane. Łączyły nas zamiłowania artystyczne. Zresztą, jak powiedziałem, stosunki nasze były bardzo powierzchowne.

Melassa odpowiadał niechętnie, jakby mówienie na te tematy sprawiało mu wyraźną przykrość.

- Panowie kłócili się często, tak słyszałem. Jaki był tego powód?

Melassa zmieszał się.

- O, wyłącznie różnice zdań na temat... teorii sztuki.

- Kiedy pan ostatni raz widział Leona Postura? - zapytał zniechęca Dziarmaga.

- Kiedy? - Melassa powtórzył wystraszony. - Chyba w piątek, tak... chyba w piątek. W piątek wieczorem.

- Pan był wtedy u Postura w domu?

- Tak.

- Jaki był cel tej wizyty? Dysputy filozoficzne?

- O nie, tym razem bardziej prozaiczny - uśmiechnął się Melassa. - Chciałem pożyczyć od Leona pieniądze. Pan rozumie, przeprowadzałem się i potrzebowałem trochę gotówki.

- I cóż, dostał pan te pieniądze?

- Owszem, Leon pożyczył mi dwa tysiące. Był przy forsie. Zdaje się, że dostał coś za oprawę plastyczną naszego pawilonu na targach w Salonikach.

- Czy pan wie - zapytał Dziarmaga cedząc pomalą słowa - że Postur w dniu swojej śmierci podjął z PKO sto dwadzieścia tysięcy złotych?

Na twarzy Melassy nie widać było zdziwienia.

- Tak - przytaknął niechętnie. - Leon wspominał mi w piątek, że ma kupić samochód. Od dawna polował na simcę-aronde. To miała być jakaś nadzwyczajna okazja.

- No dobrze - powiedział zadowolony Dziarmaga - a teraz niech mi pan jeszcze opowie, co pan robił w sobotę wieczorem.

- Całe popołudnie pracowałem w Bibliotece Narodowej. Potem pojechałem prosto na Bielany. Byliśmy zaproszeni na kolację do Krystyny.

- To znaczy kto?

- No ja, Mohylny i Postur.

- Postur też?

- Tak przypuszczam, były między nimi wprowadzić jakieś niesnaski, ale gdy rozmawiałem z Leonem w piątek, odniosłem wrażenie, że już się pogodzili lub że wkrótce dojdzie do zgody. - Melassa zawahał się.

- Proszę, niech pan mówi dalej.

- Pojechałem więc na Bielany, ale drzwi zastałem zamknięte. W chwilę później zjawił się Mohylny i powiedział, że z wieczorku nici, bo „Krystyna poszła robić karierę”. Tak się wyraził. Chodziło o jakąś teatralną bibę z reżyserem. Wróciliśmy więc do Śródmieścia, żeby coś zjeść, ale Mohylny był tak złośliwy i nieprzyjemny, że pożegnałem go na rogu Alei i Marszałkowskiej.

- Czyżby? - Dziarmaga przecierał z dziwnym uśmiechem okulary - a mnie się zdawało, że panowie pojechaliście razem na Saską Kępę... do Postura.

- Nic podobnego! - zmieszał się Melassa. - Wróciłem do siebie.

- Ciekawe. Ale zostawmy na razie tę sprawę. O której godzinie rozstał się pan z Mohylnym?

- Chyba dochodziła dziesiąta.

- I wrócił pan do siebie. Z teczką.

- Jak to? - Melassa zamrugał oczyma.

- No, przecież miał pan przy sobie teczkę.

- Tak, ale nie rozumiem...

- Bo zawartość pańskiej teczki bardzo mnie interesuje.

- Zawartość mojej teczki? - Melassa otarł czoło i niespodziewanie sięgnął do karafki.

- Gorąco się panu zrobiło?

Melassa milczał.

- Więc co pan miał z sobą w teczce?

- Nic.

Dziarmaga uśmiechnął się dziwnie.

- To znaczy - poprawił się zakłopotany Melassa - miałem materiały piśmienne i rękopisy.

- Ach tak!

- Tak - przygryzł wargi Melassa.

- O co się pan posprzeczał z Mohylnym? - zapytał nagle Dziarmaga.

- To nie była sprzeczka - zadyszał Melassa. - Chodziło o różnicę zdań na pewne zagadnienia moralne.

- Rad bym usłyszeć. Zagadnienia moralne bardzo mnie interesują, zwłaszcza gdy w grę wchodzi kobieta, bo jeśli się nie mylę, poszło wam o Krystynę.

- Jeśli mam być szczerzy, to tak - zawahał się Melassa. - Wyraziłem wątpliwość, czy ułatwiona kariera, do której popychał Krystynę Leon, wyjdzie jej na zdrowie. To samo zresztą powiedziałem potem Leonowi. Zawsze mówiłem mu prawdę w oczy.

- Więc pan się jednak widział jaszczke z Posturem. Czy można wiedzieć kiedy?

- Przepraszam - zaprzeczył żywo Melassa. - Ja przecież nie mówię, że widziałem Leona. Ja tylko z nim rozmawiałem telefonicznie.

- Kiedy?

- Koło jedenastej wieczorem.

- Dość dziwna pora jak na towarzyskie telefony - zauważył tylko.

- To nie był towarzyski telefon. Leon był współpracownikiem przeglądu artystycznego „Sto Kwiatów”. Chodziło... chodziło o pewne redakcyjne sprawy. - Melassa poruszył niespokojnie długimi rękoma.

- Niech pan się wyraża ściślej i dokładniej - zamruczał Dziarmaga. - Powinien się pan przyzwyczaić, że na milicji wymaga się odpowiedzi ścisłych i dokładnych. Co to były za sprawy? Chciał pan pewnie wepchnąć Posturowi jakąś kobyłę do druku?

- Pan mnie obraża. Artykuł był rzetelny i wyczerpujący, nie pisałem go zresztą dla niewyrobionego czytelnika. Sądziłem, że pismo na tym poziomie co „Sto Kwiatów”...

- A więc chodziło o artykuł - przerwał mu Dziarmaga. - Nie rozwódźmy się dłużej nad tym tematem. Wystarczy, jeśli mi pan powie, czy Postur przyjął tę kobyłę, czy nie.

- Nie - przygryzł wargi Melassa. - Był bardzo przykry w dodatku, nie bardzo to wypada mówić o zmarłych, ale zachował się wręcz niekulturalnie.

- Mianowicie?

- Użył o moim artykule słowa, które mi wstyd powtórzyć. Nieprzyzwoitego słowa.

- I cóż dalej?

- Odłożył słuchawkę.

- To rzeczywiście przykre - stwierdził Dziarmaga. - Czy tego rodzaju zachowanie nie nasunęło panu jakiejś myśli?

- Nie rozumiem - Melassa odsunął się w głąb fotela.

- Czy nie domyślał się pan, co może być powodem zdenerwowania kolegi? Bo to wszystko świadczyło chyba o zdenerwowaniu.

- Rzeczywiście, wyglądał... to znaczy robił wrażenie zdenerwowanego. Był jakaś... jakiś... bo ja wiem, jak to określić? Po prostu nieswój,

- Jak człowiek, który się czegoś boi - podpowiedział Dziarmaga.

- Tak - Melassa Spojrzał na niego z uznaniem. - Pan to dobrze określił. Jak człowiek, który się czegoś boi.

- Zaprzątnięty jedną myślą. Zły, że mu się zawraca głowę.

- Tak, tak jest.

Dziarmaga swoim zwyczajem szybko zmienił kierunek śledztwa.

- Skąd pan dzwonił do niego?

- Z budki.

- Z której?

- Na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej.

- Zaraz jak pan się rozstał z tym drugim, jak mu tam... Z Piotrem Mohylnym?

- Tak.

- A przecież pan zeznał, że pan się rozstał z nim o dziesiątej.

- Ja tak zeznałem?

- Teresko, proszę odczytać świadkowi zeznania - zwrócił się do protokolantki. - Świadek Melassa zaczyna tracić pamięć.

Sierżant Teresa Dudek zaszeleściła kartkami i wyciągnęła spod spodu początek protokołu:

„Mohylny był tak złośliwy i nieprzyjemny, że pożegnałem go na rogu Alei i Marszałkowskiej, a sam postanowiłem wracać, ponieważ było już późno... Dochodziła dziesiąta”.

- Być może - bąknął zbity z tropu Melassa, - Nie będę się upierał. Jestem już zmęczony tym wszystkim.

- Ja też, ale musimy wyjaśnić tę historię z telefonem. Więc o której właściwie pan dzwonił, o dziesiątej czy o jedenastej? Pan rozumie, że to ma zasadnicze znaczenie dla ustalenia czasu śmierci Postura.

- Nie pamiętam dokładnie. Chyba gdzieś pośrodku.

- Około pół do jedenastej ?

- Chyba tak, nie patrzyłem na zegarek.

- Pan tu coś płacze się z czasem. Mówił pan, że dzwonił pan zaraz po rozstaniu z Mohylnym. Rozstaliście się o dziesiątej, więc...

- Kto panu powiedział, że dzwoniłem od razu? - zdenerwował się Melassa.

- Pan.

- No nie, upłynęło trochę czasu... Najpierw chciałem wrócić do siebie. Poszedłem na przeciwległy róg, żeby wsiąść w tramwaj na Powązki, w ósemkę. Ale portem...

- Potem się pan rozmyślił - odpowiedział Dziarmaga.

- Tak, rozmyśliłem się - powtórzył wolno Melassa - i postanowiłem jeszcze zadzwonić do Postura.

- Ejże! A może pan do niego pojechał? Niech pan sobie przypomni!

- Nie, pojechałem do siebie.

- Jak długo pan będzie jeszcze kłamał? My wiemy dobrze, że pan wcale nie rozstawał się z Mohylnym na rogu Alei, pan, pojechał razem z nim do Postura. Widziano was tam o pół do jedenastej - usiłował bluffować Dziarmaga. Melassa dyszał ciężko.

- Kto? To oszczerstwo! Nikt nie mógł mnie widzieć.

- Dowie się pan o tym w swoim czasie.

- Przysięgam, pojechałem do siebie.

- Nie zaglądał pan przypadkiem ma Bielany?

Melassa wyciągnął chusteczkę i otarł sobie czoło.

- Panie poruczniku - jęknął. Miał nieszczęśliwą minę.

Dziarmadze zrobiło się nieprzyjemnie. Poprawił okulary, ale przypomniał sobie o instrukcji pułkownika i wziął się w garść.

- O której był pan w domu?

- Około jedenastej.

- Wychodził pan jeszcze?

- Nie. Poszedłem spać.

- Kto to wszystko może potwierdzić?

- Potwierdzić? - wybełkotał Melassa.

- No chyba pan zdaje sobie sprawę, że te zeznania są bez mocy dowodowej. Sprawa wygląda po prostu tak, że pan nie ma alibi, a szereg istotnych poszlak świadczy przeciwko panu.

- Panie poruczniku, ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego. To jakieś straszne nieporozumienie. Czy ja jestem zdolny do tego rodzaju czynu? Na samą myśl o tym ogarnia mnie wstręt. To jest sprzeczne z moją etyką. Jako intelektualista i filozof...

- Niech pan mi nie mydli oczu filozofią. Chyba że pan ma na myśli filozofię kieszeni.

- Panie poruczniku, jak pan może! Pan mnie traktuje, jak... - wykrztusił Melassa.

- Nie mam żadnych podstaw, by uważać pana za pracownika nauki.

- Wiem - rzekł zmartwiony Melassa.

Był niemal sympatyczny z tym zmartwieniem. Rysy mu złagodniały. Dziarmaga spojrział na niego z rozterką. Nie mógł go rozgryźć. Albo jest to rzeczywiście człowiek niewinny, albo piekielnie wyrafinowany. Na wszelki wypadek przybrał surowy ton.

- Panie Melassa, niech pan przestanie stroić niewinne miny. Pan to robi źle. Samotność w budce na Powązkach nie wpływa dobrze na rozwój talentów mimicznych. Za to daje dużo czasu do przygotowania zbrodni.

Melassa drgnął. Milczał przez chwilę dysząc ciężko.

- Niech pan mi wierzy - szepnął załamany. - Nie czytam nawet książek kryminalnych.

- Woli pan ćwiczenia praktyczne?

- Ćwiczenia praktyczne - nastroszył się Melassa. - Co pan przez to rozumie?

- Na przykład diżudzitsu. Zwłaszcza jeden chwyt.

- Skąd pan wie? - wybełkotał przestraszony.

- My dużo wiemy. Wiemy także o pańskich wyczynach w kąpieli rzecznej.

- W kąpieli rzecznej?

- Widzę, że ma pan słabą pamięć. Może ten list cokolwiek panu przypomni - Dziarmaga wyjął z akt list Melassy do Krystyny Parytet. - Pan uprawiał niebezpieczne igraszki wodne. O mało co nie wyprawił pan wtedy Postura na tamten świat.

Melassa zbladł.

- To był żart.

- Po którym trzeba było Postura długo cucić na brzegu.

Melassa spuścił głowę.

- Błagam pana. Skończmy już z tym... Ja naprawdę nie mogę dłużej. Źle się czuję.

Niech mi pan da odetchnąć.

Dziarmaga chrząknął zadowolony. Pacjent miękł wyraźnie.

- Dobrze - powiedział - mała przerwa. Daję panu pięć minut czasu. Niech pan przemyśli wszystko i zastanowi się, czy warto kłamać dole.

Zabrawszy akta wyszedł z sierżant Dudek na korytarz.

- No, jak sądzisz? - zapytał niepewnie.

- Byłeś wspaniały. Nie wiedziałam, że umiesz być taki.

- Jaki? - zaczerwienił się Dziarmaga.

- Zupełnie jak porucznik Żurko.

- Dziękuję za komplement - rzekł kwaśno. - Myślisz, że to do czegoś doprowadzi,

Teresko?

Sierżant Dudek pudrowała energicznie nos zapatrzona w lusterko.

- Nie bój się. On już jest gotowy. Zaraz zacznie gadać.

Dziarmaga zdjął okulary i przez chwilę przecierał oczy.

- Jakie to wszystko męczące, jakie to męczące, Teresko. Robiłem, co mogłem, żeby go zbić z tropu, ale to twarda sztuka. On mnie bardziej zmęczył niż ja jego.

- Myślisz?

- A najgorsze, że wcale nie jestem zadowolony. To nie był mój styl. Żeby to znaleźć, Teresko, własny styl. Przecież ja muszę mieć swój własny styl. Nie mogę jechać na plagiacie.

Sierżant Dudek roześmiała się.

- Głuptasie! Żurko ma rację. Wy wszyscy w SODIS-ie jesteście sympatyczni, ale trochę stuknięci - zatrzasnęła puderniczkę.

- Chodź, Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

- No jak, panie Melassa? - zapytał Dziarmaga delikwenta wchodząc do pokoju. - Podsumował pan swój bilans?

Melassa milczał.

- Bo ja podsumowałem - rzekł z naciskiem Dziarmaga - mogę panu pomóc. Sprawa jest chyba jasna. Znajdował się pan, w krytycznych warunkach. Miał pan swoje naukowe ambicje, a w kieszeni pusto. Plany podbicia świata, nowe, genialne teorie, a tu rzeczywistość skrzeczy. Bryndza studencka, a tu forsiasty znajomy. „Karzeł moralny” - jak pan go nazwał, i spryciarz. Kudy jemu do pana? Wiedział pan, że Postur ma kupić samochód. Wiedział pan, że transakcja ma być zawarta w sobotę wieczorem. Wtedy w pańskim subtelnym filozoficznym umyśle sprecyzował się plan... - Dziarmaga wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju - śmiały, ambitny plan. Krytycznego dnia pilnuje pan Postura. Umawia pan się z nim, a może niby przypadkowo spotyka go pan na ulicy. Jedziecie obaj na Bielany. Postur chce jeszcze odwiedzić Krystynę Parytet. Krystyna Parytet to może także motyw, co? Zazdrość jest zawsze pięknym motywem. Wchodzicie do ogrodu Rettingerów. Jest ciemno. Miejsce zasłonięte. Nikt nie patrzy. Wymarzone miejsce. Lepszego już nie będzie. Więc za pomocą sztuki dżudzitsu - ten piękny cios z książki, który pan tak wystudiował, co? - więc za pomocą sztuki dżudzitsu obezwładnia pan przyjaciela, a następnie dusi go pan zatykając mu usta i nos płaszczem, a może po prostu dłonią. Dziwna śmierć bez śladów gwałtu. Zabiera pan następnie ofierze sto dwadzieścia tysięcy w banknotach pięćsetzłotowych, jak również klucze, by spenetrować mieszkanie denata... Tylko co się stało z okularami? Może się stłukły, gdy Postur padał na ziemię i pan uznał za stosownie usunąć je? Byłby to w takim razie zdumiewający zmysł porządku... czy też... lecz to nie takie ważne. Bardziej interesuje mnie strzykawka. Kiedy pan ją wy dostał od Krystyny Parytet i kiedy umieścił na drzewie. Przyznam się, że nie podejrzewałem pana o taki figiel... Chociaż kto wie? Pan przyznał się przecież, że lubi makabryczne żarty jak ten z Posturem w rzece. A może to nie był żart? Może pan chciał nam w ten sposób zasugerować, że Postura otruto zastrzykiem? Chyba może nam pan już powiedzieć? No, panie Melassa?

Dziarmaga zatrzymał się nad Melassą. Nagle oczy rozszerzyły mu się przerażeniem. - Melassa! - potrząsnął go gwałtownie za ramię. - Co pan?

Filozof osunął się bezwładnie i zwiś z poręczu fotela. Zemdłał.

Dziarmaga zamrugał oczami z dziecinnym zdziwieniem.

- Teresko! Prędko po lekarza.

Sierżant Dudek wybiegła.

XVIII. CZYŻBY CZŁOWIEK-PAJĄK

- Nic mu nie będzie - powiedział lekarz dyżurny zdejmując z uszu słuchawki. - Mały szok. Pobudliwy osobnik, zastrzyk kamfory postawi go na nogi.

Dziarmaga patrzył żalonymi oczyma krótkowidza na pułkownika Waderę.

- Co tu się stało, Dziarmaga?

- Świadek zemdłał, pułkownika.

- Przestraszyliście go? - pułkownik przyglądał się nieufnie podwładnemu. - Jak to zrobiliście, Dziarmaga?

Nim porucznik zdołał odpowiedzieć, Melassa wydał słaby jęk.

- Już mu przechodzi - zauważył lekarz.

Istotnie chory otworzył oczy, usiłował się nawet podnieść. Nagle zauważył Dziarmagę i znieruchomiał na moment. Na jego twarzy pojawił się strach. Zerwał się z kanapy i z krzykiem: ZABIŁEM! rzucił się do drzwi. Po chwili był już na korytarzu, krzycząc przeraźliwie uciekał po schodach, budząc prawdziwą sensację w komendzie.

Lekarz wybiegł za nim.

Pułkownik Wadera spojrzał surowo na Dziarmagę.

- Coście mu zrobili?

- Nic - wykrztusił Dziarmaga.

Pułkownik wciąż mu się przyglądał nieufnie. Pod wpływem tego wzroku Dziarmaga poczuł się wybitnie niepewnie. Nie wiedział, co ma z sobą zrobić. Podszedł do szafy i ukrywając się za skrzydłem drzwi udawał, że szpera w aktach.

- Czemu kryjecie się za szafą?! - krzyknął pułkownik.
 - Mole zakradły się do akt.
 - Dziarmaga - jęknął pułkownik. - Czy wy naprawdę jesteście normalni?
 - Byłem badany, pułkowniku. Lekarz nic nie stwierdził.
- Powrócił lekarz z Melassą.
- Co to było? - zapytał pułkownik.

- Mały kryzys nerwowy, pułkowniku. Wypadek znany w medycynie. Porucznik Dziarmaga swoim wyglądem i osobowością wywarł silne wrażenie na przesłuchiwanym. Przez cały czas przesłuchiwany trwał w stanie silnego napięcia nerwowego, pilnował się, trzymał na wodzy, dławił w sobie wyznanie prawdy. Musiała nastąpić reakcja. Pacjent zrzucił z siebie ciężar przygniatającej go winy. Wypowiedział się. Nastąpiło odprężenie. Proszę spojrzeć na niego.

Istotnie, Melassa był już zupełnie spokojny.

- Odprowadzić do aresztu! - rozkazał pułkownik, a odwracając się do Dziarmagi powiedział:

- Ja was chyba jeszcze nie znałem, poruczniku. Wy macie niepokojącą skalę możliwości. Pilnujcie się, Dziarmaga. Albo zarobię z was asa, albo...

- Albo? - przeraził się Dziarmaga.
- Albo wylecicie do wszystkich diabłów z komendy.
- Tak jest, pułkowniku.
- No dobrze - rzekł pułkownik. - Tylko nie garbić się, prostować, nie robić z siebie mały, Dziarmaga.
- Tak jest, pułkowniku.
- No dobrze - powtórzył pułkownik i wyszedł zadowolony.

Dziarmaga krążył przez chwilę po pokoju pełen sprzecznych uczuć. A więc podpadł, nie ulega wątpliwości, że podpadł pułkownikowi, ale jednak szef był zadowolony. W gruncie rzeczy nie najgorzej poszło z tym Melassą. Czyżby zapowiadał się wielki zwrot w karierze milicyjnej Dziarmagi? Uzyskać przyznanie się zabójcy w pierwszym przesłuchaniu i przy tak niepełnych poszlakach to niewątpliwie jest coś. Prawdę mówiąc Dziarmaga nie bardzo rozumiał, jak do tego doszło.

Obejrzał się, czy drzwi są zamknięte, i wyciągnął ukradkiem z kieszeni lusterko. Co w jego twarzy mogło przerazić Melassę? Nos pocziwy, gulasty. Podbródek łagodnie cofnięty. Oczy myślące, pełne głębokiej zadumy. Że krzyczał i był ostry? Żurko to robi stale. Tak, ale Żurko nie ma tej siły intelektu promieniującej z twarzy. Siła intelektu. Tak, to chyba to.

Dziarmaga chrząknął zadowolony.

Refleksje porucznika przerwał najniespodziewaniej Filip. Wbiegł zadyszany w płaszczu i nie rozbierając się zapytał pośpiesznie:

- Podobno zgłosił się Melassa?
- Tak, owszem, zgłosił się.
- Miał na sobie marynarkę z zielonego samodziału.
- Tak, a bo co?
- Gdzie on jest? Dawaj go szybko!
- Przed chwilą odprowadzono go do aresztu śledczego.
- Co takiego? Do aresztu? Dlaczego?
- Uzyskałem od niego przyznanie się do zabójstwa Postura.
- Łzesz! To niemożliwe.

- Pułkownik był przy tym.
- I on się przyznał? Niesamowita historia!
- Dlaczego się dziwisz?
- Coś mi tutaj nie gra.
- Co?

Ale Filipa nie było już w pokoju.

Powrócił po dwu minutach, zaspany, prowadząc za rękę jak dziecko wystraszonego Melassę.

- Siadaj pan.
- O co chodzi? Przecież już się przyznałem.
- Chodzi o to.

Filip wyciągnął z teczki pudełko. W pudełku pieczołowicie przyczepiona do białego kartonu znajdowała się zielonkawa, wełniana nitka. Filip ujął karton w dwa palce i podsunął oniemiałemu Melassie.

- Czy może pan powiedzieć, co to jest?
- To jest nitka.
- Doskonale. A czy wie pan, dlaczego ją pokazuję?
- Nie mam pojęcia.
- Ponieważ jest to nitka z pańskiej marynarki.
- Skądże znowu! To jakaś pomyłka.
- Niech pan się przypatrzy, ta nitka pochodzi z takiego samego materiału, jak pańskie ubranko.

- Być może, ale nie rozumiem, co to ma za znaczenie.
- Czy domyśla się pan, gdzie mógł zostawić tę nitkę?
- Nie.
- A to rozdarcie tak pięknie zacerowane?
- Zawadziłem o gwóźdź w mieszkaniu,
- Czyżby? Dziwne. Dziwne, bo tę nitkę znaleźliśmy na ścianie domu obywatela

Pontyskiego na Saskiej Kępie.

- Na ścianie? - wybełkotał Melassa.
- Tak. Zaczepił pan marynarką o koniec drutu, na którym rozpięte było dzikie wino.
- Ja... na ścianie... dajcie spokój, panowie. Tego już za wiele! - wykrztusił Melassa. -

Pan chce powiedzieć, że chodziłem po ścianie. To jakieś nieporozumienie. Nie jestem akrobatą. Czy ja wyglądam na człowieka-muchę?

- Więc zaprzecza pan?
- Zaprzeczam, jak najenergiczniej - zasapał Melassa.
- Widziano pana.

Melassa zbladł.

- Mnie? Wykluczone i niemożliwe. Panowie, przestańcie mnie dręczyć.
- Spokojnie! Czy pan znał Pontyskich?

- Nie, to znaczy trochę. Dwa razy graliśmy w karty na tarasie, to wszystko. Mecenas ma manię brydża. Nieraz biega po wszystkich sąsiadach w poszukiwaniu czwartego. Wyciągnął mnie kiedyś od Postura, stąd nasza znajomość. - Melassa otarł pot z czoła i szyi.

Filip spojrzał z uśmiechem na Dziarmagę, jak by się chciał pochwalić sukcesem.

- No dobrze, pojedzie pan na konfrontację.
- Panowie, tylko nie konfrontacja... Pontyscy to poważni ludzie, co oni sobie o mnie pomyślą?

- Niestety, przyjacielu, to jest nieuniknione.

Załadował przerażonego Melassę do wozu. Filip miał za sobą szkołę Żurki i lubił sprowadzać świadków na miejsce przestępstwa. Konfrontacje były żywiołem Filipa.

Umieściwszy filozofa w pokoju Postura, wezwał pomocnicę domową Pontyskich. Dziewczyna stawiała się wystraszona.

- Pani nazwisko?

- Alicja Gąsior.

- Poznaje pani tego obywatela?

- A jakże! To przecież pan Melassa.

- Czy to jego widziała pani, jak uciekał przez okno?

- O Jezu, co też pan!

- Niech pani sobie przypomni. Mówiła pani, że jakiś niski, zgarbiony człowiek... Ja to mam zapisane... - Filip szperał w aktach.

- „Okolo dziesięć minut po jedenastej otworzyłam okno, żeby wywietrzyć pokój, i wtedy zauważyłam kręcącego się koło willi w pobliskich krzakach niskiego człowieka. Ale nie zwróciłam na niego specjalnej uwagi. Miałam już iść spać, zgasiłam światło i zaczęłam się rozbierać, kiedy usłyszałam jakiś szelest, a później trzask za oknem. Była wtedy godzina za kwadrans dwunasta, wiem, bo nakręciłam właśnie zegarek jak codziennie przed snem. Wychyliłam się przez okno i zobaczyłam uciekającego człowieka, niskiego wzrostu, o skulonych ramionach.” - Filip skończył odczytywanie protokołu i powiedział: - Niech pani się dobrze przyjrzy. Czy to nie był pan Melassa?

- Nie wiem - wyjąkała służąca. - Było ciemno, nie mogłam dobrze widzieć - spojrzała lękliwie na Melassę.

Melassa, który dotąd przysłuchiwał się w milczeniu, ożywił się nagle.

- Dziękuję pani, Alicjo, za pani życzliwość. Pani jest dobrą dziewczyną, ale nie potrzebuje mnie pani bronić. Oni mają dowody. Wszystko przepadło.

- Och, panie Melassa - dziewczyna spojrzała na niego z przestachem. - Jak pan może tak mówić, przecież...

Filip uciszył ją gestem dłoni.

- Więc pan się przyznaje, Melassa?

Filozof spuścił głowę. Filip zawahał się.

- Niech pani wróci do domu - powiedział do dziewczyny - i stanie w oknie swojego pokoju. Odtworzymy tę scenę.

- Jaką scenę? - zapytał Melassa.

- Scenę, pańskiej ucieczki z willi Pontyskich.

Melassa próbował protestować, lecz Filip był nieubłagany. Wyprowadził podejrzanego na dwór i tu perswazją i groźbami zmusił go do galopu.

Przed willą zebrał się od razu tłum gapiów, a w oknach pojawiły się żądne sensacji twarze.

- Pan unicestwił moją godność - jęczał Melassa, wycofując się pospiesznie przed ciekawymi spojrzeniami do „Gołębnika”.

Filip wezwał po raz drugi Alicję i zapytał:

- No i co, rozpoznała go pani teraz? Ta sama sylwetka, prawda?

Alicja spuściła głowę.

- Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, proszę pana, to tak jakby ten, a niezupełnie...

Było ciemno, proszę pana, i przez to.

- Nieprawda. Niech mi pani nie wmawia takich rzeczy - zdenerwował się Filip. - To miejsce jest jaskrawo oświetlone przez latarnię. Dlaczego pani nie chce zeznać prawdy, kogo pani chce bronić? Przecież podejrzanym się przyznał.

- Jeśli się przyznał, to po co panu moje zeznanie? - szepnęła.

- Chcę mieć dowód obiektywny. Trzeba, żeby pani stwierdziła, tak lub nie.

Dziewczyna milczała. Filip bębnił palcami w stół.

- No cóż, zaczniemy wobec tego od początku. Jak pan spadł ze ściany, to się pan obejrzał, co? To normalny odruch w takich warunkach.
Melassa zawahał się.
- Tak, obejrzałem się.
- I co pan zobaczył?
Melassa milczał.
- Pytam pana.
- Zobaczyłem twarz w oknie.
- Czyją twarz, Alicji?
- Tak, ale niech pan jej nie dokucza. Ona mogła mnie nie poznać z przestachu. Ja przepraszam, ale pani miała taki niemądry wyraz twarzy, jak...
- Jak co? - zadyszała dziewczyna.
- Jak śnięta ryba.
- A pan? A pan jaką miał minę?! - wykrzyknęła dotknięta. - Widzicie go, śnięta ryba!
- Spokojnie. Więc widziała pani podejrzanego?
- Widziałam. Tak, tak, widziałam, wyglądał jak przetrącona małpa! - wybuchnęła. -
Było też kogo bronić!
- Dziękuję państwu - Filip wstał zadowolony.

Przed willę zajechała ifa i wysiadł z niej mecenas Pontyski.
- Co tu się wyrabia? - zapytał gapiów.
- Nic, ganiają jednego...
- Złodzieja znaleźli. Tego, co rozrabiał u pana...
- Wizja lokalna.
- Milicja kazała mu pokazać, jak uciekał. Są teraz w „Gołębniku”.
Mecenas wkroczył podniecony do mieszkania Postura i stanął jak wryty na widok Melassy.
- To pan, panie Tadeuszu?! Niemożliwe!
- Bardzo mi przykro - rzekł zmieszany Melassa.
- Panowie, czy to nie pomyłka? - zapytał mecenas.
- Niestety - rzekł Filip.
- Nie mogę uwierzyć. Pan chyba oszalał! - mecenas patrzył wstrząśnięty na Melassę, który uśmiechał się niezbyt mądrze.
- Co pana skłoniło do takiego czynu, Melassa?
- Założyłem się z Posturem - mruknął Melassa ze spuszczoną głową. - Było już późno, napiliśmy się trochę... Artystyczna fantazja, pan rozumie... Postur zaczął mi dogadywać, że niby jestem podobny do pająka. Że powinienem łązić po ścianie. - „Skąd wiesz, że nie potrafię? - odciąłem się. - Postaw tysiąc złotych, a wejść po ścianie na balkon do Pontyskich”. No i założyliśmy się...
- Bez bajeczek - przerwał Filip. - Usiłował pan wynieść cenny obraz z willi. Poza tym panie Pontyskiej skradziono złoty zegarek, płaszcz oraz książki.
- Co takiego? - oburzył się Melassa. - Pan śmie mnie posądzać o pospolitą kradzież?
- Spokojnie, „bez nerw”, bez szlachetnych gestów.
- Zaprzeczam stanowczo, że cokolwiek ukradłem. Mój wyczyn był wyczynem sportowym.
- Niestety, nie mogę się z panem zgodzić. To, co pan mówi, jest zupełnie niewiarogodne. Pan nie mógł się zakładać z Posturem pod willą Pontyskich o godzinie za kwadrans dwunasta, skoro za pięć dwunasta ciało Postura znaleziono na Bielanach.
Melassa stropił się.
- Nie rozumiem - wybełkotał.

- Nie szkodzi. Pan pojedzie ze mną do komendy. Pokażemy panu dowody. Sądzę, że wtedy pan zrozumie.

XIX. PANNA GOSIA

Dziarmaga miał zatroskaną minę.

- Przecież on się przyznał do zabójstwa Postura.

- Bzdura! - powiedział Filip. - Sam chyba rozumiesz, że on nie mógł zabić. Ma stuprocentowe alibi. Dopustowa odkryła zwłoki o godzinie jedenastej pięćdziesiąt pięć. O dziesiątej pięćdziesiąt widział Postura Żurawski. Potem o jedenastej - Mohylny. Czyli że na Bielanych mógł się Postur znaleźć najwcześniej o jedenastej dwadzieścia. Zatem zamordowano go między jedenastą dwadzieścia a jedenastą pięćdziesiąt pięć. A więc Melassa jest poza wszelkimi podejrzeniami. Jeszcze o godzinie jedenastej czterdzieści pięć widziano go na Saskiej Kępie. Nie mógł w ciągu dziesięciu minut znaleźć się na Bielanych.

- Ale mógł zamordować, zanim włamał się do Pontyskich, powiedzmy o jedenastej dziesięć i dopiero po morderstwie pojechać na Saską Kępę.

- Nonsens! O jedenastej dziesięć był już na Saskiej Kępie. Alicja Gąsior widziała go, jak kręcił się koło willi Pontyskich. Zresztą nie róbmy z tego farsy, Paweł. To przecież bzdura, żaby facet tego samego wieczoru popełniał morderstwo w jednym końcu miasta, a następnie urządzał jakieś głupie włamanie na drugim końcu, czy też na odwrót. Zastanów się. Niezależnie od tego, że czasy, w jakich dokonano tych przestępstw, wykluczają to całkowicie. Ostatecznie Melassa nie jest przecież wariatem.

- A jeśli te dwa przestępstwa mają jakiś związek?

- Nie widzę żadnego związku.

Dziarmaga zamyślił się.

- Przyjmujemy wciąż, że Postur został zamordowany w ogrodzie Rettingerów na Bielanych. A jeśli było inaczej?

- Nie rozumiem. Przecież tam znaleźliśmy ciało?

- Ciało mogło być podrzucone.

- Nie mamy żadnego powodu, by przyjąć tę hipotezę. Zresztą mamy dowody, że morderstwo miało miejsce na Bielanych.

- Dowody. Czy nie przesadzasz?

- Postur telefonował do Krystyny Parytet, że przyjedzie do niej o jedenastej, również Antoniemu Bujwidowi Żurawskiemu powiedział, że jedzie na Bielany. Wiemy zresztą, że tego wieczoru miał zapłacić za simcę temu staremu karaluchowi Cacce.

- To nie są, niestety, dowody. To są tylko poszlaki wskazujące na zamiar Postura. Ale nikt go nie widział na Bielanych żywego.

- W tym wypadku to jest bez znaczenia - rzekł zniecierpliwiony Filip. - Nawet gdybyśmy założyli, że Melassa zabił Postura gdzie indziej, to przecież musiałby go gdzieś koło jedenastej przewieźć na Bielany. A on ma alibi.

- Zwłoki mógł przewieźć kto inny.

- Mógłby? Dajże spokój! W ten sposób nigdy nie dojdziemy do ładu. A w ogóle nie rozumiem, czemu gwałtem bronisz tej hipotezy, że zabił Melassa.

- Przecież on się przyznał - powiedział już mniej pewnie Dziarmaga. Filip zaśmiał się.

- Tu cię boli! Nie wiem, jakimi sposobami wymusiłeś na nim to przyznanie się, w każdym razie na twoim miejscu, Paweł, nie chwaliłbym się tym wyczynem. Osaczyłeś go. Załamał się nerwowo. Potem odwołałby wszystko. Czy chcesz przesłuchać go teraz?

Dziarmaga poczerwieniał.

- Hm - mruknął. - Jeśli miał takie wspaniałe alibi, dlaczego nie powołał się na nie, kiedy przycisnąłem go do muru.

- Widzisz, to było kłopotliwe alibi. Prawie jak z deszczu pod rynną. Bądź co bądź musiałby się wtedy przyznać do włamania u Pontyskich. To nie było łatwe. Zresztą mógł po prostu nie wiedzieć, że miał alibi. Nie poinformowałeś go przecież dokładnie, kiedy Postur został zabity.

- Być może - rzekł nie przekonany Dziarmaga. - W każdym razie to wszystko jest jakieś dziwne, bardzo dziwne. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba, nie wiem tylko co.

Zadzwęczał telefon. Dziarmaga podniósł słuchawkę. Odezwał się głos kapitana Trepki.

- Jak idzie, chłopcy?

Dziarmaga bez słowa oddał słuchawkę Filipowi.

- Doskonale, kapitanie, udało nam się zredukować liczbę podejrzanych. Kto? Nie. Melassa... tak... Jest... Idziemy.

Filip odłożył słuchawkę. Miał zaaferowaną minę.

- Co się stało? - zapytał Dziarmaga.

- Kapitan wzywa nas do siebie. Mówi, że chce nam pokazać-coś ciekawego.

- Co to jest? - Filip cofnął się odruchowo. Na biurku Trepki leżała zielonkawa marynarka z samodziła, zupełnie podobna do marynarki Melassy.

- Jak widzisz, chłopcze, marynarka.

- Skąd ją wzięliście?

- To własność naszego przyjaciela Mohylnego, którym ostatnio jakoś przestaliście się interesować. Przysłano mu ją w paczce do aresztu. Słyszałem, że marynarki odgrywają niejaką rolę w waszych posunięciach. Pomyślałem więc, że ta może was zainteresuje, i przejąłem paczkę.

- Kto ją mu przesłał?

- Panna Gosia Pontyska. Nazwisko chyba nie jest wam obce?

- Córka mecenasa?

- Nie inaczej. Do paczki dołączony był ten oto miły liścik.

Filip przeczytał wyperfumowaną kartkę.

„Mój dzielny, kochany. Zwracam ci marynarkę. Na pewno marzniesz w tym okropnym miejscu. Niestety ślad pozostał, ale nie martw się tym. To będzie nasza cudowna pamiątka. Bądź dobrej myśli. Wszystko się wyjaśni i znów będziemy razem. Całuję cię.

Gosia”

Zdenerwowany Filip obejrzał marynarkę. Na prawym rękawie w okolicy łokcia miała nową, wyraźną cerę.

- Do licha, co to wszystko znaczy?

Trepka zakaszłał.

- Podejrzewam, że Melassa przywłaszczył sobie alibi, które do niego nie należy... Jest to normalny, zdrowo myślący człowiek. Kiedy ty mu, Filipku, podsunąłeś wspaniałomyślnie sugestię, że w krytycznej porze mógł się znajdować gdzie indziej, kiedy połapał się w czasach... że czasy obu przestępstw wykluczają się wzajemnie - postanowił przyjąć na siebie małe przestępstwo na Saskiej Kępie, by tym samym uwolnić się od podejrzeń, że popełnił duże przestępstwo na Bielanach. Było to bardzo nieładnie z jego strony... taka kradzież alibi... Ale do czegoż nie doprowadzi strach!

- Więc waszym zdaniem to alibi należy do Mohylnego? Czyżby odciski palców?

- Nie inaczej. Należą do Mohylnego.

- Coś ma tu nie gra - powiedział Filip.

- Dlaczego?

- Małgorzacie Poratyskiej ukradziono przecież złoty zegarek.

- I książki...

- I książki - powtórzył Filip - a ten list dołączony do paczki świadczy przecież...

- O czym świadczy? - zapytał Trepka. Filip podrapał się w bujną czuprynę.
- Nie myślicie chyba...
- Dlaczego nie!
- Do diabła, historia nie z tej ziemi - zaklął Filip. - Jadę tam natychmiast.
- Pojedziemy razem.

Pojawienie się trzech oficerów milicji w willi Pontyckich wywołało popłoch. Ulokowano gości w hallu, a w całym domu zaczęła się bieganina, szepty, trzaskanie drzwiami.

Wreszcie ze schodów zbiegł mecenas Pontycki.

- Panowie, co się znów stało?! - zawołał teatralnym głosem. - Czwarty najazd milicji. Znaleźliście już przecież sprawcę.

- Niestety, wyszły na jaw nowe okoliczności - rzekł oficjalnie Filip.

- Nowe okoliczności! - jęknął mecenas. - Boże! Jak długo jeszcze dom nasz będzie obiektem waszego niezdrowego zainteresowania? Wycofuję już wszystkie skargi, tylko zostawcie nas w spokoju. W przedsiębiorstwie, gdzie jestem radcą prawnym, były już trzy kontrole. Ktoś rozniósł wiadomość, że jestem zamieszany w to morderstwo na Bielanych.

- Niestety, mecenasie, musimy rzecz rozwikłać do końca - powiedział Trepka. - W pana własnym interesie. Rodzinnym interesie, że tak powiem.

- Rodzinnym? Nie rozumiem - przeraził się mecenas.

- Pan będzie łaskaw wezwać tu Alicję Gąsior i zostawić nas samych.

- Pani nam nie powiedziała całej prawdy, dziecino, pani wie dobrze, kto wspinał się w sobotę wieczorem do pani okna.

- Ależ ja naprawdę - zaczerwieniła się Alicja. - Ja naprawdę nie wiem.

- Czy słyszała pani coś o odciskach palców, które zostawiają przestępcy na miejscu swoich brzydkich czynów?

- O odciskach palców? - powtórzyła wystraszona.

- Tak, o odciskach palców.

- Czytałam w powieściach, ale dlaczego pan mnie pyta?

- Bo ktoś zostawił bardzo ładne odciski palców w pani pokoju na oknie.

- Na oknie? - wyszeptała przerażona.

- Pani nie wie, jaką złą przysługę wyświadczyła pani Mohylnemu, ukrywając fakt, że był on u pani w sobotę o jedenastej wieczorem. W sobotę o tej samej porze popełniono morderstwo na Bielanych i pan Mohylny znalazł się, hm, w nieprzyjemnej sytuacji. Milicja podejrzewa go o dokonanie tej zbrodni.

- To niemożliwe!

- Na szczęście wiemy, że to jest niemożliwe - zaakcentował Trepka - Mohylny spędził tę noc u pani.

- Nie! - wykrzyknęła. - To... to kłamstwo. To było zupełnie inaczej. Powiem całą prawdę. Wybiła jedenasta, kładłam się już spać, kiedy usłyszałam jakiś szelest za oknem. Wyjrzałam i zobaczyłam pana Piotrka. Pana Mohylnego znaczy się. Drapał się do mojego okna. Przestraszyłam się: „Co pan wyrabia?” - szepnęłam. A on zaklął i powiedział: „Psiakrew, gdzie ja jestem?” Powiedziałam mu, że u mnie. To on znów zaklął i powiedział: „Psiakrew, omyliłem się” I... i powiedział, że jest lunatykiem.

- Co takiego? - zdumiał się Filip.

- Że jest lunatykiem - powtórzyła Alicja. - I żebym nikomu nie mówiła, że on tu przychodził, i żebym się nie patrzyła, to on zejdzie z powrotem.

- No i co, zszedł?

- Nie od razu, bo akurat państwo wrócili i baliśmy się, że usłyszą. Czekaliśmy więc, aż pójdą spać. Czekaliśmy jakieś pół godziny. Dopiero potem... Udałam, że nie patrzę, ale widziałam... O Boże! - rozpląkała się.

- Co pani widziała?

- Nie, nic.

- To nie daje Mohylnemu żadnego alibi - mruknął rozczarowany Filip. - Zszedł na dół, wszedł w taksówkę i pojechał na Bielany, gdzie popełnił morderstwo.

- Nie - zaprotestowała nagle. - Jego tam nie było. Niech się dzieje co chce, powiem wszystko. Pan Piotrek, pan Mohylny - poprawiła się - nie zszedł na dół, tylko, tylko... przesunął się po gzymsie, tam jest taki szeroki gzyms pokryty blachą, panowie widzieli, więc on przesunął się po tym gzymsie i wszedł do... do okna panienki.

- Panny Gosi?

- Tak. Panny Gosi - pociągnęła nosem. - I jak tam wchodził, to się pośliznął i oberwał dzikie wino i strącił drabinkę, ale nie spadł, tylko zniknął w oknie panienki. Państwo usłyszeli trzask drabinki i wybiegli na taras, najpierw pani, potem pan, i pytali mi się, czy co widziałam. Wtedy ja powiedziałam, że jakiś człowiek uciekł przez żywoplot. Ale to nieprawda, bo pan Piotrek był u panienki - rozpląkała się znowu.

- A potem panna Gosia dała pani tę sukienkę worek, żeby pani nic nie mówiła, co? - zapytał ostro Filip.

- Ja nie dlatego! Ja bym i tak nie powiedziała, co mi tam, co mi tam - pociągała noskiem.

- Mniejsza z tym - powiedział Trepka - inna rzecz jest ważna. Czy pani wie, jak długo był Mohylny u panny Gosi?

- Do samego rana. Już było widno, kiedy wyszedł.

- Widziała pani?

- Nie mogłam spać, płakałam.. Całą noc płakałam... słyszałam ich za ścianą. Nie mogłam spać, nie mogłam słuchać. Zeszłam do kuchni. Była już piąta, kiedy wyszedł.

- Przez okno?

- Nie, zwyczajnie. Przez drzwi. Panienka musiała mu dać klucz.

- Czy niósł coś z sobą?

- Tak, obraz. Położył go potem przed domem.

- A książki i płaszcz?

- Książki?

- No przecież złodziej zabrał także książki.

- Nic nie wiem o książkach, widziałam tylko, jak wynosił obraz. Przez okno w kuchni widziałam.

Oficerowie popatrzyli na siebie.

- Coś niesłychanego! - wymamrotał Filip. - Coś niesłychanie bezczelnego.

- Tak, masz rację, przyjacielu - chrząknął Trepka. - To nie było zbyt delikatne z jego strony. W każdym razie nie możesz zaprzeczyć, że ten zły i brutalny młody człowiek przeżył romantyczną przygodę.

- Don Juan, Casanova, psiakrew!

- Raczej Romeo, przyjacielu, raczej kochankowie z Werony. W każdym razie Szekspir.

- Szekspir w wykonaniu współczesnego chuligana.

- Widzę, przyjacielu, że jesteś zdenerwowany. Czyżbyś się nie cieszył z tego alibi?

- Niech go diabli! - zaklął Filip. - Kogo jak kogo, ale tego typka chętnie bym widział na ławie oskarżonych.

- Niesłuszne uprzedzenie - mruknął Trepka. - Niekiedy mordercy wypadają szukać zupełnie gdzie indziej. Powinieneś szukać prawdy obiektywnej, mój chłopcze.

- Przesłuchamy jeszcze tę puszczałką? - zapytał ponuro Filip.

- Juliette, chciałeś powiedzieć. Nie mam nic przeciwko temu - zakaszłał Trepka.

Panna Gosia była wielką, zdrową, silnie zbudowaną pannicą. Już pierwsze pytania wywołały buraczkowe rumieńce na jej pełnych policzkach. Ale był to raczej skutek emocji niż wstydu.

- Owszem, Pietrek był u mnie - wzdryła ramionami i spojrzała wyzywająco na Filipa.

- Czy to panu wystarczy, panie ciekawski?

Filip chrząknął zakłopotany.

- Czy... hm... pobyt Mohylnego u pani miał miejsce w godzinach dwudziesta trzecia w sobotę - piąta w niedzielę?

- Widzę, że jest pan niezłe jak ma milicjanta poinformowany - wycodziła. - Czy to on sam wypaplał?

- O nie, dziecino - powiedział Trepka. - Pan Mohylny to wzór dyskrecji. Wolał narazić się na oskarżenie o zabójstwo niż narazić pani dobre imię i hm... opinię. To dżentelmen w każdym calu.

Gosia rozjaśniła się.

- To porządny chłopak - mruknęła. - Nie wszyscy z tym się zgadzają, bo Pietrek ma dosyć szokujący styl życia, ale to porządny chłopak.

- Dżentelmen-włamywacz - dodał szyderczo Filip.

Gosia nastroszyła się.

- To porządny chłopak - powiedziała z naciskiem. - Panowie go wypuszczają? - zapytała.

- Niestety!

- Dlaczego? Przecież takie rzeczy nie są karane.

- Tak, ale kradzież...

- Kradzież?! - wykrzyknęła. - Przecież nic nie zginęło.

- A obraz?

- Obraz się znalazł,

- Ale zegarek, płaszcz zimowy i książki - rzekł ostro Filip.

Gosia zacisnęła wargi. Milczała chwilę.

- On tego nie wziął. To... to był tylko taki chwyt.

- Chwyt? Nie rozumiem,

Gosia podeszła do szafy, wyciągnęła stamtąd zimowy płaszcz, teczkę z książkami i wyjęła spod ułożonej na półce bielizny złoty zegarek z bransoletką.

- Widzi pan, nic nie brakuje.

- No dobrze, ale po co... - wytrzeszczył oczy Filip.

- Jaki pan tępy, doprawdy, trzeba panu wszystko łopatą do głowy. No więc niech pan słucha. To złote głupstwo dostałam już parę lat temu od babci na imieniny. Dla rodziców to wielki cymes, nie pozwalają mi nawet w nim chodzić. Dopiero jak będę dorosła i to na jakieś uroczystości. Teraz mogę tylko podziwiać, oglądać i wzdychać jak wszystkie moje ciotki. Och, jakie to piękne! Ale mnie to wcale nie bawi. Dla mnie takie rzeczy same w sobie nie mają żadnej wartości. Wystarczy, jak się jest modnie ubraną. Modnie i z gustem. No i jak się jest szczęśliwym. W tym roku na święta Bożego Narodzenia chciałam prysnąć z Pietrkiem do Zakopanego. No i ten zegarek by się przydał, bo pan wie, starzy nie daliby ani grosza. W ogóle by mnie nie puścili. Dlatego...

- Rozumiem. Dlatego ten zegarek musiał przedtem „zginąć”. A ten płaszcz? Zdaje się, że jest dosyć stary i niewiele wart - zauważył Filip.

- Właśnie dlatego też musiał „zostać ukradziony”.

- Żeby rodzice kupili nowy, elegancki i modny.

- Zaczyna pan powoli kapować?

- Pozostały jeszcze książki. Tu już chyba nie zgadnę.

- Pan jest strasznie niedomyślny. A to jest przecież najprostsze. Jeśli już płaszcz, to czemu i nie książki? Parę dni laby w szkole też coś znaczy. I jeszcze mnie wszyscy żalowali.

- A wyniesienie obrazu miało uprawdopodobnić tę całą historię z kradzieżą - Filip pokiwał smutno głową.

- Inaczej mogliby nie uwierzyć... Poza tym to był dobry kawał, nie uważa pan?

- Ile pani ma lat, panno Gosiu? - westchnął podporucznik.

- Za cztery miesiące skończę osiemnaście i wtedy... wtedy się pobierzemy, ja i Pietrek - zakomunikowała nieoczekiwanie.

- A mówiła już pani o tym rodzicom?

- Po co! Żeby znów były awantury. Poczekam, aż będę pełnoletnia. A swoją drogą Alicja postąpiła jak świnia. Wszystko wypaplała.

Filip zmarszczył brwi i rzekł ostro:

- Obywatelka Alicja Gąsior spełniła swój obowiązek, choć wiele ją to kosztowało. Spełniła swój obowiązek zeznając jako świadek zgodnie z prawdą - zaakcentował.

- Świnia! A ja jej dałam sukienki.

- Panno Gosiu, tak nie można.

- Pan też pewnie powie rodzicom. O ile pana poznałam, pan jest wredny typ! - wybuchła Gosia.

- Będę to musiał uczynić dla pani dobra - Filip z trudem panował nad sobą.

- Pan jest wstrętny, wredny typ! - Gosia patrzyła na niego z nienawiścią.

- Okropna młodzież - zasapał Filip, gdy opuścili willę. - Wstrętne, rozwydrzone dziewczynisko!

- Spokojnie, nie unoś się, mój chłopcze - rzekł Trepka,

- Miałem ochotę wziąć ją na kolano i wyspać jej porządnie - zgrzytnął zębami Filip.

- Nie złość się - uśmiechnął się zza okularów Dziarmaga. - Bądź co bądź jeden punkt został wyjaśniony. Zaczynamy pomału posuwać się naprzód.

Filip skrzywił się.

- Nie jestem o tym bynajmniej przekonany. Raczej wracamy do punktu wyjścia. Mohylny i tak już miał właściwie alibi, ten podrobiony list bardzo go urządził. Tak bardzo, że swojego czasu zastanawiałem się nawet, czy to on sam go nie spreparował, ale dzisiejsze odkrycie wyklucza tę możliwość. Mohylny ma w krytycznym czasie stuprocentowe alibi. Tym samym wszystko znów zwraca się przeciwko temu biedakowi Melassie.

- Biedakowi? - podchwycił zdziwiony Dziarmaga.

- Powiem ci prawdę, Paweł. On jest zbyt podejrzany, żeby mógł być winny.

- Odkąd to specjalizujesz się w paradoksach?

- To nie paradoks. Zbyt łatwo poszło nam z tym człowiekiem. To mnie niepokoi.

- Rozumiem. Marzyłeś o orle, a upolowałeś mysz.

- Nie, tylko widzisz, to morderstwo było zbyt starannie obmyślane, żeby morderca nie zabezpieczył się należycie... A tymczasem Melassa... Melassa od początku jest podejrzany. W dodatku zachowuje się zbyt lekkomyślnie.

- Mylisz się - zaprzeczył Dziarmaga. - Melassa nigdy nie był w tej sprawie bardziej podejrzany niż inne osoby. On jest tylko bardziej wyeksponowany. Znajduje się w centrum naszej uwagi. To wszystko.

- To na jedno wychodzi.

- Bynajmniej. W tym może być świadome zagranie. Melassa stara się zrobić z siebie ofiarę śledztwa, chce zwrócić na siebie uwagę, a zarazem przedstawić się jako typ naiwny, histeryczny i głupi, chce doprowadzić do absurdu swoją sytuację w śledztwie, wzbudzić nasze wątpliwości, żebyśmy zaczęli się zastanawiać, jak to może być, żeby takie morderstwo popełnił taki człowiek.

- To są abstrakcyjne rozważania. Uważaj, zonglujesz na bardzo cienkiej linii.
- Zobaczymy - mruknął Dziarmaga - śledztwo się jeszcze nie zakończyło. Na razie dysponujemy tylko poszlakami, dosyć śliskimi poszlakami, a Melassa nie rozegrał jeszcze wszystkich swoich kart. Kto wie, czy w ostatniej fazie śledztwa nie zaskoczy nas czymś, czy nie skieruje na kogoś podejrzeń i nie wytrząśnie z rękawa ważnych dowodów.
- Nie mam zamiaru dać się czymkolwiek zaskoczyć - rzekł ostro Filip. - Najwyższy czas, żebyśmy przestali być igraszką przypadkowych odkryć, wątpliwych zeznań i niejasnych przypuszczeń. Potrzeba nam zasadniczej koncepcji. Jakiejś myśli porządkującej. Od tego trzeba zacząć.
- A jeśli chodzi o Mohylnego i Melassę...
- Chcesz ich wypuścić?
- Nie inaczej. Takie ptaszki są bardziej interesujące, gdy fruują na wolności.
- Przypuścimy - wetchnął sceptycznie Dziarmaga.

XX. BAGNO 37

Następnego dnia podporucznik Filip pojawił się w gabinecie Dziarmagi dopiero koło południa. Opadł ciężko na fotel i z jękiem rozluźnił krawat na szyi.

- No i cóż, masz koncepcję? - Dziarmaga spojrzał na niego ciekawie.
- Mam nowe wiadomości.
- Coś o Melassie?
- O Melassie nic specjalnego. Poza tym, że przed wyjściem z aresztu odwołał wszystkie swoje zeznania i zepsuł ci przy okazji opinię twierdząc, że wymusiłeś je na nim.
- Łobuz - zasapał Dziarmaga. - Wstrętny mięczak i tchórz.
- Inne meldunki są bardziej pocieszające - rzeki kwaśno. - Wyobraź sobie, Dopustowa kupiła wczoraj działkę ogrodniczą na Okęciu.
- Czy miała jakieś oszczędności?
- Nie, w każdym razie nie trzymała ich w PKO. Sprawdziliśmy.
- Ile kosztowała działka?
- Czterdzieści tysięcy. Ale to nie wszystko. Kazałem zbadać jej przeszłość. Była kiedyś rzeczywiście wziętą położną. W czterdziestym piątym roku w wyniku przejść wojennych, straciła w powstaniu męża i dziecko, wystąpiły u niej zaburzenia nerwowe, ciężkie stany lękowe, jakieś urazy psychiczne. Odebrano jej wtedy prawo praktyki. Przez dwa miesiące przebywała na obserwacji w klinice psychiatrycznej, a potem skierowano ją do sanatorium dla nerwowo chorych.
- Dziarmaga, zdenerwowany, zaczął przecierać okulary.
- Nowe komplikacje.
- To jeszcze nie wszystko.
- Do diabła! Widzę, że masz cały worek sensacji.
- Ta najbardziej zabiła mi ćwieka. Wyobraź sobie, ten uczeń Cacki, Tadeusz Tatomir, zniknął.
- Jak to zniknął?
- Wyszedł w sobotę z domu i do tej pory nie wrócił.
- Wiesz, to mi się zaczyna podobać.
- Mnie mniej. Śledztwo rozłazi się wszertz, zamiast drążyć w głąb.
- Przyjdzie i na to czas - zamruczał Dziarmaga wstając. - Najważniejsze, że coś się rusza w tym bajorku.
- Tak jest, na bezczynność nie możemy narzekać.
- Zamówiłeś już wóz?
- Po co, to niedaleko. Bagno 37.
- Nomen omen - mruknął Dziarmaga.

Kobieta nazywała się Kozubowa. Pracowała w zakładach Kasprzaka na Woli jako sprzątaczką. Była wystraszona gwałtem, jaki się zrobił wokół osoby siostrzeńca.

- Panowie, o co chodzi na miłość boską! - powtarzała po każdym pytaniu. - W co go znów tam wmieszali?

- Kiedy Tatomir wrócił do domu w sobotę? - pytał Filip.

- Jak zawsze, panowie, o piątej. Zjadł obiad i... - drżącą ręką sięgnęła po papierosa.

- I co?

Była ubrana zamożnie, niemal elegancko. Miała umalowane usta, w uszach złote kolczyki, na ręce zegarek „Atlantic”. Nie wyglądała na sprzątaczkę. W kącie lśniącej czystością izby stał telewizor.

- Zjadł obiad i... no i wyszedł. Przecież była sobota - dodała pośpiesznie. - On zawsze wychodzi w sobotę. Młody chłopak, panowie rozumieją.

- Pani powiedziała „w co go znów tam wmieszali” - wtrącił spokojnie Dziarmaga. - Kogo pani miała na myśli?

- Na myśli? Nie, nikogo, cóż znowu! Tak ogólnie powiedziałam, że też panowie tak muszą za język łapać.

- Ogólnie pani powiedziała - mruknął Dziarmaga. - Ten telewizor to pani czy jego?

- Telewizor? A, taki domowy... - rzekła niepewnie.

- Za czyje pieniądze kupiony?

- Na raty, na książeczkę oszczędnościową. Dostałam talon z zakładów. Tadzik się dołożył i kupiliśmy.

- Docelowe oszczędzanie - mruknął Dziarmaga.

- Docelowe - powtórzyła drżącymi wargami.

- Czy pani siostrzeniec miał jakichś kolegów, z którymi przyjaźnił się bliżej?

- Nie wiem, nikogo do domu nie sprowadzał. U nas ciasno, sam pan widzi. Jedna izba.

Filip zbliżył się z fotografią w ramce. Na zdjęciu widać było trzech młodzieńców w strojach kąpielowych na tle plaży. Stali uśmiechnięci z rękami na biodrach.

- Kto to jest. Poznaje pani?

Kozubowa wzięła fotografię do ręki. Przyglądała jej się, jak by ją pierwszy raz widziała.

- Co się pani tak przygląda? Nie zna pani tej fotografii? - uśmiechnął się łagodnie Filip.

- Stała przecież na komodzie.

- A rzeczywiście... stała - zmieszała się Kozubowa.

- Który z nich jest Tadeuszem Tatomirem?

- Ten najmniejszy z lewej strony.

- A tamci?

- Nie znam ich, to pewnie jacyś koledzy znad morza. Tadzik był w tym roku nad morzem. W Mielnie, bardzo sobie chwalił.

- Niech pani nie zawraca nam głowy! To jest zdjęcie znad Wisły. Na Bielanych. Na drugim brzegu widać komin elektrociepłowni na Żeraniu.

- Tak. Może i widać, nie przyglądałam się.

- Niech się pani teraz dobrze przyjrzy - powiedział z naciskiem Filip, zupełnie już teraz innym tonem. - My i tak znajdziemy tych panów, ale wolelibyśmy, żeby pani nam to powiedziała.

Kozubowa drgnęła i spojrzała wystraszona na Filipa, który stał nad nią z nastroszonymi brwiami.

- Nie mogę na pewno powiedzieć - zasapała oblizując wargi - nie mogę gwarantować, ale to mogą być Henio i Wacek.

- Nazwiska?

- Nie znam. Słowo daję, że nie znam. Kiedy przychodzili... to znaczy... kiedy widziałam ich z Tadzikiem, mówili sobie zawsze po imieniu.

- Wie pani może, gdzie pracują?

- Nie, mówię panu, widziałam ich dwa lub trzy razy wszystkiego. Tadzik nigdy nic nie wspominał.

Filip pomału schował fotografię do kieszeni.

- Postaramy się znaleźć pani siostrzeńca - powiedział. - Szkoda byłoby, gdyby taki zdolny chłopak zginął. Może pani już wstać z tej poduszki - dodał na widok siedzącej sztywno Kozubowej. - To nie jest zbyt wygodne siedzieć na takich poduszkach. Można sobie porobić odciski.

- Nie rozumiem - poczerwieniała. Porucznik podszedł do poduszki na kanapie, jednym ruchem zdarł jedwabny wierzch i wydobyl ze środka metalowy przedmiot.

- Mogę pani dostarczyć pierza w każdej ilości - rzekł poważnie. - Nie będzie wtedy pani musiała wypychać poduszek transformatorzami radiowymi. Pani pójdzie z nami. U nas w komendzie znacznie wygodniej się siedzi. Będzie pani mogła tam spokojnie poczekać na powrót marnotrawnego siostrzeńca.

XXI. KOLEDZY TATOMIRA

Po południu Drabek przekazał Filipowi meldunek:

„Osobnicy na fotografiach nazywają się Henryk Miałek i Wacław Zbąszyński, pracują w Warszawskiej Fabryce Motocykli. Od poniedziałku nie pojawiają się w pracy. W ich miejscu zamieszkania, na Bielanach, oświadczone, że zostali aresztowani w związku z morderstwem Postura”.

Oficerowie spojrzeli po sobie zaskoczeni.

- Z morderstwem Postura? Drabek chyba oszalał!

- Może jakaś pomyłka. Należy przejrzeć wykazy aresztowanych w związku z innymi sprawami.

Filip wybiegł zdenerwowany. Powrócił po pół godzinie.

- No i co? - podniósł głowę Dziarmaga znad papierów.

- Są. Wszystko się zgadza. Tych dwu facetów aresztował porucznik Żurko w niedzielę, w czasie prowadzenia dochodzeń w wili Rettingerów. Nikt jednak nie wie po co i dlaczego. Kazałem ich zaraz przyprowadzić.

- Hipolit jak zwykle genialny - uśmiechnął się Dziarmaga.

Jakieś typy spod ciemnej gwiazdy - pomyślał Filip przyglądając się uważnie dwóm wyrostkom, którzy stanęli przed jego biurkiem z oczyma wbitymi w ziemię - lepiej się z takimi nie spotykać na źle oświetlonej ulicy.

- Czy wiecie, za co zostaliście aresztowani?

- Z powodu rury wydechowej.

- Jakiej rury?

- To znaczy z powodu wykroczenia drogowego, poruczniku.

Opowiedzieli historię z motocyklem.

- Chcieliśmy pomóc w sprawie, a ten chudy porucznik nas capnął.

- Jednym słowem spekulacja na zbrodni?

Zbąszyński skrzywił się z niesmakiem.

- My panu chcemy pomóc, poruczniku, niech i pan nam pomoże. Z porucznikiem Żurką nie chcieliśmy gadać. Nierówny chłop. Ale z panem możemy zawrzeć sztamę. Wiadomość będzie w dechę.

Filip nastroszył się. Chciał ich przywołać do porządku, ale Dziarmaga powstrzymał go.

- Załatwione - powiedział do chłopaków. - Pod warunkiem, że odpowiecie na wszystkie pytania.

Filip spojrzał zdumiony, ale Dziarmaga uspokoił go.

- Elastyczność obowiązuje. Biorę to na siebie. Cóż to za rewelacja, chłopcy?

Zbąszyński poruszył się.

- Więc tego... w sobotę, znaczy się, przechodziliśmy koło Willi Rettingerów i widzieliśmy, jak ktoś stał w ogrodzie za drzewem i palił papierosa.

Zbąszyński przerwał i spojrzał na oficerów, jak by ciekaw efektu swoich słów.

- Hm, interesujące - powiedział Dziarmaga. - Która to była godzina?

- Już po jedenastej - odparł Zbąszyński.

- Dokładnie to było pół do dwunastej - uzupełnił Miątek. - Ulica pusta jak wymiół.

Przechodzimy, a tu w ogrodzie coś błysło. Zapalka. Ktoś stał i palił papierosa. To nam wydało się dziwne. Bo kto o tej porze stoi jak słup w ogrodzie. Potem, jak na drugi dzień rano dowiedzieliśmy się, że morderstwo, to od razu pomyśleliśmy o tym facie z papierosem.

- Facie? Wiec to był mężczyzna?

- Tego nie można powiedzieć. Nie było widać.

Filip przypatrywał się im podejrzliwie.

- Co robiliście o tej porze na Zuga?

Młodzi ludzie wydawali się przygotowani na to pytanie.

- Mieszka się, panie poruczniku - wzruszył ramionami Zbąszyński.

- Mieszkacie na Zuga?

- Niedaleko stamtąd, na Lisowskiej.

- No, ale coście robili na Zuga?

- Spacerowało się, panie poruczniku.

- Wracaliśmy z kina autobusem - dodał Miątek, widząc, że Filipowi nie bardzo trafia do przekonania wyjaśnienie kolegi. - Sto trzydzieści dwa, z kina na Krakowskim.

- Z kina „Kultura” - łypnął pochmurnie okiem wyższy.

- Przecież do waszego domu nie idzie się przez Zuga - zauważył Filip.

- Spacerowało się - mruknął niechętnie Zbąszyński. - Pan porucznik nie uznaje spacerów dla zdrowia?

- Bez głupich uwag. To jest poważna sprawa. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że jesteście podejrzani o morderstwo?

- Jak Boga kocham, co to za mowa, poruczniku! - oburzył się Miątek. - A cóż my możemy mieć z tym wspólnego?

- Dużo. Posturowi zrabowano pieniądze, które miał wręczyć niejakiemu panu Cacce za samochód. Znacie to nazwisko?

- Nazwisko tak. Sąsiad z ulicy. Ale o pieniądzach pierwszy raz...

- Bez bajerowania - warknął Filip. - My wiemy wszystko. Uczeń ślusarski Cacki, niejaki Tadeusz Tatomir, wasz kumpel, podsłuchał w piątek, jak Postur umawiał się z Cacką, że w sobotę o jedenastej przyniesie forszę za samochód. Tatomir powiedział wam o tym, a wy postanowiliście załatwić Postura.

- Mowa - mruknął Zbąszyński. - Nie znamy Tatomira.

- A tego faceta znacie? - Filip pokazał im fotografię znad Wisły.

Chłopcy poruszyli się niespokojnie. Zastukano do drzwi.

- Nie przeszkadzać! - krzyknął Filip. - No co, zatkało was?

- Faktycznie, pan porucznik ma rację - Zbąszyński próbował zachować fason. - Nie będziem kiwać... Zналиśmy Tatomira.

- Dlaczego Tatomir uciekł?

- Uciekł? - Zbąszyński zamrugał oczami. - Kiedy?

- W niedzielę. Czy nie domyślacie się dlaczego?

- Nie.
- Tatomir uciekł, bo się dowiedział, że Postur został zamordowany, i bał się, że to wyście go zamordowali, a on go wam wystawił. Tak czy nie?
Zbąszyński zacisnął ręce na krawędzi biurka.
- Ja mogę panu wszystko powiedzieć. Ja się nie boję. Co pan ma przeciwko nam? Żeśmy przechodzili akurat ulicą? Chodzić każdemu wolno. Choćby pan się nie wiem jak uwziął, nic pan więcej przeciw nam nie znajdzie. Pan to sobie dobrze wykombinował. Tatomir mówił nam o tym samochodzie i o Posturze, tylko...
- Wacek! - krzyknął ze złością Miałek.
- Spokojna główka, Heniek. Mucha nie siada. Zasuвам bezpiecznie. Ja tylko panu porucznikowi powiem, czemu Tatomir uciekł. Uciekł, bo się dowiedział, że nas milicja chapnęła. A o morderstwie nie było mowy... To są tylko takie zagrania milicyjne. Co, poruczniku? Pan sam w taką gadkę nie wierzy. Kupy się nie trzyma. Jak byśmy faceta chcieli załatwić, to byśmy na niego czekali na Lisowskiej. Skąd byśmy wiedzieli, że facet wstąpi do Rettingerów?
- Boście go śledzili od popołudnia. Krok w krok! - krzyknął Filip. - A teraz spływajcie, do diabła ciężkiego. Już was nie ma!
- Chłopcy spojrzeli po sobie zaskoczeni, a potem dali nura w drzwi.
- Dlaczego nie przymknąłeś tych ptaszków? - zapytał Dziarmaga.
- Filip wzruszył ramionami.
- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Gdyby te ptaszki maczały palce w morderstwie, nie pchałyby się przecież u Boga Ojca wprost w ręce milicji i nie szarpały o jakąś tam rurę wydechową. Mieliby inne zmartwienie.
- Wcale nie jestem tego pewien - chrząknął Dziarmaga. - A jeśli na tym właśnie polega ich trick. Nieraz się już zdarzało, mój drogi, że poszukiwania niebezpiecznych przestępców nie dawały rezultatu, bo oni siedzieli już w mamrze za jakieś drobne sprawy. Dla takich typów mamry to najbezpieczniejsze azyle.
- Dziecinniejesz, Pawełku. Miałek i Zbąszyński nie wyglądają na takich geniuszy. A w ogóle to są scholastyczne hipotezy, jakie wylęgnać się mogą tylko w waszym zwariowanym SODIS-ie. Kto by się ważył na takie ryzyko.
- A jednak ich obecność w pobliżu miejsca zbrodni... Nie zaprzeczysz chyba, że...
- Ależ owszem, owszem, byli... Być może mieli nawet złe zamiary i czatowali na Postura, póki ich ktoś nie spłoszył. Ale to nie ich robota. Wszystkie inne okoliczności zbrodni wykluczają to całkowicie. Choćby ten list, który zabójca wsunął Posturowi. To jest zbrodnia zaplanowana zbyt inteligentnie jak na ich możliwości. Nie, mordercy należy szukać wśród znajomych Postura. Gdybym tylko znalazł klucz. Do tej sprawy musi być jakiś bardzo prosty klucz.
- Wracamy znów do koncepcji?
- Tak. Należy przede wszystkim znaleźć zasadniczą koncepcję.

XXII. EXODUS DOPUSTOWEJ

Następnego dnia jednak tnie tylko że nie wyłoniła się żadna zasadnicza koncepcja, ale, co gorsza, miało miejsce nowe zdarzenie, które jeszcze bardziej zaciemniło sytuację.

Parę minut po ósmej zadzwonił wywiadowca Sojka z willi Rettingerów. Ledwie Filip podniósł słuchawkę, twarz mu się wydłużyła.

- Co takiego? Usiłowała zbiec? Dobrze, zaraz tam będę.

Rzucił zdenerwowany słuchawkę.

- Nie, tego już zupełnie nie rozumiem! - wykrzyknął. - Wyobraź sobie, Paweł, ta gospodyni Rettingerów, Apolonia Dopust, chciała się ulotnić. Sojka schwytał ją z walizką na ulicy i zawrócił. Pyta, co ma z nią robić.

- Chcesz tam jechać? - przetarł okulary Dziarmaga.
- Sądzisz, że nie warto?
- Ależ nie, wprost przeciwnie - mruknął zamyślony Dziarmaga. - Wydaje mi się, że za mało interesowaliśmy się tą kobietą.

Filip kazał zatrzymać wóz pod szkołą na ulicy Zuga. Chciał się dostać do willi Rettingerów od tyłu przez dziedziniec szkolny i ogród, żeby nie wywoływać zbiegowiska.

Nad wąskimi uliczkami Bielán wisiała gęsta, mokra mgła. Oficerowie postawili kołnierze płaszczy. Lepki ziąb przenikał ich do kości. Domy cofnęły się jakby, stały zaczejone za drzewami, milczące i odległe. Mgła poszerzała przestrzeń.

- Trzy dni i diabli wzięli złotą jesień! - zaklął Filip. - Zobacz, co się zrobiło z naszego sympatycznego domku. Ponura rudera, prawdziwy dom morderców.

Na ścieżce w ogrodzie przechadzał się bezszelestnie Sojka.

- Jest coś nowego, Sojka? - zapytał Filip.

- Tylko ta historia z Dopustową. Coś się z nią stało. Nic nie chce mówić. Siedzi do tej pory w przedpokoju na walizce. Wygląda na chorą.

Filip skinął głową na Dziarmagę.

- Jeszcze jedno, poruczniku - zatrzymał ich wywiadowca. - Kapitan Trepka jest tu od rana.

- Trepka? A cóż on tu robi? - na twarzy Filipa pojawił się cień niezadowolenia.

- Nie wiem. Chodzi po domu. Jakby szukał czegoś.

Filip wzruszył ramionami.

Dopustowa istotnie siedziała w hallu na walizce ubrana jak do podróży, z rękami bezwładnie opuszczonymi na dół, zapatrzona nieruchomo w jakiś punkt na podłodze. Jej twarz wyrażała ostateczne przygnębienie. Wyglądała starzej niż zwykle. Strąki źle uczesanych szpakowatych włosów sterczały spod jej rozwiązanej chustki.

Nie zwracała zupełnie uwagi na oficerów.

- Co się z panią dzieje? Niechże pani coś powie - rzekł Filip. - Chora pani jest?

Dopustowa milczała. Nie poruszyła się nawet.

- Niech pani wstaje. Zabierzemy panią do lekarza.

- Nigdzie nie pojedę - wymamrotała.

- Zdaje się, że chciała pani wyjechać.

- Chciałam wyjechać do krewnych na Okęcie. Ale ten pan w ogrodzie mnie nie puścił.

- Jakże tak można! I zostawiłaby pani dom na łasce losu?

- Ja tu nie mogę dłużej... - szepnęła. - Nie wytrzymam. Robiłam, co mogłam, ale dłużej już nie wytrzymam,

- Dlaczego?

- W tym domu straszy.

- Niech pani nie opowiada głupstw.

- Pan nic nie wie, pan nic nie może zrozumieć... Gdyby tak pana nachodziło co nocy, skonałby pan ze strachu.

- Niechże pani mówi po ludzku. Co się właściwie stało? - zirytował się Filip.

- Nie wiem, nie wiem, jak to wyrazić, proszę pana. Budzę się w środku nocy. Śni mi się, że pan Postur chodzi po domu i czegoś szuka.

- Ach więc się pani śni?

- Nie wiem, czy to sen, czy jawa. Przestałam już odróżniać. Kiedy się budzę i nasłuchuję, słyszę jakby stukanie do drzwi. Biegnę, otwieram, nikogo nie ma. Znow leżę i nasłuchuję i zmów słyszę.

- Co pani słyszy, do diabła?

- Jakby dalekie kroki, szelesty i wzdychania.
 Filip zasapał. Jednakże postanowił być cierpliwy i nie zbagatelizować niczego.

- Skąd dochodzą te... te odgłosy? Z góry czy z dołu?
 - Nie wiem, to jak by było w ścianie.
 - Pani ma chore nerwy. Po domu nikt nie chodzi. Dom jest pilnowany przez jednego z najlepszych wywiadowców, niech pani będzie spokojna.
 - Tego nikt nie upilnuje. - Dopustowa zapatrzyła się w okno.
 - Może pani myśli o duchach? Ale zaręczam pani: duchów nie ma. Dom jest dokładnie przeszukany i zamknięty. Przecież pani...
 - Wiem. Sama sprawdzam codziennie zamki. A mogę przysiąc...
 Za drzwiami wiodącymi na schody do piwnicy rozległo się ciężkie człapanie.
 Zatrzeszczał nieprzyjemnie stopeń.
 Dopustowa przycisnęła rękę do piersi i spojrzała wystraszona na oficerów.
 Filip doskoczył w dwu susach do drzwi i otworzył je gwałtownie. Po schodach pięła się w górę jakaś ciemna postać. W sekundę później w smudze światła błysnęła charakterystyczna łysina kapitana Trepki.

- Do diabła, to kapitan! - zaklął zmieszany Filip. - Może to wy jesteście duchem, który straszy w tym domu? - zwrócił się do Trepki.
 - Czym ja mogę straszyć, drogi chłopcze? Chyba tylko tym parasolem. Ale zaręczam ci, że nie boją się go nawet koty.
 - Czy można wiedzieć, czego szukaliście w piwnicy?
 - Szukałem duchów.
 - I co?
 - Jeśli tu nawet chodzą jakieś duchy, to nie zostawiają śladów.
 Filip spojrzał na niego podejrzliwie i bez słowa zbiegł na dół do piwnicy. Wyszedł po dziesięciu minutach otrzepując ręce.
 - Macie rację. Tam nie ma nic godnego uwagi.
 Spojrzał z rozterką na Dziarmagę.
 - Nie wiem, czy brać poważnie przywidzenia Dopustowej. Nie chciałbym niczego zaniedbać. A z drugiej strony boję się ośmieszenia.
 - Ostrożność nie zawadzi - mruknął Dziarmaga. - W każdym razie byłbym zdania, że należy Dopustową zatrzymać w domu. Nie naruszać *status quo*, póki się rzecz nie wyjaśni.
 - Masz rację - mruknął Filip. - Wstawimy do niej na noc sierżant Rojkową. Rojkowa potrafi odróżnić duchy od istot żywych - uśmiechnął się. - Zostanie tu pani jeszcze na jedną noc - powiedział głośno do Dopustowej. - Razem z panią będzie spała sierżant Rojkowa. Przy niej włos pani z głowy nie spadnie.
 - Jeszcze jedną noc? - wykrztusiła gospodyni.
 - I biada pani, jeśli to były tylko przywidzenia - zakończył Filip wychodząc z hallu.
 Na progu obejrzał się jeszcze i zauważył, że kapitan Trepka uśmiecha się jakoś dziwnie.

XXIII. SPOTKANIE W „GOŁĘBNIKU”

Niestety, inwigilacja nie przyniosła żadnych efektów. Nikt nie zakłócił ciszy nocnej. Sierżant Rojkowa czuwała z Dopustową do późna w nocy, potem zmorzył je zdrowy sen. Filip zbeształ wściekły Dopustową i odwołał sierżant Rojkową z posterunku.

Również sprawa Cacki zdawała się dobiegać do banalnego finału. Wypuszczenie z aresztu Miąłka i Zbąszyńskiego dało natychmiastowy efekt w postaci ujawnienia się Tadeusza Tatomira. Wyjaśnienia Tatomira potwierdziły tylko przypuszczenia Filipa. Chłopak uciekł, bo bał się, że Miąłek i Zbąszyński zabili i obrabowali Postura. Miał zresztą powody do tego rodzaju przypuszczeń, ponieważ rzeczywiście poinformował ich w piątek wieczorem o mającej się odbyć w sobotę transakcji. Miąłek i Zbąszyński mieli wtedy rzekomo zauważyć,

że „wartałoby załatwić figusa”. Oczywiście był to zdaniem Tatomira, i mocno to podkreślał, tylko żart.

Aczkolwiek Filip był wciąż przekonany, że typy myślały o napadzie na serio i że tylko okoliczności, a może i strach przed konsekwencjami przeszkodziły im w wykonaniu zamiaru, to jednak z braku podstaw prawnych zmuszony był umorzyć w stosunku do nich dochodzenie.

Sprawa krwi znalazła wyjaśnienie bardziej budujące.

Tatomir zeznał, że w piątek, odstawiając wóz do garażu po próbnej jeździe z Leonem Posturem, był świadkiem wypadku drogowego rowerzysty na skrzyżowaniu Alei Świerczewskiego i Nowotki. Na wezwanie milicjanta zaofiarował się odwieźć wtedy pokaleczoną ofiarę do szpitala na Pradze i ślady krwi zostawił właśnie ten rowerzysta. Na pytanie, dlaczego nie wspomniał o tym Cacce, odparł, że wolał przemilczeć całą historię, gdyż majster miał mało zrozumienia dla podobnych uczynków samarytańskich. Zresztą ślady krwi uszły jego uwagi. Konfrontacja z rannym, badanie daktyloskopijne odcisku palca i analiza grupy krwi potwierdziły to zeznanie, zanim odszukano ten wypadek w meldunkach służby ruchu.

Tak więc po dniach denerwujących „odkryć” zapanowało nieprzyjemne ucieszenie w dochodzeniach. Czas uciekał... Prokurator tracił cierpliwość. Rodzina zmarłego domagała się coraz natarczywiej wydania zwłok.

Filip i Dziarmaga odmawiali, jak by wciąż jeszcze spodziewali się, że zwłoki będą potrzebne w śledztwie. Filip chodził z głową nabitą hipotezami, z których żadna nie miała rąk ani nóg. Dziarmaga obalał je flegmatycznie, przecierając okulary, ale nie mógł im przeciwstawić nic „konstruktywnego”, jak się wyrażał z pogardą Filip.

Wreszcie cała sprawa zaczęła podporucznikowi brzydnać. Czuł, że trafił na nieprzewyciężony próg, i czekał już tylko na jakiś cud i olśnienie. Odwiedzał dom Rettingerów i „Gołębnik”, jakby te miejsca miały go natchnąć jakąś myślą.

„Morderca wraca na miejsce zbrodni” - tłukł mu się po głowie przesąd kryminalistyczny. Był to okres, kiedy podporucznik gotów był uwierzyć nawet w przesady.

W niedzielne popołudnie, ósmego dnia od czasu zabójstwa Postura, udał się znów do „Gołębnika”.

W mrocznym przedpokoju zawahał się. Co mi to da - pomyślał. Niezdecydowanie wyciągnął z kieszeni klucz do pokoju Postura. Nagle znieruchomiał.

Opaska z pieczęcią na drzwiach była zerwana. Chwilę patrzył na drzwi z bijącym sercem, potem wyjął chusteczkę i ostrożnie, ale zdecydowanie nacisnął przez nią klamkę.

Drzwi ustąpiły od razu. Ręka Filipa odruchowo spoczęła na rękojeści pistoletu w kieszeni. Ale w pokoju było pusto. Tylko w uchylonych drzwiach na balkon wiatr rozwiewał firanki. Filip doskoczył w dwu susach do balkonu. Jakaś niska, przysadzista postać stała oparta o balustradę. Kiedy na odgłos, kroków odwróciła się, Filip osłupiał. Rozpoznał Trepkę.

- Jak się masz, mój chłopcze - powiedział - a więc znowu się spotykamy. Widzę, że koty-samotniki zwykły chadzać tymi samymi ścieżkami.

- Co tu robicie, kapitanie? - zapytał zmieszany Filip.

- Podziwiam perspektywę. Czy nie sądzisz, że stąd rozciąga się wspaniała perspektywa?

- Pokazał na srebrzysty pas Wisły migocący w zachodzącym słońcu i ciemny, zębaty zarys zabudowań na lewym brzegu. - Taka perspektywa, mój chłopcze. Czy nie myślisz, że to może natchnąć do wielkich marzeń?

Filip wzruszył ramionami. Nie bardzo rozumiał, o co kapitanowi chodzi.

- Przyjrzyj się tylko, Filipku. To słońce nad wysokim brzegiem, nad czarnym brzegiem, poziome promienie kłujące prosto w oczy. Oślepiające promienie.

- Chyba nie tylko po to znaleźliście się w tym miejscu, żeby podziwiać widoki? - zapytał nieufnie Filip.

Trepka zachichotał.

- Przeprowadziłem tu mały rekonesans. Bardzo ciekawy przyczynek do moich studiów. Ale co tam u ciebie? Słyszałem, że wypuściłeś Melasę.

- W tej chwili mam co innego na głowie - odparł niechętnie Filip.

- Cóż takiego, mój chłopcze?

- Interesuje mnie - zaczerwienił się Filip - ogólna hipoteza.

- I przyszedłeś tu jak kot do mleka? Masz rację, ten pokój działa na wyobraźnię.

- Myślicie?

- Tak jest, przyjacielu. Czegóż nam więcej potrzeba w tej chwili? Mamy w szufladkach fakty, odciski palców, ekspertyzy i świadków, a także kolekcję podejrzanych. Tak jest, mój chłopcze, bardzo urozmaiconą i ciekawą kolekcję podejrzanych. Wybitnie podejrzanych - podniósł palec do góry. - Czegóż więc nam potrzeba? Potrzeba nam wyobraźni. Sprawa dojrzała już dostatecznie. Potrzeba nam tylko lakonicznej formuły. Czy o tym myślałeś, mój chłopcze?

Filip skinął niepewnie głową.

- Bardzo słusznie, ze wszech miar słusznie, przyjacielu - zakaszłał Trepka. - Tego wymaga sprawa. Są sprawy, gdzie morderca układa swoją zbrodnię według jakiejś perfidnej idei, tak jest, mój chłopcze, perfidnej idei zasadniczej, która w jego mniemaniu ma mu zapewnić bezkarność i bezpieczeństwo. To jest to, co nazywam zbrodnią skomponowaną. Obawiam się, że z tym przypadkiem mamy właśnie do czynienia w naszej sprawie. Czy mnie rozumiesz, mój chłopcze?

Filip poruszył się niespokojnie.

- Przyjrzyj się temu obrazowi - Trepka pokazał płótno Postura. - Ktoś, kto spojrzy na ten obraz wzrokiem laika, ten dostrzeże tylko mniej lub więcej śmieszne manekiny w różnych pozach. Dostrzeże ręce, nogi, głowy, czapkę z papieru, frak i inne szczegóły, ale przecież, jeśli tak będzie patrzył, nic w gruncie rzeczy nie dostrzeże. Bo artyście chodziło o coś więcej. Zawarł w tym dziele jakąś świadomą, ogólną myśl... Trzeba oderwać się od szczegółów i starać się poznać myśl malarza. Wtedy dopiero zrozumiemy dzieło.

Podobnie i w naszej sprawie musimy się oderwać od faktografii. Musisz spojrzeć na wszystko jak na skomponowane dzieło. Spojrzeć na zbrodnię i towarzyszące jej okoliczności z punktu zupełnie innego, z punktu widzenia mordercy, i zapytać, na czym polegał pomysł. Innymi słowy porucznik Żurko, ty i Dziarmaga myśleliście dotąd analitycznie, a tu potrzeba myślenia, że tak powiem, syntetycznego. Puść w ruch wyobraźnię na najwyższych obrotach i nie bój się tego, mój chłopcze.

Trepka pchnął manekina we fraku. Kukła obróciła się bezwolnie kilka razy dookoła.

XXIV. PODPORUCZNIK FILIP I SYNTETYCZNE MYŚLENIE

Nazajutrz o szóstej rano kapitan Trepka był jeszcze w wannie, kiedy rozległ się natrętny dzwonek telefonu. Starszy pan westchnął i otuliwszy się w swój wspaniały płaszcz kąpielowy poczłapał do pokoju.

Dzwonił podporucznik Filip.

- Kapitanie, doszedłem do syntezy - to były pierwsze jego słowa.

- Bardzo mnie to cieszy - powiedział Trepka. - Czy jednak nie mógłbyś, hm, dojść trochę później?

- Nie rozumiem.

- Na przykład za dwie godziny.

- Żartujecie, kapitanie.

- Przyjacielu, kąpiel mi stygnie. Wyrażaj się zwięźle, o co chodzi?

- Znalazłem klucz...
- Klucz? Mianowicie?
- Manekiny.
- Manekiny? - Trepka umilkł nie wiadomo czemu.
- Tam kryje się rozwiązanie zagadki - ciągnął podniecony Filip. - Te manekiny mają decydujące znaczenie w sprawie. Muszę się z wami widzieć. O ile to jest możliwe - natychmiast. W mieszkaniu Postura.

- Będę o ósmej - usłyszał głos Trepki.

Kiedy Trepka zjawił się o ósmej w „Gołębniku”, zastał tam już podnieconego podporucznika. Bujne uwłosienie młodego adepta kryminalistyki było w jeszcze większym nieładzie niż zwykle, a czerwone obwódki wokół powiek świadczyły o nieprzespanej nocy.

- Przyjacielu, źle wyglądasz - zauważył Trepka.

- Głupstwo. Pracowałem całą noc. Starłem się myśleć syntetycznie.

Trepka pogładził się po łysinie i spojrzał dobrotliwie na podporucznika.

- Mów do rzeczy, mój chłopcze. O co chodzi?

W odpowiedzi Filip zaczął ustawiać rozproszone po pokoju manekiny w jeden rząd tuż koło siebie. Jednemu poprawił frak, drugiemu kostium kąpielowy, trzeciego poklepał po wystającym brzuszku.

Trepka przyglądał mu się z rosnącym zainteresowaniem.

- Przyjrzyjcie się, kapitanie, tym manekinom.

- Przyglądam się, mój chłopcze.

- Przyjrzyjcie się im dobrze - powiedział Filip z niezwykłym podnieceniem. - To jest klucz do rozwiązania zagadki.

- Zaciekawiasz mnie, przyjacielu, ale wyjaśnij mi bliżej, o co chodzi.

Filip uśmiechnął się triumfalnie.

- Czy nie zastanowiło was, że te manekiny coś, a raczej kogoś wyobrażają? Rozpatrzmy je po kolei. Manekin pierwszy. Jest to manekin nagi. Ma na sobie tylko marynarkę frakową, a na szyi białą muszkę. - Filip doskoczył do szafy i otworzył ją na roścież. - Ta marynarka wzięta jest stąd. Tu wiszą spodnie i kamizelka od fraka, od nowego fraka Leona Postura. A tu - sięgnął do biurka i wskazał na stojącą w ramce fotografię z bankietu ma cześć delegacji plastyków hinduskich - tu jest Postura we fraku. Z tego nasuwa się wniosek. Manekin pierwszy wyobraża samego Leona Postura. Czyż nie tak?

- Być może, mój chłopcze, i cóż z tego?

- Idźmy dalej. Manekin drugi. Ma na sobie kozuch wywrócony na drugą stronę, kudłami na wierzch, a na głowie zabawną czapkę z gazety. Zadrukowany papier w formie błazeńskiej czapki wyszydza zainteresowania pisarskie Melassy...

- Melassa jest garbaty - zauważył Trepka patrząc pobłaźliwie na Filipa.

- Przypatrzcie się dobrze - uśmiechnął się Filip. - Ten kozuch tworzy garb na plecach manekina.

- Od biedy można przyjąć, że tak jest w istocie - mruknął Trepka.

- Trzeci manekin - pokazał Filip - ubrany jest tylko w czerwone sportowe spodnie.

Skojarzenie proste. Manekin wyobraża Piotra Mohylnego, który, jak wiadomo, studiuje na AWF. A zatem te manekiny nie są dobrane przypadkowo - Filip zakończył ze zwycięską miną. - Te manekiny wyobrażają lub, jeśli wolicie, symbolizują ludzi z najbliższego otoczenia Leona Postura. Jego przyjaciół, osoby, z którymi łączyły go jakieś, powiedzmy, głębsze stosunki. A może po prostu rywali z kręgu pięknej dziewczyny z obrazu. Sami nadaliście mu przecież tytuł. Dziewica i manekiny.

- Dziewica wyobraża zatem, według ciebie, Krystynę Parytet? - zapytał z dziwnym uśmiechem Trepka.

- Nie inaczej.

- No dobrze - zakaszłał Trepka - ale tu jest trochę więcej tych manekinów. Widzę ich pięć.

- Właśnie! - wykrzyknął podekscytowany Filip. - O to właśnie chodzi. Stawiam pytanie: gdzie są i kim są pozostałe dwa manekiny. Jeden z nich to manekin przebrany za dziecko. Chłopiec ze śliniaczkiem i w wełnianej zielonej czapeczce na głowie. Drugi jest manekinem w damskim jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. Pytanie: kogo wyobrażają te pozostałe manekiny? Manekin numer cztery i manekin numer pięć.

Trepka roześmiał się ubawiony.

- Sądzisz, że na tej drodze znajdziesz rozwiązanie?

- Jestem przekonany, że jedna z osób przedstawionych na obrazie jest mordercą. Sposób przeprowadzenia planu zabójstwa i poszlaki, które zgromadziliśmy, wskazują na to niedwuznacznie. Jesteście innego zdania?

- Być może, mój chłopcze, być może. Jedna z tych osób. Obawiam się jednak, że nadto się egzaltujesz tymi symbolami - rzekł sceptycznie Trepka. - To zbyt niebezpieczna droga, zbyt łatwa i efektowna, dlatego niebezpieczna.

- Nie bójcie się, kapitanie. Mam oczy na wszystko otwarte - powiedział siląc się na spokój Filip. - Ja się niczym nie sugeruję. Ale to jest odkrycie. To odkrycie mówi nam, że w otoczeniu Leona Postura znajdowały się jeszcze dwie osoby, o których dotąd głucho w śledztwie, a które być może pozwolą nam rozwiązać zagadkę. Dwie osoby - uśmiechnął się - a może raczej jedna osoba, gdyż zdaje mi się, że manekin numer cztery już mamy.

- Manekina-dziecię? - zapytał Trepka zdziwiony.

- Tak jest. Młody Rettinger, zmarły tragicznie w Studzieńcu, w zakładzie poprawczym dla nieletnich. Pozostaje tylko manekin numer pięć. Zdaje się, że jego powinniśmy teraz zidentyfikować.

- Nie mam nic przeciwko temu, mój chłopcze.

Filip siadł na fotelu i przysunął do siebie piątego manekina.

- Manekin w damskim kostiumie. Męski manekin w damskim kostiumie kąpielowym - powtórzył.

- Założmy, że chodzi o kobietę - powiedział Trepka.

Filip skrzywił się. To mu nie bardzo pasowało do koncepcji: dziewczyna i rywale.

- Może raczej... - zawahał się - jakiś mężczyzna o babskim charakterze.

- Nie, mój chłopcze. Jeśli już mamy bawić się w tę zgaduj-zgadulę, to ja bym podejrzewał raczej istnienie jakiejś kobiety, jakiejś kobiety w najbliższym otoczeniu Postura, o której nie mieliśmy dotąd pojęcia. Wskazują na to pewne poszlaki, niezbyt może mocne, ale dające dużo do myślenia.

- Poszlaki?

- Cały szereg poszlak, choćby nawet te niedopałki papierosów „Syrena”, które znaleźliśmy w dwu dość charakterystycznych, miejscach, w ogrodzie Rettingerów i na parterze „Gołębnika” na Saskiej Kępie. Syrena jest ładnym papierosem ze złotym ustnikiem. O ile mi wiadomo, nikt z naszych drogich podejrzanych nie pali tego gatunku, jest to natomiast papieros chętnie palony przez kobiety. Druga poszlaka to zeznania Miałka i Zbąszyńskiego. Chłopcy ci krytycznego wieczoru zauważyli około godziny jedenastej jakąś tajemniczą osobę w ogrodzie Rettingerów. Osoba ta paliła papierosa. Jedźmy dalej. Czy nie uderzył cię, chłopcze, zdumiewający porządek w tym pokoju? Porządek, powiedziałbym, bezmyślny i powierzchowny. Farby i pędzle wepchnięte w pudło z pastą do obuwia. Tego by nie zrobił chyba żaden malarz. Tak sprzątać może tylko osoba, która nie traktuje farb i pędzli jak narzędzi pracy, lecz tylko jako zawadzający brudny przedmiot, który trzeba gdzieś upchnąć. Następnie te książki wetknięte na półki, jak popadło, byle tylko „ładnie” wyglądało. Nie podług treści i przydatności, ale według cech zewnętrznych formatu i koloru. I te sztuczne kwiaty na stoliku, i ta figurka porcelanowego pastuszka wybitnie gryząca się z

estetycznym wyglądem pokoju. Mówiliśmy już przecież na ten temat. Czy przypadkiem nie czuć w tym ręki kobiety, i to kobiety o złych gustach? Zastanów się nad tym, mój chłopcze. A na koniec jeszcze jedna mała wskazówka: Postur poróżnił się o coś z Krystyną Parytet. Wierz mi, mój chłopcze, w tej sytuacji należy zawsze podejrzewać istnienie kobiety. drugiej kobiety. Warto by jej poszukać i powiększyć nasze piękne grono podejrzanych, jeśli je chcemy mieć w komplecie. Sądzę, że gdybyśmy przycisnęli Mohylnego...

Filip zagryzł wargi i nie czekając, aż Trepka skończy, wybiegł z pokoju. Wrócił po chwili prowadząc z sobą diabolicznie uśmiechniętego studenta.

Na widok Trepki młody człowiek skłonił się z błazeńską przesadą.

- Co za zaszczyt dla biednego studenta. Kapitan Trepka we własnej osobie. Z pewnością śledztwo ruszy teraz z kopyta - rozsiadł się bez zaproszenia w fotelu. - A więc będziemy przełamywać mały impasik w śledztwie i likwidować remanenty po nieodżałowanej pamięci porucznika Żurce. A propos, jak zdrowie obywatela Żurki? Doprawdy byłbym niepokieszony, gdyby tak zdolny funkcjonariusz wypadł ze służby na czas dłuższy. Zawsze darzyłem porucznika Żurko głęboką, acz nieodwzajemnioną sympatią.

- Porucznik Żurko czuje się dobrze - odparł chłodno Filip.

- Za to pan wygląda niezbyt zdrowo - zauważył złośliwie Mohylny. - Boję się, że pan się zmarnuje w tej sprawie, dzielny podporuczniku. Zdaje mi się, że ona ciut-ciut za trudna dla pana. Pan wyciągnie nogi w kwiecie wieku.

- Zobaczymy, kto tu wyciągnie nogi - wycedził Filip. - Kat kręci się koło pana, panie Mohylny.

- Niech mnie pan nie przeraża, podporuczniku, to nieładnie tak straszyć biednego studenta. Cała moja nadzieja, że porucznik Żurko zaniemógł, a pan... pan jest inteligentny.

Filip chrząknął i zaczerwienił się. Byłby już dawno usadził wesółka, ale zbyt mu zależało na jego zeznaniach i nie chciał zaostrzać sytuacji.

- Bez dygresji - odrzekł spokojnie. - Niech pan słucha i odpowie na pytanie: jaką kobietą interesował się ostatnio Leon Postur?

Mohylny zagwizdał.

- Oho, widzę, że śledztwo wkracza na nowe tory. Niestety muszę oświadczyć, że nie czuję się upoważniony do zabierania głosu w sprawach intymnych moich przyjaciół... Jako dżentelmen i w ogóle...

- Bez żartów, Mohylny.

- Nie znam takiej kobiety.

- Czekam na odpowiedź.

- A jeśli nie odpowiem?

- I tak wcześniej czy później odnajdziemy ją bez pana, a pan powędruje znowu do pudełka.

- Za co, u Boga Ojca?

- Powodów jest aż nadto: ukrywanie osób podejrzanych, zamach na porucznika Żurko, obraza słowna milicji, włamanie do willi Pontyskich.

- Papa wolał zatuszować sprawę - bąknął Mohylny.

- Ale my możemy ją wznowić.

- Niechże pan będzie rozsądny, młody człowieku - wtrącił Trepka. - Czy to mądrze w kwiecie wieku zadzierać z milicją? A poza tym niechże pan będzie konsekwentny. Chce pan być dżentelmenem, a czy byłoby po dżentelmeńsku, gdyby za pana przyczyną Gosia i cała ta historia dostała się na łamy prasy?

- Niech pan zostawi w spokoju tę dziewczynę - warknął Mohylny. - Tylko niech pan zostawi tę dziewczynę.

- A więc? Będzie pan zeznawał?

- Sami się powinniście domyślać, do diabła. Przecież zeznałem, że Krystyna Parytet i Leon pożarli się ze sobą.

- A więc poszło o kobietę?

- Pewnie, że nie o rybę.

- Nazwisko?

- Maryśka Johnson.

- Jak?

- Mary Johnson.

- Angielka?

- Taka jak ja mołojec. Matka jej wyszła w czterdziestym piątym roku za przedstawiciela UNRRA w Polsce i Maryśka najniespodziewaniej w świecie zdobyła za jednym zamachem ślubnego ojca i angielskie nazwisko. Obecnie pozuje na Amerykankę i uczy się angielskiego.

- Dlaczego pan ukrywał jej istnienie?

- Nie chciałem sprawiać babce kłopotu.

- Pan ją podejrzewa?

- Ja? - Mohylny zaśmiał się nieprzyjemnie. - Skądże znowu! Wprost przeciwnie. Ale czy koniecznie trzeba być winnym, by nawarzyć sobie bigosu? - zamyślił się nagle. Filip spojrzał na niego podejrzliwie.

- Ten łobuz coś wie - mruknął do Trepki, gdy wracali do komendy. - Odnoszę stale wrażenie, że on coś ukrywa.

- Albo się czegoś boi - powiedział Trepka. - Czegoś oczekuje. Ten jego tupet, ta wyzywająca postawa. Czy on przypadkiem w ten sposób nie chce zagłuszyć lęku?

- Ma przecież alibi - mruknął Filip.

- Tak, ale pamiętaj, że morderca nie został odkryty. On żyje i działa. A jest to morderca, który umie zabijać.

- Sądzicie, że Mohylnemu może coś grozić ze strony mordercy?

- Być może, mój chłopcze. Być może.

XXV. PIĄTY MANEKIN

Dziewczyna weszła, do pokoju wystraszona i stanęła przed biurkiem Filipa, przyciskając kurczowo torebkę da piersi. Była jaskrawo umalowana, włosy miała utlenione, wyraz twarzy bezmyślny. Lalka - pomyślał Filip. Przyglądał jej się z rosnącym rozczarowaniem. - Czy taka lalka mogła...

- Niech pani spocznie - powiedział chłodno. Usiadła sztywno i posłusznie, jak automat.

- Pani pali? - podsunął jej paczkę sportów i obserwował uważnie.

- Dziękuję - rzekła bezdźwięcznie i wyciągnęła z torebki pudełko syren. Filip podał jej ogień i wymienił dyskretne spojrzenie z Dziarmagą.

- Pani знаła dobrze Leona Postura?

- Nie wiem.

- Jak to mam rozumieć?

- Czy można znać dobrze drugiego człowieka, w dodatku mężczyznę? Nie jestem tak zarozumiała.

Filip spojrzał na nią ciekawie.

- Leon Postur został zamordowany - rzekł, robiąc lekką pauzę.

- Wiem - odparła spokojnie. - Ale dlaczego pan mi to mówi?

- Chcieliśmy się dowiedzieć, czy nie ma pani jakichś podejrzeń, kto to mógł zrobić.

- Absolutnie żadnych. Skąd?

- Pani знаła ludzi, którymi otaczał się Postur. Jego znajomych, przyjaciół.

- Tylko pana Melassę i pana Mohylnego. Lecz ich chyba panowie nie podejrzewają.

- Jak dawno znała pani Leona Postura?

- Poznaliśmy się na początku tego miesiąca, kiedy... - zawahała się - kiedy zaczęłam uczęszczać na kursy angielskiego u Metodystów. Miałam z rodzicami wyjechać z Polski i chciałam podciągnąć się w języku...

- Leon Postur też chodził na te kursy?

- Nie, tylko pan Melassa i właśnie przez niego poznałam Leona.

- Powiedziała pani „miałam wyjechać”. Czy ten zamiar uległ zmianie?

Mary Johnson zawahała się.

- Kiedy poznałam Leona, rozumie pan...

- Rozumiem. Małżeństwo z nim mogło spowodować, że pani pozostałaby w kraju. A teraz?

- Teraz chyba wyjadę.

- Kiedy pani widziała ostatni raz Postura?

- Chyba w piątek zeszłego tygodnia - odpowiedziała niepewnie i Filip to zauważył.

- A może w sobotę?

- Nie - zaprzeczyła z ożywieniem. - W sobotę już nie.

- Na pewno?

Johnsonówna zmieszła się pod wpływem podejrzliwego spojrzenia Filipa.

- Mieliśmy się spotkać, ale Leon nie przyszedł.

- Gdzie pani miała się z nim spotkać?

- W kawiarni „Zorza” na Bielanych.

- O której godzinie?

- O dziesiątej.

- Ciekawe miejsce i pora - zauważył Filip.

- Owszem, ja sama byłam zdziwiona, ale Leon powiedział mi...

- Że ma dla pani niespodziankę - dokończył Filip.

- Skąd pan wie? - zdziwiła się Johnson.

- Bo pani nie była jedyną kobietą, której to obiecał.

- Myśli pan o niespodziance, którą Leon obiecał Krystynie? - uśmiechnęła się,

- Tak.

- Pan się myli. Niespodzianka, którą Leon obiecał Krystynie, miała być zupełnie inna. Leon miał załatwić Krystynie engagement do kabaretu „Hades”, ale do Zakopanego nowym samochodem miałam pojechać ja.

- Jest pani tego pewna? - chrząknął Filip pełen wątpliwości.

- Też pytanie! - uśmiechnęła się. - Przecież wszystko po to było zaaranżowane. Leon chciał załatwić sprawę jak dżentelmen. Występy w „Hadesie” miały osłodzić Krystynie zerwanie.

- Powiedziała pani, że Leon nie przyszedł. Czy to nie zaniepokoiło pani?

- Oczywiście. Nie umiałam sobie tego wytłumaczyć. Leon był zawsze punktualny.

- Czy nie pomyślała pani, że to Krystyna mogła...

Johnson zaczerwieniła się,

- Oh, nie! - wydeła wargi. - Pod tym względem byłam o Leona zupełnie spokojna.

- Cóż więc pani dalej zrobiła?

- Zadzwoiłam do Leona do domu, ale nikt nie odpowiadał. Zadzwoiłam do klubu na Foksal i do SPATIF-u, ale i tam nie było Leona. Bałam się, żeby nie uległ jakiemuś wypadkowi. Był zawsze taki roztargniony. To było straszne, nie mogłam uwolnić się od tej myśli. Wróciłam do Śródmieścia, nie wiedziałam, co robić. Usiłowałam sobie wytłumaczyć, że nie mam powodu do niepokoju, ale nie mogłam - otarła oczy chusteczką. - Wreszcie, żeby o wszystkim zapomnieć, poszłam do kina.

- Do kina? - zdziwił się Filip.

- Tak, do kina - powtórzyła zaciskając zęby.

- Do jakiego?

- Do pierwszego lepszego. Zdaje się, że do „Śląska”.

- Na jaki film?

- Jakaś fantastyczna historia, chyba „Kalosze szczęścia”.

- Film zrobił na pani duże wrażenie?

- Owszem, podobał mi się.

- To widać. Pani jest dotąd pod jego wpływem - rzekł oschle Filip,

- Dlaczego? - spojrzała na niego niespokojnie.

- Bo pani nam tu opowiada fantastyczną bajkę, miss Mary.

Filip wstał.

- Nie była pani na żadnym filmie.

- Byłam.

- Proszę nie kłamać. W kinie „Śląsk” nie ma seansów o dziesiątej godzinie.

- Byłam o jedenastej.

- Ani o dziesiątej, ani o jedenastej. Ostatni seans jest o godzinie dziewiątej lub ósmej trzydzięci. Ja pani powiem, co pani robiła. Pojechała pani na Bielany. I czekała na Postura, ukryta w ogrodzie. Najpierw wróciła Krystyna Parytet. Potem nadszedł Postur.

- Nie, nie - przerwała mu. - To kłamstwo!

- Mamy dowody.

- Ciekawe jakie? - spojrzała na Filipa wyzywająco. Zmiana w jej zachowaniu była uderzająca. W niczym nie przypominała dziewczyny, która parę minut temu płakała do chusteczki. Czyżby tamto wszystko było wystudowaną pozą?

- Pani tam zostawiła niedopałek swojego papierosa. O ten - pokazał jej. - Złoty ustnik syreny.

Milczała chwilę.

- To ma być ten dowód! - zaśmiała się. - Niech pani się nie kompromituje, panie Sherlock Holmes.

- Tak, właśnie ten - Filip tnie dał się zbić z tropu.

- To nie jest mój papieros - rzekła nadspodziewanie spokojnie. - Tysiące ludzi pali syreny. Niech pan spojrzysz zresztą.

Niedbałym swobodnym gestem wyjęła z ust papierosa i pokazała Filipowi ustnik. - Niech pan spojrzysz i porównaj. Na moim papierosie jest wyraźny ślad szminki, a ten, który mi pan pokazał, jest czysty... Pan się zagalopował trochę, prawda? I coś tam nie w porządku ze spostrzegawczością szanownego pana.

Filip milczał zdetonowany. Rzeczywiście nie zwrócił na ten szczegół uwagi. Czyżby się mylił aż tak dalece w stosunku do jej osoby? Jedno w każdym razie nie ulega wątpliwości. Jest bystra i pewna siebie. Nie wyglądała na taką.

Żeby zatuszować porażkę, uśmiechnął się.

- Nie szkodzi, widziano tam panią.

- Kto? Niech mi pan pokaże tego człowieka.

- Zostawmy na razie tę sprawę i wróćmy lepiej do kina. Niech pani wymyśli coś bardziej przekonującego niż kino o jedenastej godzinie.

- Nic nie mam do powiedzenia. Chyba tylko, że z kinem to była rzeczywiście nieprawda. Powiedziałam tak, bo... bo... pan by mi nie uwierzył, że mogłam przez trzy godziny chodzić jak głupia po mieście.

- Rzeczywiście. Nie uwierzyłbym.

- No i co. Pójdziemy chyba z tego wszystkiego na piwo - zaproponował Dziarmaga przygnębionemu koledze, gdy dziewczyna wyszła z pokoju.

- Daj mi spokój. Muszę przemyśleć tę sprawę jeszcze raz od początku - odburknął podporucznik.

XXVI. PIĄTY MANEKIN BIS?

Stan depresji u podporucznika Filipa nie trwał nigdy długo. W godzinę później, gdy Dziarmaga najedzony i nieco rozkrochmalony piwem, muzyką i przytulną atmosferą klubu zamierzał przejść do sali bilardowej, Filip wyrósł przed nim jak zjawa, chwając się nieco na nogach, zapewne osłabiony intensywną pracą myślenia.

- Zabieraj się, Paweł. Jedziemy.

- Oszalałeś? Dokąd?

- Jedziemy na Kastylijską.

- Dostyc tych błazeństw. Nigdzie nie jadę.

- Mam coś...

- Wiem - jęknął Dziarmaga. - Masz nową koncepcję.

- To jest punkt zwrotny. Rewelacja.

- Od tych ciągłych zwrotów już mi się kreci we łbie. Daj mi spokój, Filip, ja chcę zagrać w bilard, od tygodnia nie miałem kija w ręce. Mam dość tego wariackiego śledztwa. Bujania w oparach twojej niezdrowej, nie, nie przerywaj, pozwól mi powiedzieć, chorobliwej, zdegenerowanej, zapaskudzonej wyobraźni. Ja mam tego dosyć. Ty powinieneś to zrozumieć. Nie masz prawa ciągnąć minie z sobą. Zawarliśmy przecież umowę. Ja chcę nareszcie stanąć na ziemi. Chcę stanąć na moich nogach.

Filip machnął niecierpliwie ręką.

- Na razie jeszcze raz staniesz na głowie. Ja ci mówię, że staniesz - zaśmiał się diabelsko. - Staniesz ze zdziwienia, bracie.

- Błagam cię, zostaw mnie.

- Znam nazwisko mordercy.

- Nie dręcz mnie. Wiem, znasz ich dziesięć.

- Nie, jeszcze nie znam żadnego, ale... już wkrótce... tym razem dobijemy do celu. To już ostatni zakręt w śledztwie.

- Na którym wysypimy się ostatecznie. Filip, bądź przynajmniej uparty, jeśli nie umiesz być mądry, proszę cię, zostań ty już lepiej przy swoich manekinach. To przynajmniej było efektowne.

- A kto ci mówi, że nie pozostają. Koncepcja pięciu manekinów jest jedynie słuszna. Powiedziałbym - fundamentalna.

- Cóż więc w takim razie za rewelacje chowasz w kieszeni?

Filip uśmiechnął się tajemniczo.

- Manekinów jest pięć, ale czy słusznie, czy trafnie je rozszyfrowaliśmy.

- Nie rozumiem.

- Równanie jest dobrze ułożone, jeśli chodzi o x, y, z. Niewiadome grają. Czy jednak podstawiliśmy pod nie właściwe liczby. Mam wrażenie, że nie. Jedź ze mną do „Gołębnika”, a postaram ci się to wyjaśnić.

Dziarmaga wstępował po schodach „Gołębnika” z uczuciem cierpliwego muła, którego zmuszają do nocnych galopów. Filip sadził po dwa stopnie na raz. Znalazłszy się na piętrze, wpadł jak bomba do pokoju Postura, porwał jakąś fotografię w rzeźbionej drewnianej ramce i pokazał osłupiałemu Dziarmadze.

- Co o tym myślisz?

Dziarmaga wziął w ręce fotografię i oglądał zdumiony.

Była to dziwna fotografia. Jakieś zdjęcie znad morza. Mały, szczuplutki mężczyzna z bródką stał trzymając się pod boki w jakimś dziwnym kostiumie, a obok niego, a raczej nad nim, sterczał olbrzym w pasiastym trykocie, kasku tropikalnym i dął w wielką trąbę.

Dziarmaga widział fotografię już przedtem na biurku Postura, lecz nie zwrócił na nią specjalnej uwagi.

- No, co o tym myślisz? - powtórzył triumfalnie Filip.

Dziarmaga, zakłopotany, podrapał się po szyi.

- Dosyć śmieszne zdjęcie.

- Śmieszne! A nic więcej cię w nim nie uderzyło?

- Nie.

- Przypatrz się kostiumowi kąpielowemu małego mężczyzny.

- Nie widzę nic specjalnego.

- Przecież to jest damski kostium! - wykrzyknął Filip. - Taki sam jaki nosi piąty manekin. Czy to ci nie daje nic do myślenia?

Dziarmaga stał zaskoczony ze zwisającymi rękami i pół otwartymi ustami i patrzył na piątego manekina, to na przedziwną fotografię. Nie miał zbyt mądrego wyrazu twarzy.

- Ech, jesteś wielka d... - zirytował się zawiedziony Filip. - Zrozum, mężczyzna w damskim kostiumie.

- To nie jest damski kostium - chrząknął zakłopotany Dziarmaga. - To jest tylko historyczny kostium.

- Historyczny? Co ty opowiadasz?

- To jest kostium staroświecki - ciągnął spokojnie Dziarmaga poprawiając okulary. - W takich kostiumach kąpano się przed pierwszą wojną światową.

- Mniejsza z tym. Nie chodzi o nazwę. Chodzi o wygląd. To jest kostium jednoczęściowy, tak i z ramiączkami.

- Jednoczęściowy z ramiączkami - powtórzył Dziarmaga.

- Taki sam jak na manekinie.

- Taki sam.

- Nic jeszcze nie rozumiesz?

Dziarmaga wytrzeszczył oczy i opuścił dolną szczękę.

- Czy chcesz powiedzieć, że piąty manekin jest jednak mężczyzną?

- Właśnie! - wykrzyknął podniecony Filip. - Ten damski kostium zbyt mas zasugerował. Z miejsca pomyśleliśmy o kobiecie. Konkretnie o Marii Johnson. Nie przyszło nam na myśl, że to może być po prostu jednoczęściowy kostium męski, czyli, jak mówisz, staroświecki kostium męski. A zatem piąty manekin może być równie dobrze mężczyzną. Jestem nawet przekonany, że jest nim. Ta fotografia nieprzypadkowo znalazła się na biurku Postura. Ona posłużyła Posturowi za model. Przypomniałem sobie o niej, kiedy już zwątpiłem, czy cała ta koncepcja z manekinami ma jakikolwiek sens. Przypomniałem sobie o niej i wtedy nagle spłynęło na mnie olśnienie. Paweł, my przecież obaj doskonale znamy tę osobę. Ona już jest w tej sprawie, choć nie braliśmy jej pod uwagę jako mordercy.

- O kim myślisz? - wyszeptał Dziarmaga.

- Przyjrzyj się dobrze tej twarzy, zakryj bródkę...

Głos i całe zachowanie podporucznika były tak sugestywne, że nawet niewzruszonemu Dziarmadze udzieliło się pewne podniecenie. Odsunawszy okulary na czoło przyglądał się twarzy na fotografii. Istotnie, rysy, zwłaszcza po zasłonięciu bródki, były mu skądś znane.

Wyciągnął fotografię z ramki, ale na drugiej stronie nie było żadnego podpisu.

- Nie przypuszczasz chyba... - wymamrotał niepewnie.

- Ależ tak! - zaśmiał się Filip. - To pan Antoni Bujwid Żurawski.

Dziarmaga zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy.

- To absurd. To absurd, Filip. Jesteś skołowany tym śledztwem i czepiasz się bzdurnych poszlak.

- Nie, bracie. Sami zgodziliśmy się przecież, że w tej sprawie morderca ukrył się po mistrzowsku. Ukrył się w głębi samej sprawy. To jest najtrudniejsze może, ale i najpewniejsze ukrycie.

- Ależ, mój drogi, daruj, sędzić po jednej fotografii i jej dość wątpliwej zbieżności z tak wątpliwym materiałem dla śledztwa, jak obraz malowany przez zamordowanego...

- Mylisz się, ja nie sędzę, ja jeszcze nic nie sędzę. Na razie mam tylko myśl. Przyznaj, że jednak ta fotografia w tym właśnie pokoju w powiązaniu z tym właśnie obrazem daje dużo do myślenia. Coś tu trzeba wyjaśnić...

- Antoni Bujwid Żurawski - powtórzył z niedowierzaniem Dziarmaga. - Nonsens! Jakież on miałby motyw?

- Osoba Antoniego Bujwida Żurawskiego jest dość tajemnicza, dziwię się doprawdy, że dotychczas jakoś nie przyszło nam do głowy poszperać wokół niego...

- Ale motyw, motyw!

- Sto dwadzieścia tysięcy złotych to zdaje się wystarczający motyw dla mordercy, obojętne, czy nazywa się Cacko, czy Antoni Bujwid Żurawski. Za bardzo zasugerowałeś się bamboszami, szlafrokiem i migreną tego pana.

Antoni Bujwid Żurawski leżał w łóżku. W przyćmionym świetle nocnej lampki wydawał, się jeszcze bardziej żółty i kościsty niż zwykle. Rzecz charakterystyczna: drzwi na korytarz nie były zamknięte, co bardzo zdziwiło obu oficerów. Na delikatne pukanie odpowiedział głośnym „proszę” nie pytając nawet, kto stuka.

Gdy oficerowie znaleźli się w pokoju, uderzył ich mdły, słodkawy zapach ziółek. Na maszynie elektrycznej pod oknem gotował się jakiś wywar.

- To panowie - powiedział pokaszlując. Nie wyglądał na zaskoczonego. - Proszę, niech panowie siądą i wybaczą, że się nie podniosę, ale nie czuję się najlepiej.

Filip wyciągnął z kieszeni zdjęcie.

- Czy to jest pańska fotografia?

Antoni Bujwid Żurawski nie zadał sobie nawet trudu przyjrzenia się jej z bliska, lecz od razu przytaknął.

- Owszem, to moja fotografia, ale dlaczego pan pyta?

- Zdjęcie to znaleźliśmy w pokoju Postura. Czy mogliby nam pan wyjaśnić, skąd się ono tam wzięło?

- To bardzo proste. Pan Postur zauważył kiedyś u mnie tę ramkę i zrobiła na nim pewne wrażenie. Powiedział, że to jest doskonale zdjęcie charakterystyczne, że w stylu epoki, że jest w nim coś z metafory poetyckiej. Poprosił, czy bym mu nie mógł wypożyczyć na dwa tygodnie... że to mu posłuży do pewnej kompozycji.

- I pan się zgodził.

- Nie chciałem początkowo... to jest, jak panowie widzą, naprawdę dobra fotografia, a przy tym pamiątkowa. Zrobiłem ją sobie w Ostendzie w 1912 roku. Ten olbrzym z trąbką to ratownik na plaży. Zabawny, co? Bardzo przyjemne zdjęcie z czasów młodości. Tak mało zostało z tamtych czasów... Nawet pamiątki rodzinne zginęły mi w powstaniu, to jedna z nielicznych fotografii, które mi ocalały.

- Jednak w końcu pożyczył ją pan Posturowi?

- Kiedyś potrzeba mi było małej, hm, pożyczki. Pan Postur był człowiekiem dobrze sytuowanym i zechciał mi przyjść z małą finansową pomocą... Nie wypadało mi więc odmówić, panowie rozumieją.

- Tak - powiedział Filip i spojrział z triumfem na Dziarmagę.

XXVII. WIĘC JA MAM BYC TRZECI!

Dziarmaga znów pół mocy spędził na medytacjach. Miał wrażenie, że jest tym razem bliski rozwiązania zagadki. Odrzucił wszelkie pomysły Filipa. Nigdy nie traktował podporucznika zbyt poważanie. Filip chce być błyskotliwy, chce zadziwiać. Normalna ambicja żółtodzioba, który po raz pierwszy dorwał się samodzielnie do sprawy tak dużego kalibru. Wydaje mu się, że wystarczy wynaleźć regułę, magiczną formułkę, a wykryje się zbrodniarza, jak obce ciało w chemicznie czystym preparacie. Niewątpliwie widać w tym wpływ komórki eksperymentalnej kapitana Trepki. Wpływ nieraz szkodliwy. Trepka lubi używać takich terminów, zapożyczonych z medycyny, jak próbówka, pole wyjałowione, stosuje nieraz metody zaskakujące i nietypowe. Różne żółtodzioby i świeżo upieczeni geniusze pragną mu dorównać. Żądni szybkich i łatwych efektów, lekceważą utarte drogi dochodzenia, wybrzydają się na schematy w pracy i sypią czarodziejskimi hipotezami, z których każda ma stanowić cudowny klucz do sprawy. Zapominają przy tym, że Trepka nie każdą sprawę bierze na swój warsztat, że bierze sprawy specjalne i wyjątkowe. Poza tym zapominają, że nie są Trepkami. Ha, jak im to wytłumaczyć!

Dziarmaga nie miał złudzeń, nie będzie nigdy Trepką, a szarpanie się z ryzykownymi hipotezami jest próżną stratą czasu. W sprawie zabójstwa Postura efekt dać może wyłącznie mozolne gromadzenie faktów, logiczne wnioskowanie i daleko idący obiektywizm. Do tej sprawy trzeba podejść na zimno, bez emocjonalnego nastawienia. I nie dać się ponieść wyobraźni.

Faktów jest dużo. Krąg osób chyba się zamknął. Teraz, trzeba myśleć, łączyć fakty ze sobą, selekcjonować.

Nad ranem wydało mu się, że jest już blisko rozwiązania. Jakaś wąta nić zaczęła wreszcie wiązać ze sobą ludzi i zdarzenia, lecz rwała się gdzieś przy końcu.

W rezultacie zmęczony porucznik przyniósł z sobą do komendy tylko długą listę pytań, na które trzeba było jednocześnie odpowiedzieć. Jedno z nich wydało mu się szczególnie ważne, bo nikt jakoś nie zadał go dotąd.

Chwilę medytował w rozterce nad telefonem. Potem nakręcił numer doktora Baldurskiego.

- Chciałbym z panem pomówić w pewnej lekarskiej kwestii. Czy oglądał pan zwłoki?... Niech pan obejrzy jeszcze raz i zwróci uwagę na sińce... Tak, na sińce... Nie, nic pewnego, właśnie dlatego dzwonię do pana, doktorze. Zakład Medycyny Sądowej wydał już opinię i trudno mi ją kwestionować nie mając poważnych argumentów...

Odłożył słuchawkę i ziewając raz po raz nakreślił po raz dziesiąty listę.

1. Tadeusz Melassa
2. Antoni Bujwid Żurawski
3. Krystyna Parytet
4. Maria Johnson
5. Apolonia Dopustowa.

Wpatrywał się w nazwiska podejrzanych, analizując ich słowa i czyny, próbując obarczyć ich rolami w tej ponurej sztuce, która się rozegrała.

Lecz wciąż nie wiedział, komu powierzyć rolę główną.

Z rozmyślań wyrwał go jakiś ruch na korytarzu, trzaskanie drzwiami i podniesione głosy.

Wyrzał zaciekawiony na korytarz i zobaczył podporucznika Filipa zbiegającego po schodach.

- Co się stałej Filip?! - zawołał z góry.

- Przed godziną dokonano zamachu na Mohyłnego - odpowiedział Filip. - Strzelano do niego z karabinka sportowego.

- Gdzie?

- Na terenie AWF.
- Żyje?
- Podobno tak.
- Jadę z tobą.

Mohylny leżał na podręcznej kanapce w gabinecie chirurga.

- Co, u diabła, z panem?! - zawołał Filip przez otwarte drzwi, wkładając biały fartuch. - Co to za kawały pan nam tu urządza?

Mohylny oddychał ciężko. Pielęgniarka ocierała mu pot z czoła.

- Tak z nim źle? - zapytał ją Filip przysuwając sobie krzesło do rannego.

- To raczej szok nerwowy. Pan Mohylny bardzo się przestraszył. Nie był zupełnie, że tak powiem, przygotowany psychicznie na ten wypadek. Nie spodziewał się, że coś takiego może mu się przytrafić. Panowie rozumieją. Sama rana zupełnie niegroźna, draśnięcie po prostu. Kula przeszła rękaw dresu i rozdarła skórę ręki na wysokości piersi.

- Czy można z nim rozmawiać?

- Ależ oczywiście.

Pielęgniarka wyszła z pokoju.

- Głupio mi, że panowie widzą mnie w tym stanie - usiłował podnieść się Mohylny.

- Niech pan się nie rusza - powstrzymał go Dziarmaga. - Może pan przecież rozmawiać na leżąco.

- Do diabła, nie jestem przecież chory - Mohylny dźwignął się na zdrowej ręce i usiadł na kanapce. Czoło znów zrosiło mu się potem. - Co za głupi objaw - próbował się uśmiechnąć - zupełne rozprzężenie organizmu. To przecież już minęło, a moje ciało wciąż jeszcze się boi i nie mogę tego opanować - ocierał czoło chusteczką.

- Kto pana tak urządził? - zapytał Filip.

- Gdybym to wiedział - w oczach Mohylnego pojawił się strach - ale nie mam pojęcia.

Nie mam zupełnie pojęcia. Ktoś chciał mnie sprzątnąć. Ale dlaczego?

- Gdzie to było dokładnie?

- Na boisku treningowym pod lasem. Ćwiczyłem rzut dyskiem. Zawsze w piątek od dziewiątej do dziesiątej rano mam wolną godzinę i poświęcam ją na ćwiczenia w rzutach.

- Czy byli świadkowie tego wypadku?

- Nie. Ćwiczę w rogu boiska samotnie. Po drugim rzucie wracałem z dyskiem na pozycję i wtedy to się stało. Bzyknęło mi coś koło ręki i usłyszałem strzał. Instynktownie upadłem na trawę. Zobaczyłem, że mam całą łapę we krwi. Zrazu bałem się ruszyć, ale więcej strzałów nie było. Kiedy ochłonąłem trochę z przerażenia, ściągnąłem dres i usiłowałem zatamować krew. Potem powlokłem się do pierwszych zabudowań.

Zastukano do drzwi. Na progu stanął sierżant Fiołek, który przeprowadzał dochodzenia wstępne.

- Wyjdziemy - powiedział Filip do Dziarmagi.

- Czy broń została zidentyfikowana? - Filip oddał pocisk sierżantowi.

- Tak jest, poruczniku. Z tym nie było kłopotu. Karabinek sportowy, skradziony z tutejszej strzelnicy. W tym samym czasie, gdy dokonano zamachu na tego studenta, odbywały się tam ćwiczenia w strzelaniu.

- I nikt nic nie zauważył?

- Nie, dopiero kiedy kazałem przeliczyć karabinki, okazało się, że jednego brakuje.

- Karygodna lekkomyślność czy niedbalstwo.

- Ano wszyscy byli zajęci zawodami i panował mały rozgardiasz. Tym bardziej, że obok strzelania z kabesów ćwiczone także strzelanie z dubeltówek do rzutków, a strzelanie do rzutków, muszę zaznaczyć jako stary kibic, jest bardzo interesujące. Wszyscy gapili się w górę, a złodziej skorzystał...

- Czy macie jakieś podejrzenia?
- Nie. W każdym razie nikt z zawodników.
- Sprawdziliście?
- Tak jest, wszyscy byli cały czas na strzelnicy. Jeden za drugiego świadczy. A strzelnica jest bądź co bądź oddalona od miejsca wypadku, to znaczy od boiska numer 3, o ładne pół kilometra. Nie tak łatwo oddalić się tam nie będąc zauważonym... O, właśnie jesteśmy na miejscu.
Boisko numer 3 było na pół dzikie i znajdowało się pod samym lasem.
- Poszkodowany ćwiczył w tym rogu - powiedział sierżant. - Kula przecięła ukosem róg boiska i utkwiała w tym drzewie - pokazał ma krzywy dąb po lewej stronie. - Po oddaniu strzału zamachowiec uciekł prawdopodobnie przez park. Jeśli miał szczęście, pięć minut potem odjechał tramwajem z pętli na Marymonckiej.
- To znaczy, zanim Mohylny zdążył dojść do Akademii - mruknął Dziarmaga. - Zanim zaalarmowano komendę dzielnicową, upłynęło dalsze pięć minut.
- A zanim się tu zjawiłem, jeszcze dziesięć - dodał Fiołek. - Razem daje to co najmniej dwadzieścia minut. Przez ten czas zamachowiec mógł przenieść się do centrum miasta. To będzie diablo trudne dochodzenie. Przesłuchaliśmy troje ludzi, wszystkich, jakich znaleźliśmy w parku. Słyszeli strzał, ale nie widzieli nikogo.
- Zamachowiec mógł się też wydostać przez teren AWF - zauważył Filip.
- Nie odważyłby się chyba - potrząsnął głową sierżant.
- Dlaczego nie? Ci ludzie stawiają często na bezczelność. Przesłuchamy portiera i świadków, którzy znajdowali się w tym czasie na terenach otwartych Akademii. Trzeba przesłuchać także obsługę pojazdów komunikacji miejskiej oraz taksówek odjeżdżających w tym czasie z Bielan, kioskarzy na przystankach i w ogóle wszystkich, którzy coś mogli widzieć.
Sierżant wzruszył sceptycznie ramionami.
- Jeśli znajdziecie, poruczniku, coś w tej sprawie, to tylko od strony tego poszkodowanego, jak mu tam... Mohylny... Tylko on będzie mógł rzucić światło. Nie w lesie, ale koło niego szukać. Nikt nie strzela do człowieka bez celu.
Popatrzył mądrymi oczyma na rude liście ścielące się dokoła.
- Ten człowiek... - dodał cicho. - Czyście się, poruczniku, przyjrzeliby temu człowiekowi, jak on się bał? Tak nie boi się człowiek, który nic nie wie. To nie była normalna reakcja.
- O tym może zawyrokować lekarz - powiedział Filip. - Kto pierwszy udzielał pomocy Mohylnemu? - zapytał.
- Doktor Halecki.
Filip skinął na Dziarmagę. Wrócili do ambulatorium.
Doktor Halecki był całkiem młodym chirurgiem i bardzo żywo przejął się wypadkiem. Filip podejrzewał, że to był pierwszy kryminalny wypadek w jego praktyce.
- Słuchajcie, doktorze, czy nic was nie uderzyło w zachowaniu ранego pacjenta? - zapytał jak by mimochodem w trakcie rozmowy o chirurgicznej kwalifikacji przestępstwa.
Doktor Halecki spojrzał ciekawie na Filipa.
- Skąd pan wie, że coś mnie uderzyło?
- Nie wiem, pytam tylko. Pacjent był zdenerwowany...
- Tak, to prawda. Odniosłem przykre wrażenie. Reakcja pacjenta była, powiem otwarcie, chorobliwa. To jest przecież młody, zdrowy człowiek. Wyróżniający się zdrowiem i odpornością psychiczną. Niedawno przeprowadzaliśmy testy. Pan Mohylny zajął... pierwsze miejsce, jeśli chodzi o wytrzymałość nerwową. To typ silny, opanowany, u którego procesy pobudzania i hamowania równoważą się wzajemnie. Szkoda, że nie ma tu kolegi neurologa. Zachwycał on się wtedy panem Mohylnym. Powiedział dosłownie, że takich ludzi powinno się pokazywać w cyrku, że to jest wyjątek na tle powszechnego charłacenia nerwowego

młodzieży. I nagle ten wzorzec załamuje się w sposób żenujący i przykry. Trzęsie się ze strachu, chorobliwie poci, zdradza typowe objawy nerwicy wegetatywnej. Byłem zdumiony.

- No, jednak to był zamach na jego życie. To działa na każdego - zauważył Dziarmaga.
- Każdy by się przeląkł.

- Ale nie tak. Na Boga, panowie, nie tak. Nie w ten sposób - mówił podniecony lekarz. - Proszę sobie wyobrazić. Panowie są na polu, słychać strzał, bzyka koło panów kula. Jakie jest pierwsze wrażenie? Wrażenie strachu? Nie. Zaskoczenie. Zdziwienie. Nie przychodzi wam nawet na myśl, żeby ktoś mógł strzelać do was. Jesteście skłonni uważać wszystko za przypadek, że to jakaś zabłąkana kula ze strzelnicy, na skutek nieostrożności, że polowanie, że ćwiczenia milicji... czy ja wiem co, ale nie taki zwierzęcy, chorobliwy, powiedziałbym, metafizyczny strach.

- Jak pan to wszystko tłumaczy?

- Należałoby się chyba poradzić neurologa, o ile te rzeczy interesują panów - spojrział bystro na oficerów.

- Owszem, o nas bardzo interesuje - rzekł z naciskiem Filip.

- Jeśli chodzi o moje zdanie, to ja osobiście odnoszę wrażenie, że ranny już przedtem czegoś czy kogoś się obawiał. Był jak by nastawiony psychicznie świadomie czy też w podświadomości na atak, na niebezpieczeństwo, na jakieś śmiertelne zagrożenie. Stąd zamach wywołał u niego tak gwałtowną reakcję nerwową. Przypominam sobie, że gdy przyprowadzono go do mnie ślaniającego się na nogach i bladego, i na pół przytomnego ze strachu, nie mógł nic mówić. Staralem się go w pierwszym rzędzie uspokoić. Zbagatelizowałem ranę, wytłumaczyłem mu, że to nic poważnego, i dałem środki uspokajające do zażycia. I wtedy, gdy mu trochę przeszło, pierwsze jego słowa były dosyć... - lekarz zawahał się - dosyć zadziwiające. „Więc ja mam być trzeci” - wybełkotał. - „Więc ja mam być trzeci?” - powtórzył z na pół obłąkanymi oczyma.

Próbowałem wyjaśnić, co miał na myśli, ale nie chciał nic mówić. W ogóle pierwsze słowa wydusił z siebie dopiero, kiedy panowie przyszedli. Dlatego tak chętnie zgodziłem się na tę rozmowę. Obecność milicji podziałała na niego uspokajająco. Ja mam wrażenie, że temu młodemu człowiekowi dolega przede wszystkim brak poczucia bezpieczeństwa.

Weszła pielęgniarka, zamienili kilka słów i doktor musiał przeprosić obu oficerów. Wzywano go do kancelarii Akademii.

- Będę z ciekawością śledził dalszy bieg sprawy - uśmiechnął się już w drzwiach. - Pasjonują mnie kryminalne zagadki, a zdaje się, że tu otarłem się o coś takiego jak w prawdziwej powieści.

- Sympatyczny łapiduch - powiedział Dziarmaga, gdy wyszli na korytarz - i nie wydaje się głupi.

Filip skrzywił się.

- Wszyscy wydają się mądrzy, kiedy rzucają efektowne spostrzeżenia. Ale ciekaw jestem, czy ktoś byłby mądry, gdyby się musiał babrać w takiej sprawie od początku do końca i rozwiązywać te piekielne węzły. Co u licha miał na myśli ten łobuz mówiąc, że on będzie trzeci?

- Zapytaj go się. Jesteście obaj na tak dobrej stopie, że z pewnością ci powie - zaszydził Dziarmaga.

Filip musiał być jednak bardzo zaprzątnięty swoimi myślami, bo nie zwrócił nawet na to uwagi.

- Zamach na życie Mohylnego - zaśmiał się. - Nie, to naprawdę śmieszne.

- Raczej symptomatyczne - mruknął Dziarmaga.

- Co chcesz przez sto powiedzieć?

- Trzymajmy się naszej teorii pięciu manekinów. Jeśli Mohylny mówi w chwilę po zamachu na jego życie, że ma być trzeci, może to znaczyć po prostu, że ma być trzecim z paczki, na którego dokonano zamachu. Dwu pierwszych już nie żyje. Andrzej Rettinger zmarł w dosyć też... powiedziałbym... specjalnych okolicznościach, a Leon Postur został niedawno zamordowany. Zaczyna się mała seria.

- Do diabła! - zaklął Filip. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że ktoś nam wymorduje wszystkich manekinów po kolei.

- Nie wiem, w każdym razie wziął bardzo ładny początek - uśmiechnął się za okularami Dziarmaga. - Przyznasz, że te zjawiska wiążą się ze sobą w sposób zdumiewający. Śmierć pierwszego i piątego manekina, zamach na drugiego...

- Ale komu mogłoby zależeć na uśmierceniu ich wszystkich?! - wykrzyknął Filip.

- Dlaczego wszystkich? - rzekł spokojnie Dziarmaga. - Koncepcje mogą być przecież dwie. Albo morduje ktoś z zewnątrz, ktoś szósty, albo też morderca jest... jednym z manekinów.

- Koncepcje mogą być trzy - mruknął zdenerwowany Filip.

- Jaka jest ta trzecia?

- Trzecia jest taka, że to wszystko jest bzdurą, układaniem ładnych rebusików, a w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Nie ma żadnej grupy manekinów, stworzona została sztucznie, bo tak było namalowane, bo tak zastaliśmy w pokoju Postura i to tak działała na wyobraźnię.

Dziarmaga popatrzył ze współczuciem na kolegę.

- Jesteś przemęczony tym wszystkim - zauważył. - Powinieneś odpocząć jeden dzień. Basen ci dobrze zrobi.

Filip przetarł ręką oczy. Oparł się ciężko rękami o parapet.

- Czy ja nie mam racji, Paweł, czy te wszystkie koncepcje w ogóle są coś warte? Mieliśmy ich tuziny i co z tego? Czy posunęły sprawę naprzód? Czy wiemy coś więcej niż przedtem?

- To chwilowy kryzys. Widzisz wszystko zbyt tragicznie. To nieprawda, że nic nie wiemy. Wiemy dużo. Może nawet za dużo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiemy nie tylko to, co jest konieczne dla wyjaśnienia sprawy, ale i dużo rzeczy przypadkowych i zbędnych. Zdaje mi się, że to, czego nam najbardziej teraz potrzeba, to selekcji. Oddzielenia rzeczy istotnych od przypadkowych, ziarna od plew. Jakiegoś zasadniczego przemyślenia i uporządkowania. W międzyczasie ekspertyza daktyloskopijna karabinka być może przyniesie rozwiązanie.

- Ekspertyza daktyloskopijna? Wątpię - potrząsnął głową Filip - nie mamy jakoś szczęścia do odcisków palców...

Urwał, bo korytarzem zbliżał się Mohylny z ręką na temblaku. Wydawało się, że wrócił już do formy. Uśmiechnął się do oficerów swoim dawnym złośliwym uśmiechem,

- No i jak, mściciele publiczni, znamy już sprawcę?

- Widzę, że poprawił się panu humor? - rzekł oschle Filip.

- Pan, poruczniku, zawsze wpływa dodatnio na mój stan psychiczny. Pod pana skrzydłem czuję się taki bezpieczny.

- Nie mam ochoty ma żarty.

- To nie są żadne żarty. Przyszedłem skłonić głowę na pana milicyjne łono.

- Jak mam to rozumieć? - Filip na wszelki wypadek przybrał postawę obronną.

- Chciałbym wrócić do aresztu. Jest to miejsce, gdzie czuję się bezpieczny. Widzi pan, dzisiejsza przygoda dała mi dużo do myślenia.

- Że pan ma być trzecim - wycedził Dziarmaga patrząc uważnie na studenta.

Mohylny miał kamienną twarz, jak by nie rozumiał, o co chodzi.

- Przepraszam, co pan powiedział?

- Ze pan ma być trzecim. To są pana słowa wypowiedziane po zamachu, pan ma dziwnie krótką pamięć.

Mohylny zmieszał się nieco.

- Być może, mówiłem wtedy różne rzeczy. Nie przypominam sobie, byłem w takim stanie...

- Nieważne, teraz my panu przypomnieliśmy. Czy pan nie byłby łaskaw powiedzieć nam, co pan miał właściwie na myśli wypowiadając te pytyjskie słowa?

- Nie wiem - wybałał niepewnie. - To chyba musiało być podświadomie.

- Podświadomość kryje w sobie niekiedy genialne spostrzeżenia. Czy przypadkiem panu, przepraszam, pańskiej podświadomości, nie chodziło o to, że Andrzej Rettinger był pierwszą, Leon Postur drugą, a pan ma być trzecią ofiarą mordercy?

- Do diabła! - Mohylny spojrzał przestraszony na Filipa. - Co to za ponure żarty. Ja tego nie lubię, poruczniku. Dajże pan spokój.

- Uważa pan, że tego rodzaju usystematyzowanie nie ma sensu?

- A pan myśli, że to w związku z Posturem? Że to się wszystko łączy?

- Myślę, że ktoś z jakichś względów postanowił zgładzić pewną miłą towarzyską grupkę.

- Kto?

- Na to może raczej pan by spróbował odpowiedzieć.

- Nie mam pojęcia. To chyba jakiś maniak. Ale ja nie znam żadnego maniaka, wszyscy moi znajomi to ludzie zdrowi na umyśle. Zawsze stroniłem, od wariatów.

- A może to nie jest maniak. Może ten człowiek wie aż nazbyt dobrze, co robi?

- Nie rozumiem - szepnął Mohylny.

- Są różne motywy - wyjaśnił Dziarmaga.

- Cóż ktoś by zyskał mordując Andrzeja Rettingera albo mnie. Nie mamy majątku.

- Majątek, pieniądze nie zawsze są motywem. Są jeszcze inne motywy.

- Na przykład?

- Na przykład, młody przyjacielu, strach.

- Strach? Jak to strach? - zdziwił się Mohylny.

Ale Dziarmaga nie odpowiedział.

Filip patrzył zniecierpliwiony na Mohylnego.

- Niech pan nie udaje naiwnego, kolego. Ten, kto strzelał do pana, musiał mieć ku temu powód. I pan wie, co to był za powód, Mohylny.

- Słowo daję, nie wiem.

- Pan kłamie. Pan oczekiwał tego zamachu. Pan się go obawiał. Niech pan odpowie, kogo pan podejrzewa: Melassę czy pannę Johnson?

Mohylny wytrzeszczył oczy.

- Jak pan powiedział? Melassę czy pannę Johnson? Dlaczego pan tak myśli? - wyszeptał. - O Boże, dlaczego pan tak myśli?

- To proste, bo jeszcze tylko na Melassę i na pannę Johnson. nie dokonano zamachu, siłą rzeczy więc oni są najbardziej podejrzani.

- Ale dlaczego tylko o nich pan pomyślał?

- Zdawało mi się...

- Co się panu zdawało?

- Zdawało mi się, że tych dwoje jest jakoś najbardziej związanych z tą sprawą.

Mohylny jakby odetchnął.

- Pan się myli - powiedział. - Oni nie mogą mieć z tym nic wspólnego. - Pan się głęboko myli. Gdybym wiedział kto, rozumie pan, gdybym wiedział kto, nie prosiłbym pana o azyl, miałbym przyjemniejsze locum niż pańskie milicyjne łono, nie bałbym się, rozumie pan,

poruczniku? Ale ja się boję. Pan zna moje mieszkanie? Tam strach mieszkać. Te puste pokoje na dole, a obok pusty pokój po Posturze. Ilekroć tam wracam, boję się. Patrzą, czy ktoś nie wyłoni się z ciemności.

- Bądź pan mężczyzną - mruknął Filip.

- Zastanawiam się na serio, czy nie rzucić wszystkiego i nie wyjechać gdzieś.

Zrobiłbym to już dawno, gdybym miał dokąd i za co. Może by pan porucznik mógł mi usłużyć pożyczką?

- Niech pan się nie wygłupia, Mohylny. Jak Boga... z pana człowiek.

- Niech pan wejdzie w moje położenie, poruczniku, ja naprawdę mam pietra. I pan by też miał na moim miejscu.

- Myślę, że można będzie panu Mohylnemu postawić wywiadowcę przed „Gołębnikiem” - zaproponował Dziarmaga. - Pan ma teraz zwolnienie lekarskie. Pan powinien siedzieć w domu. Poprosimy Alicję, żeby pana zaopatrywała w żywność.

- Dobrze i to - jęknął Mohylny.

- Możemy pana podwieźć.

- Dziękuję, zjem jeszcze obiad w stołówce.

Kiedy wsiadali do wozu, Dziarmaga zapytał:

- Dlaczego wymieniałeś Melassę i pannę Johnson?

- Talk na chybił trafił - wzruszył ramionami Filip. - Chciałem pociągnąć tego łobuza za język.

- A może dlatego, że to są manekiny numer trzy i numer cztery?

- Może dlatego. W każdym razie wiem teraz jedno. Upewniłem się. Mohylny kogoś podejrzewa. Mohylny coś wie.

- Jest w każdym razie znacząco małomówny. Dziwny.

- Jest po prostu nieszczerzy.

- A jednak chciałbym teraz przesłuchać Melassę i tę małą Johnson.

XXVIII. CO ROBIŁA MARY JOHNSON W NOCY?

Kiedy godzinę później Dziarmaga wszedł do gabinetu kolegi, zastał Filipa w stanie krańcowego zdenerwowania... Przed nim stał stropiony wywiadowca Bocian.

- Więc uciekł wam! - krzyczał Filip. - Jak można było dopuścić do czegoś takiego? Wywiadowca z waszym stażem!

- Nie wiem, jak to się stało, poruczniku - tłumaczył zboląły Bocian. - Dotąd, nie miałem z nim żadnych trudności. Dzisiaj też nie zanosilo się na nie. Wszedł z domu o pół do ósmej jak zwykle. Codziennie o tej porze jeździł tramwajem do Biblioteki Narodowej i spędzał tam czas do południa. Wsiadłem razem z nim. Od trasy W-Z zaczął się wielki ścisk. W pewnym momencie straciłem go z oczu. Przy Alejach Jerozolimskich jak zwykle powinien wysiąść. Nie wysiadł. Wskoczyłem z powrotem do wozu. Myślałem, że jedzie dalej. Ale okazało się, że w wozie go nie ma. Musiał wysiąść chyba gdzieś na Towarowej, może przed dworcem.

- Tak to właśnie bywa - rzekł do Filipa Dziarmaga - jak się buja w obłokach. A przecież uprzedzałem cię, że Melassa nie rozegrał jeszcze wszystkich kart. Miałeś ptaszka w ręku i wypuściłeś go lekkomyślnie. Łap go teraz.

- Nie bój się. Złapię go - zadyszał Filip. - I teraz zatańczę z nim inaczej.

Zameldowano Mary Johnson.

Filip chciał ją natychmiast wezwać, ale Trepka powstrzymał go z uśmiechem.

- Spokojnie, przyjacielu. Zdaje się, że miałeś mały kłopot z tą dziewczyną.

- Tak, papierosy nie zagrały.

- Niepotrzebnie dałeś się zbić z tropu, mój chłopcze. Czyżbyś zapomniał o zeznaniach Parytetówny w tej kwestii?

- Nie przypominam sobie.

- Parytetówna zeznała przecież, że Leon Postur nie znosił uszminekowanej twarzy. Czy nie przychodzi ci na myśl, że nasza droga Mary w okresie swej znajomości z Posturem mogła nie malować sobie ust, a już z całą pewnością nie robić tego, gdy umawiała się z nim na spotkanie?

Filip poczerwieniał.

- Każ ją wprowadzić i pozwól, że ja z nią porozmawiam.

Dziewczyna zjawiała się z pewną miną.

- Co pani robiła dzisiaj między dziewiątą a dwunastą rano, dziecińco? - zapytał ją z miejsca Trepka.

Mary Johnson ze zdziwieniem uniosła brwi do góry.

- Byłam u siebie - odparła spokojnie.

- U siebie, to znaczy u rodziców, czy też w pokoju na Żoliborzu?

- U siebie, to znaczy zawsze w moim pokoju na Żoliborzu. Dopiero o jedenastej wyjechałam na miasto.

- Czyli znów pani nie ma alibi - wtrącił zdenerwowany Filip.

- Alibi? Jakie znów alibi?

- O dziewiątej dokonano zamachu na Piotra Mohylnego.

- Zamachu?

- Tak, ktoś chciał go zastrzelić.

- Dlaczego?

- Być może, żeby uwolnić się od niebezpiecznego świadka - wtrącił Filip.

- To przykre. Ale nie rozumiem, dlaczego to ma mnie dotyczyć.

- Bo pani jest przecież podejrzaną o zabójstwo Postura.

- Ja? Pan chyba oszalał! Przecież oczyściłam się z zarzutów.

- Nie bardzo. Wódzi pani te papierosy... Przykro mi, ale pani chciała mnie wywieść w pole i o mały figiel by się to pani udało.

- Nie rozumiem.

- Wyjaśni to pani kapitan Trepka.

- Tak jest, dziecińco - powiedział Trepka. - Bardzo brzydko pani postąpiła z podporucznikiem Filipem. On pani serdecznie współczuł, a pani go poczęstowała samymi kłamstewkami.

- Ależ...

- Spokojnie. Zaraz panią przekonam, że mamy silne argumenty. - Trepka przedstawił jej spokojnie swój punkt widzenia na sprawę papierosów. - Zasięgnąłem opinii pani znajomych. Wszystko się zgadza. W okresie swej znajomości z Posturem nie malowała pani ust, dziecińco.

Mary Johnson poruszyła się niespokojnie.

- Widzę, że panowie wgrzyźli się mocno w tę sprawę.

- Jak tylko się dało, dziecińco. Śledztwo zbliża się do końca.

- Szybko panowie jechali.

- Nie tylko my. Morderca też. Ten człowiek bardzo się spieszy ostatnio. Ale nie zdąży już nigdzie. Zapewniam panią, dziecińco. On już nigdzie nie może zdążyć. Dlatego to go tak denerwuje.

Trepka patrzył uważnie w oczy Johnsonównie. Dziewczyna spuściła głowę.

- Nie rozumiem tych aluzji. Jestem niewinna i pan, jeśli pan jest takim specem, jak mówią, powinien o tym wiedzieć.

- Jeśli jest pani niewinna, dlaczego pani kłamie, dziecińco? Dlaczego pani się chce koniecznie obciążyć?

- Prawda jest czasem niebezpieczna, zwłaszcza kiedy się ma do czynienia z młodymi porucznikami milicji, którzy bardzo się spieszą.

Filip chrząknął urażony.

- O, widzi pani, zaczyna pani mówić szczerze, dziecino - zakaszłał Trepka. - Więcej zaufania... więcej zaufania. Niech mi pani wierzy, że potrafimy odróżnić ziarno od plew. A teraz proszę odpowiadać - rzekł ostro. - Dokąd pani wtedy poszła?

- Kiedy?

- Krytycznego wieczoru, w sobotę po wyjściu z kawiarni „Zorza”. Czy przypadkiem nie do mieszkania Parytetówny?

- Tak. Poszłam prosto do mieszkania Parytetówny. Chciałam zobaczyć, czy nie ma tam przypadkiem Leona, ale mieszkanie było zamknięte, w oknach ciemno. Na pukanie nikt nie odpowiadał. Pomyślałam, że widać jeszcze nie przyjechała z teatru, i postanowiłam poczekać na Leona w ogrodzie. Kwadrans po jedenastej przyszła Parytetówna, a w kilka minut później Melassa... z teczką.

- Melassa?

- Tak, wszedł od strony szkoły... Spacerował pod garażem, patrząc na zegarek. Potem wyszedł na ulicę.

- Tak, i co dalej?

- Czekałam dalej. Ale Postur nie przyjeżdżał. Zdenerwowana zapaliłam papierosa. Zaczęłam sobie robić wyrzuty, że niesłusznie podejrzewałam Leona. Mogło przecież coś go zatrzymać w domu. Stale narzekał na zdrowie. Tymczasem na ulicy pod latarnią zaczęło się kręcić jakichś dwu osobników. Wyglądali na chuliganów. Musieli mnie zauważyć, bo jeden z nich pokazał w moją stronę i coś mówili do siebie. Zdjął mnie strach. Ale oni postali trochę i odeszli. Było już chyba pół do dwunastej. Pomyślałam sobie, że nie ma sensu dłużej czekać, i opuściłam ogród.

- Którędy?

- Przez dziedziniec szkolny. Po czym udałam się na postój taksówek koło Podczaszyńskiego.

- I pojechała pani na Saską Kępę?

- Tak. Ale Leona nie zastałam. Dzwoniłam, stukałam do drzwi, nikt nie odpowiadał. Poświeciłam zapalką, wie pan, tam nie ma światła na klatce schodowej, dziurka od klucza była pusta.

- Czy nacisnęła pani klamkę?

- Tak - Johnson wytrzeszczyła oczy.

- Ale była pani w rękawiczkach?

- Tak.

- Dobrze, i co pani robiła dalej?

- Zeszłam na dół i czekałam na dole. Myślałam, że Leon wróci, ale on się nie zjawił.

- Do której pani czekała?

- Do pierwszej w nocy.

- A potem?

- Potem wróciłam do mieszkania rodziców i poszłam spać.

- Czy jak pani czekała na dole w domu Postura, ktoś wchodził na klatkę schodową lub wychodził z niej?

- Nie. Nikt. Dom był jak wymarły. Za to obok... W tej sąsiedniej willi wybuchła jakaś awantura, chyba pijacka. Słyszałam krzyki, podniesione głosy. Jeden zwłaszcza bardzo donośny, kobiecy.

- Zgadza się - mruknął Trepka. - No i widzi pani, dziecino. Teraz przynajmniej wszystko trzyma się kupy.

- No to chyba nareszcie uchwyciliśmy właściwą nić śledztwa - powiedział zadowolony Filip, gdy zostali sami w pokoju.

- Melassa? Zdaje się, że tę nić trzymałem już dawniej - zauważył Dziarmaga.

- Mylisz się. Melassa do tej pory tłukł się po całej sprawie jak Marek po piekle. Dopiero teraz mamy konkretny dowód, nie mgliste poszlaki. Jeśli jest prawdą, co mówiła Johnsonówna, już nam się nie wykręci. Był na miejscu zbrodni w krytycznym czasie i zataił ten fakt. To już jest coś. No, niech ja go tylko dostanę teraz w swoje ręce.

XXIX. ZAGADNIENIE TAŃCZĄCEJ FROTERKI

Sprawa jednak nie okazała się teka prosta. Do wieczora brak było meldunków o Melassie. Nie zjawił się ani w pawilonie na Powązkach, ani w mieszkaniu ciotki. Poszukiwania na mieście nie dały również rezultatów. Zachodziła obawa, że wyjechał z Warszawy.

Dopiero następny dzień przyniósł sensacyjne wydarzenia. Ledwie Dziarmaga zjawił się w swoim gabinecie, zameldował się wywiadowca Sojka.

Dziarmaga spojrział na niego zdziwiony.

- Wy tutaj? Zostawiliście willę Rettingerów bez obstawy?

- Zostawiłem tam Fiołka z Dzielnicy. Nie można było inaczej, bo Dopustowa się ruszyła. Zgodnie z instrukcją nie mogłem jej wypuścić bez opieki.

- Ruszyła się, mówicie? Dokądże ona się ruszyła? Po jajka do mleczarni?

- Obywatel porucznik żartuje. Ona przyszła tutaj. Chce się z wami koniecznie widzieć. Musi mieć coś na sumieniu.

Dziarmaga skrzywił się i przetarł znużony okulary.

- Nie mam czasu. Będzie znów zawracać głowę jakimiś bzdurami. Spławcie ją.

- Mówi, że ma coś ważnego do zakomunikowania.

Dziarmaga westchnął.

- Zapytajcie ją, czy ma nowe fakty. Jak nie ma nowych faktów, uważajcie, co mówię, faktów, nie przywidzeń, to szkoda gadać. Nie ma się z czym pokazywać.

Sojka wyszedł. Po paru minutach wrócił zakłopotany.

- Nie chce się ruszyć, obywatelu poruczniku. Mówi, że ma jeden fakt.

- Jaki?

- Nie chciała powiedzieć. Mówi, że o tym może powiedzieć tylko porucznikowi w okularach. Obywatel porucznik widać wzbudził w niej zaufanie.

- Dajcie ją tutaj.

Dopustowa weszła cała ubrana na czarno. Oczy miała czerwone z niewyspania. W ruchach jej i głosie czuć było podniecenie, jakąś niezwykłą nerwowość.

- No więc? - zapytał Dziarmaga. - Tylko tym razem bez bajek.

- Niech pan z łaski swojej wyciągnie od razu protokół, żeby pan znów co nie przekręcił, jak powiem. Bo to, co powiem, jest ważne, i nie chcę, żeby to było próżne gadanie.

- Ma pani rację - wycedził Dziarmaga. - Za tu było próżnego gadania i pani w tym przodowała. Dlatego uprzedzam, jeśli pani przyszła nam opowiadać bajeczki o strachach i duchach, to nic z tego.

Dopustowa poruszała nerwowo zasznurowanymi pomarszczonymi ustami, jakby przeżuwaszając słowa, które miała wypowiedzieć. Jej małe bezbarwne oczka zimno, jak szklane gałki, wpatrywały się w porucznika.

- Froterka sama się ruszała - powiedziała wreszcie.

- Co? - uniósł do góry brwi Dziarmaga.

- Elektryczna froterka skakała po podłodze.

- Niechże pani nie robi ze mnie durnia! - wykrzyknął Dziarmaga. - Ja panią uprzedzałem. Jeśli przyszła pani opowiadać zmów głupstwa, to do widzenia.

Dopustowa stała nieporuszona.

- Niech pan naprzód wysłucha. To nie żadne bajki. Mówię, jak było. Położyłam się spać późno, później niż zwykle, bo robiłam pranie, była już może jedenasta, jak zesłam ze strychu i się położyłam. Ledwie zmrużyłam oczy, dobiegły mnie jakieś szmery...

- Skąd?

- Gdzieś z dołu, jakby z piwnicy.

- Jakiego rodzaju to były szmery?

- Dwojakiego, proszę pana. Raz to było jakby stukanie, raz jakby skrzypienie. Leżałam i słuchałam. Pot mi wystąpił na ciało. Odgłosy nie ustawały, tylko mniej było stukania, a więcej skrzypienia. Panowie się wyśmiewali z tych rzeczy. Panowie nie wierzyli. Ja też nie chciałam wierzyć. Przetarłam sobie zapinką uszy. Usłyszałam jeszcze wyraźniej. Postanowiłam tym razem przekonać się na własne oczy. Pomyślałam, że lepiej zobaczyć diabła, niż tak nerwami żyć, proszę pana. Przeżegnałam się, naciągnęłam szlafrok i zesłam na palcach na dół do piwnicy.

- Przepraszam, czy zapalała pani światło, elektryczne? - przerwał Dziarmaga.

- Nie, skądże. Nie chciałam jego płoszyć. Bałam się zresztą, że jak mnie zobaczy, może się rzucić na mnie. Po ciemku, po omacku, zesłam krok za krokiem, proszę pana.

- No i co pani zobaczyła?

- Nic. Stałam i nasłuchiwałam. Była zupełna cisza. Jak w grobie, proszę pana. W pierwszej chwili chciałam wrócić na górę, ale potem pomyślałam sobie, jak już tu jestem, obejrzę piwnice. Jeśli tu coś było, to powinny pozostać ślady. Poszłam na prawo do piwnicy z jarzynami. Zapaliłam latarkę elektryczną, przesunęłam po wnętrzu - nikogo nie było. Pomyślałam sobie, że może dalej, w piwnicy z węglem. Zajrzałam i tam, ale i tu nikogo nie zauważyłam. Zresztą co by tu kto robił, kiedy węgla po sam strap prawie, bo dopiero przywieźli na zimę. Zawróciłam więc i myślę, czym ja naprawdę na starość zwariowała, czy też miałam jakie omamy senne. Kiedy byłam już przed schodami, skręciłam jeszcze na lewo i zajrzałam do garażu. Też było pusto. Nawet do samochodu poświeciłam, czy się kto nie schował, i pod samochodem. Czyściutko, wszędzie wymiecione, tak jak panowie widzieli, ani śladu człowieka. To już zgłupiałam zupełnie. Wróciłam do kuchni i zastanowiłam się, co robić. Przypomniałam sobie, że pan porucznik młodszy powiedział, żeby go o wszystkim zawiadomić, i dał mi nawet kartkę z numerem telefonu. Odszukałam tę kartkę, wyszłam do hallu, nakręciłam numer... i nagle to się zdarzyło, proszę pana... Najpierw usłyszałam dziwne buczenie w salonie. W pierwszej chwili nie zorientowałam się, skąd ono może pochodzić. Dopiero potem rozpoznałam. To było buczenie froterki. Stałam osłupiała. Jeszcze nigdy w życiu tak nie zgłupiałam, proszę pana. Bo niby skąd i dlaczego froterka...

Rzuciłam słuchawkę i zapatrzona, panie, w te drzwi otworzyłam je gwałtownie. Niech pan sobie wyobrazi moje zdumienie. W pokoju nikogo nie było. A froterka sarna trzęsła się na podłodze. Wtyczka w gniazdku. Wyłącznik przekreślony. Niech pan mi porwie, kto to mógł zrobić? Michalska z naprzeciwka mówi, że to stukanie i skrzypienie, i to puszczenie froterki to duch nieboszczyka Postura Leona, który rozgrzeszenia nie otrzymał z powodu swoich występów i bezbożności i u nas w domu pokutuje, ale mnie się to jakoś nie widzi, panie. Jakże to duch się froterką trudzi. Nie słyszałam jeszcze o tym, proszę pana, niepoważnie wygląda, proszę pana, żeby duch froterował... A przecież...

Dziarmaga zamachał rękami.

- Zostawmy na później te rozważania i trzymajmy się faktów. Ktoś mógł uruchomić froterkę i wyjść, zanim pani nadeszła.

- Niemożliwie, kiedy byłam przy telefonie w hallu, froterka jeszcze nie działała. Było zupełnie cicho. Dopiero gdy nakręciłam numer, zaczęło wyc za drzwiami.

- I nikt nie wychodził z pokoju?

- Nikt. Patrzyłam na drzwi. Byłam przecież w hallu.

- A przez okna?

- Teraz mam założone okiennice i zamykam je na noc na kłódki. Wtedy też były zamknięte.

- Mógł ktoś odemknąć. Sprawdzała pani?

- Sprawdzałam. To było tak niezwykle, że sprawdziłam wszystko, i czy kto się nie ukrył w pokoju. Wszystkie meble i kąty obejrzałam. Ale nikogo nie było.

- Głupstwa pani opowiada, ktoś przecież musiał uruchomić froterkę. Sama się nie włączyła. Chociaż... pani mogła froterować podłogę w salonie tego dnia i zostawić motorek nie wyłączony. W motorku mogło się coś zaciąć, rozłączyć i w pewnym momencie stanął. Pani myślała, że wyłączony, i tak go zostawiła. Potem jakiś niedostrzegalny wstrząs wystarczył i motorek znów zaczął działać...

Dziarmaga urwał, bo zauważył, że Dopustowa patrzy na niego z politowaniem.

- Nic z tego, proszę pana. Po pierwsze, cały przyrząd zawsze chowam za szafę w salonie i ni gdy mi się nie zdarzyło, żebym go zostawiła na środku pokoju. Po drugie, od czasu wyjazdu państwa nie froterowałam podłóg, bo nikt nie chodzi i nie niszczy i pan sam widział, że mam posadzki, jak lustro.

- W takim razie wszystko, co pani słyszała, jest pani, wymysłem - zadyszał. - Rozumie pani? Pani nie mogła nic podobnego widzieć ani słyszeć.

- Ale kiedy...

- Nie mamy o czym mówić. Nasza rozmowa skończona - Dziarmaga wstał. - Cudów nie ma, a na wysłuchiwanie banialuków ja naprawdę nie mam czasu.

- Kiedy ja naprawdę słyszałam... no żebym skonała, jeśli nie słyszałam i nie widziałam, jak toto trzęsło się na podłodze z takim wyciem, że na ulicy chyba było słychać.

- W takim razie musi się pani udać do lekarza. Panią często boli głowa?

Wszedł zasapany Filip w rozpiętym płaszczu.

- Niech to diabli porwą. Wyobraź sobie, wśród zatrzymanych w Lasku Bielańskim rozpoznano jednego z manekinów.

- Kogo? - zerwał się Dziarmaga.

- Zgadnij.

- Melasę!

- Nie. Pana A.B.

- Antoniego Bujwida Żurawskiego? Niemożliwe!

- To fakt. Tłumaczył się, że szukał tam ziół. No teraz z nim zatańczę - Filip zakręcił się na pięcie i dopiero teraz zauważył Dopustową.

- A to pani? Co się stało, Paweł?

- Zawracanie głowy.

- Zdarzyło się coś u Rettingerów?

- Żeby tylko pan chciał wysłuchać, bo ten pan za okularami to żadnego zrozumienia nie ma. Przecież jak bym wiedziała, jak się to stało, to bym nie przychodziła, to bym się nie denerwowała...

- Dobrze, dobrze, mówcie krótko, o co chodzi.

- Nie tutaj - zaprotestował Dziarmaga. - Jeśli chcesz koniecznie wysłuchać tych bredni, to nie przy mnie. To obraża mój naukowy światopogląd. Moje najgłębsze racjonalistyczne ja. Filip nie zwrócił jednak na niego uwagi i poprosił Dopustową do sąsiedniego pokoju.

- Bardzo lubię chwycić magików za frak - powiedział do Dopustowej wysłuchawszy jej opowiadania. - To moja mała specjalność. Chwycić magików za frak, rozumie pani?

Dopustowa skinęła głową, choć nie bardzo wiedziała, o co właściwie podporucznikowi chodzi.

- Mam nadzieję - ciągnął - że pani nie ruszała tej froterki.

- Wyłączyłam tylko wtyczkę z gniazdka, ale przez chusteczkę, delikatnie, tak jak pan porucznik kazał.

- Doskonale - rzekł zadowolony Filip. - Jedziemy tam natychmiast.

- A co z panem A.B.? - zapytał wchodząc Dziarmaga.

- Pan A.B. nie ucieknie. Ma za krótkie nogi - wyszczerzył zęby Filip.

Godzinę później kilku ludzi z branży Pajkerta pod kierunkiem sierżanta Pluszaka przetrząsało po raz trzeci już w tym tygodniu willę Rettingerów.

Filip czekając na pierwsze wyniki medytował nad wywleczoną na środek pokoju froterką. Widział tylko dwie możliwości: albo ktoś rzeczywiście pętał się w nocy po willi, albo Dopustowa inscenizuje wszystko sama, bo jest winna i chce zwalić winę na kogo innego, albo po prostu pokiełbasić, zaplątać sprawę.

Pluszak zdmuchnął resztę proszku daktyloskopijnego z rękawa i podszedł do podporucznika z miną bardziej nieszczęśliwą niż zwykle.

- Nic nie ma. Żadnych odcisków palców na froterce ani na klamkach. Są tylko „daktyle” gospodyni.

- Psiakrew! - zaklął Filip, po czym przeszedł do kuchni.

- Pani Dopustowa - powiedział - pani jednak będzie musiała sobie przypomnieć cokolwiek więcej. Niech no pani ruszy głową i powie, czy naprawdę nikogo pani nie widziała tej nocy.

- O Jezus, przecież jak by ktoś był, to bym się tak nie bała! Ja się tam ludzi nie boję, co można w rękę złapać i przez łeb trzepnąć, to dla mnie nie straszne, pan wie...

- Wiem - Filip spojrzał na muskularną rękę gospodyni - ale niech sobie pani jednak przypomni, czy pani kogoś nie widziała. Niekoniecznie w domu, a na dworze? Przecież jak pani wróciła do hallu, chyba wyjrzała pani na zewnątrz.

- To prawda. Wyrzałam.

- No i co, nikogo pani nie zauważyła?

Dopustowa zawahała się. Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz strachu.

- O Jezus, nie myśli pan chyba... Nigdy by mi przez myśl nie przeszło. Nie, to przecież - niemożliwe, żeby on...

- O kim pani mówi?

- O panu Melassie.

- Pani go widziała, Melassę? Gdzie?

- Wychodził od panny Krysi.

- Co to znaczy „wychodził”? Widziała go pani w drzwiach?

- Tak, w drzwiach...

- W których drzwiach? Tam są zewnętrzne i wewnętrzne.

- W zewnętrznych widziałam, jak je zamykał.

- I co pani zrobiła?

- Wróciłam do siebie. Deszcz padał, więc wróciłam. Przecież byłam w szlafroku tylko.

- Czy u panny Krystyny świeciło się jeszcze?

- Nie. Okna były ciemne.

- Pytała ją pani, czy pan Melassa był u niej?

- Nie, proszę pana. Nie rozmawiamy ze sobą. Panna Krysię się obraziła za moje zeznania, że powiedziałam o jej obyczajach...

- Proszę pani. Przecież to była noc. Odległość między drzwiami, w których pani stała, a drzwiami do mieszkania panny Parytet wynosi około dwudziestu metrów. Dlaczego pani z taką pewnością twierdzi, że widziała pani Melassę?

- Bo ten człowiek, którego widziałam, miał garb. No to kto mógł być, jak nie pan Melassa?

- Czy pani jest tego pewna?
- Widziałam go z boku. Był niski i miał garb.
- Dlaczego dopiero teraz przypomniała sobie pani o tym?
- Nigdy bym nie myślała... i teraz nie myślę, że to on mógłby u mnie w mieszkaniu...
- Nie łączyła pani zupełnie tych dwu zdarzeń?
- Nie, no skąd!

Sierżant Pluszak dawał Filipowi jakieś znaki spoza pleców gospodyni. Podporucznik wstał i wyszedł z kuchni zamykając za sobą drzwi.

- Czego chcecie?
- Mamy coś, poruczniku. Może się porucznik ucieszy.
- Co macie?
- A to.

Pluszak wyjął z kieszeni i położył na dłoni tombakową spinkę od mankietu.

- Urządza to was, poruczniku? - uśmiechnął się sinymi wargami.
 - Do diabła, przecież to spinka Melassy - rzekł podniecony Filip. - Gdzie ją znaleźliście?

- Na schodach.
- Do piwnicy?
- Nie, na strych. A na strychu to - Pluszak pokazał klucz francuski. - Ale jeszcze

ciekawsze rzeczy są w garażu. Pozwólcie, poruczniku.

Zeszli na dół. Pluszak podprowadził Filipa do prawego narożnika garażu.

- Niech pan spojrzysz pod nogi - powiedział.
- Nic nie widzę - mruknął Filip.

- Prawda. Nic nie widać - westchnął smutno jak na pogrzebie Pluszak. - A teraz?

Skinął na pomocnika. Pomocnik podał mu miotelkę. Pluszak oczyścił kilkoma ruchami skrawek posadzki z pyłu. Ukazały się sześciokątne płytki terakoty. Jedna z nich osadzona była luźno - duże szpary oddzielały ją od sąsiednich płytek. Pluszak podważył ją dłutem i wyjął. W głębi ukazała się skrzynka z grubej blachy, jej wieko było rozprute i powyginane.

Filip kucnął i zajrzał do środka. Skrzynka była pusta.

Wstał i przetarł czoło. To odkrycie stawiało wszystko, całą sprawę, w jeszcze innym świetle. Czuł, że tym razem bliski jest finału śledztwa. Sylwetka zbrodniarza zarysowała się już zupełnie wyraźnie.

Filip poczuł lekkie podniecenie.

- Doskonale, Pluszak. Czegoś takiego właśnie mi było potrzeba.

Pluszak wycierał nos. Miał zabiedzony i pożałowania godny wygląd, jak zwykle.

- Jak do tego doszliście tak szybko, Pluszak? - pytał zadowolony podporucznik.

- Ma się tę praktykę - Pluszak pedantycznie złożył chusteczkę i schował ją do kieszeni. -

Ile razy jesteśmy w domu, gdzie popełniono zbrodnię, ja zawsze najpierw pytam, czy jest garaż. Garaże są ulubionym miejscem przestępców. Szczególnie ci lepsi czują do nich jakiś pociąg. Zawsze się znajdzie coś w garażu, poruczniku, jak nie zamurowanego trupa, to narzędzia, jak nie narzędzia, to skrytkę. Warto tam szperać, poruczniku.

Kiedy Filip wyszedł z piwnic, czekali już na niego w hallu obaj wywiadowcy.

Niestety, żaden z nich nie miał nic do zameldowania. Nie widzieli Melassy ani w ogóle kogokolwiek wychodzącego lub wchodzącego do willi.

- Ostatnia wchodziła Parytetówna - powiedział Kajtus. - Potem już nikt. Bardzo smutna noc była, poruczniku.

- A około jedenastej czy nie widzieliście, Kajtus, jak z drzwi ma parterze wybiegł Melassa, a w chwilę po tym wyrzała Dopustowa?

- Około jedenastej ktoś otworzył drzwi. Ale nie widziałem w ciemności. Czekałem, aż zbliży się do furki, gdzie pada światło od latarni ulicznej. Wtedy bym poznał. Ale nikt nie szedł. Pomyślałem, że po prostu Dopustowa wyjrzała albo wyszła po coś na podwórze. Potem usłyszałem znów skrzywienie drzwi i zgrzyt klucza w zamku. I to mnie utwierdziło w tym przekonaniu.

Meldunek wywiadowców zaskoczył i zdeorientował Filipa. Potem jednak znów przyszło mu na myśl to, co już dawno podejrzewał.

- Pani Dopustowa - powiedział. - Pani pójdzie z nami na górę.

- O Jezu, a po co?

- Obejrzymy sobie strych.

- Tylko ostrożnie, panowie, świeżo uprana bielizna, żeby nie strącić...

Strych był mały, bo część piętra zajmowało mieszkanie Krystyny Parytet. Prowadziło do niego troje drzwi. Jedne od mieszkania Parytetówny, drugie od strychu w drugiej bliźniaczej połowie domu, obecnie wypalanej i nie zamieszkannej, oraz trzecie ze schodów Rettingarów.

- Czy te drzwi na schody stale są zamknięte? - zapytał Dopustowej.

- Tak, proszę pana. Nawet po zamordowaniu pana Postura i kradzieży kluczy zmieniałam kłódkę. Tej nikt nie otworzy. Niech pan zobaczy, jaki wymyślny klucz.

- Tak - mruknął Filip obejrzawszy skrupulatnie kłódkę. - Tędy na pewno nie wchodził. Kłódka nie ma żadnych śladów od wytrychów. Skobel jest solidny. A jednak tutaj właśnie znaleźliśmy klucz francuski. Melassa musiał więc przedostać się przez mieszkanie Krystyny Parytet. - Zapanowało milczenie. Filip przez chwilę rozglądał się po strychu.

- Ale tamtej kłódki pani nie zmieniała? - pokazał na drzwi prowadzące do drugiej połowy domu.

- Tam w ogóle do wczoraj nie było żadnej kłódki. Dopiero wczoraj wieczorem, kiedym powiesiła tę bieliznę, pomyślałam sobie, że może ktoś ukraść, i zamknęłam.

- Dopiero wczoraj?! - wykrzyknął Filip. - O której godzinie?

- A już po dziesiątej wieczorem. Jak zaczęłam wieszać bieliznę.

- A więc Melassa mógł się dostać przez te drzwi, zanim pani zamknęła je na kłódkę i powiesiła bieliznę. Lecz kiedy chciał wrócić tą drogą, odwrót miał odcięty.

- Ale po cóż by pan Melassa froterkę... Przecież... - Dopustowa urwała nagle i zamarła w bezruchu.

- Jezus Maria - szepnęła - tego jeszcze brakowało.

- Co się stało?

- Ukradli mi bieliznę. Brakuje pięciu koszul pana Rettingera.

- Czy jest pani pewna?

- Niechże porucznik patrzy! Puste miejsce na sznurze A tu... matko miłościwa, podeptane prześcieradła.

- Coraz lepiej! - wycedził Filip. - Teraz już pani wie, że to nie duch. Duchy na ogół obywają się bez koszul.

Za drzwiami do mieszkania Krystyny Parytet rozległy się kroki. Zgrzytnął klucz w zamku, klamka poruszyła się i na progu stąpnęła wystraszona aktorka.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic. - Filip przez chwilę mierzył ją uważnym wzrokiem. - Czy wczoraj wieczorem gościła pani u siebie Melassę? - zapytał.

- Nie, nie widziałam go na oczy.

- O której wróciła pani do domu?

- Nie w ten sposób, mój chłopcze, nie w ten sposób, czy nie widzisz, jak wystraszyłeś dziewczynę? - rozległ się gdzieś z głębi znajomy głos i za Parytetówną ukazała się błyszcząca łysina Trepki.

- Kapitanie, wy tutaj?

- Jak widzisz. Przyszedłem zaprosić pannę Krystynę na małą uroczystość, jaką będę niedługo obchodził.

- Na uroczystość? - Filip łypnął na kapitana podejrzliwym okiem.

- Tak się składa, że niedługo będę obchodzić pięćdziesięciolecie urodzin, i dwudziestopięciolecie pracy zawodowej, mój chłopcze. Oczywiście ty też będziesz obecny.

Filip spojrział podejrzliwie na Trepkę. Wydawało mu się, że starszy pan liczy sobie cokolwiek więcej niż pięćdziesiąt lat.

- Widzę, że przeszkodziłem w pracy - zakaszłał Trepka. - Już się wycofuję.

- Ależ nie - bąknął Filip. - Na razie nie mam już tu nic więcej do roboty. Chciałem tylko zadać pannie Krystynie kilka pytań dotyczących pana Melassy.

- Melassy? - kapitan uniósł brwi do góry. - Czy cię dobrze zrozumiałam, chłopcze?

Czyżbyś natrafił na nowe poszlaki?

- Nie chcę przesądzać sprawy - mruknął ostrożnie Filip - lecz mam poważne dowody przesądzające udział Melassy w tej sprawie. Melassa włamał się wczoraj do skrytki w garażu.

- Zaintrygowałeś mnie, chłopcze. To są przecież rewelacje! - wykrzyknął Trepka.

- Chodźcie, pokażę wam.

Pięć minut później Filip i Trepka wychodzili z piwnicy.

- No i co wy na to? - uśmiechnął się Filip patrząc zwycięsko na zaaferowanego kapitana.

- Zafascynowałeś mnie, przyjacielu. Przyznaję, jestem oszołomiony. Melassa grasował po domu... Przepuszczasz więc, że to on zamordował Postura.

- A jak wytłumaczycie posiadanie przez niego kluczy do mieszkania Krystyny Parytet? Melassa dostawał się do mieszkania Rettingerów przez mieszkanie Krystyny Parytet. Spójrzcie na ten planik. Dojście miał zupełnie niekrepujące i nie dziwię się, że jego wizyty u Rettingerów uchodziły uwagi naszych wywiadowców. Źle ich rozmieściłem, psiakrew! Jednego trzeba było postawić w ruinach przyległych do domu Rettingerów.

- Myślisz o drugiej połowie bliźniaka?

- Tak. Właśnie przez tę drugą zrujnowaną połowę bliźniaka dostawał się Melassa. Strychy obu bliźniaków połączone są drzwiami, do wczoraj wieczorem drzwi nie były zabezpieczone. Można je było otwierać zwykłym kluczem. Melassa wchodził na strych, otwierał drzwi do mieszkania Krystyny Parytet zrabowanym Posturowi kluczem, przechodził korytarzem, otwierał drzwi na klatkę schodową, schodził na dół - aż do piwnicy. I tam szukał skrytki. A więc, jak powiadam, musiał mieć klucze do mieszkania Parytetówny. Klucze takie miał Leon Postur. I one to właśnie zostały mu między innymi zrabowane. Przy zwłokach nie znaleźliśmy kluczy. Nie znaleźliśmy ich także u niego w mieszkaniu. Zaginęły. Teraz staje się jasne, że zostały zabrane przez Melassę.

- Nie rozumiem tylko, jak i w jakim celu puścił w ruch froterkę elektryczną.

- Zdaje się, że potrafię to wyjaśnić. - Filip wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Trzeba było uprzytomnić sobie dokładnie, jak odbywała się ucieczka Melassy. Melassę zaalarmowały kroki na schodach piwnicy. Zgasił światło i czekał pod drzwiami do garażu, gotowy na zadanie ciosu kluczem francuskim, który znaleźliśmy potem na strychu. Jednakże kroki skierowały się do innych izb piwnicznych, a nie do garażu. Melassa skorzystał z tego i unosząc łup ze skrytki wbiegł do hallu. We wnęce, za wieszakami, znajdował się licznik elektryczny. Melassa wykręcił bezpiecznik.

- Wykręcił bezpiecznik? - Trepka uniósł do góry brwi.

- Tak jest, wykręcił bezpiecznik, żeby uniemożliwić Dopustowej zapalenie światła, po czym pobiegł schodami na górę.

- Gubiąc po drodze spinkę... - zauważył wesoło Trepka.

- Tak jest, gubiąc po drodze spinkę od mankietu. Następnie otworzył drzwi do mieszkania Parytetówny, przebiegł korytarzykiem i znalazł się na strychu. Tu zaszły jednak w tym czasie zmiany. Dopustowa powiesiła na sznurach bieliznę, a drzwi do drugiej połowy bliźniaka zaopatrzyła w solidną kłódkę. Melassa nie mógł więc już wydostać się przez strych i znalazł się w pułapce.

- Po drodze nieszczęśnik zaplątał się w bieliznę i stracił ma ziemię kilka prześcieradeł i poszew - wtrącił Trepka - a szamocząc się zgubił klucz francuski. Po czym zbiegł na dół.

- Doskonale się orientujecie, kapitanie - Filip spojrzął na niego nieufnie. - Istotnie, zbiegł na dół i chciał uciec przez okno w pokoju, lecz okno miało solidne okiennice. Zrozumiał, że wydostać się może tylko przez główne wejście. W tym celu musiał jednak zdobyć klucze. Klucze wisiały w kuchni, a tam była Dopustowa. W jaki sposób wywabić gospodynię z kuchni. Kiedy medytował nad tym stojąc w pokoju, wzrok jego padł na elektryczną froterkę za szafą i wtedy jedna myśl przyszła mu do głowy. Włączył froterkę i wyszedł cicho z pokoju zamykając za sobą drzwi. Oczywiście froterka jeszcze nie działała, ponieważ korki w hallu były wyłączone. Rozumiecie teraz, na czym polegał cały trick?

- Z kuchni wychodzi Dopustowa, żeby zatelefonować, a ukryty we wnęce za płaszczami figlarz Melassa wkręca bezpiecznik z powrotem na swoje miejsce - zakończył Trepka. - Wkręca bezpiecznik na swoje miejsce i froterka „sama” zaczyna grać. Biedna kobieta staje osłupiała. Potem biegnie do pokoju sprawdzić, co się wyrabia, a genialny Melassa ma wolną drogę. Porywa klucze z kuchni, otwiera drzwi i chodu z domu. Wiedząc jednak, że willa jest strzeżona, ucieka przez taras i po drabinie kominiarskiej na dach. Na dachu jest na tyle przytomny, że zrywa przewód telefoniczny i odcina biednej Dopustowej połączenie ze światem, ten figlarny bubek Melassa.

Filip spojrzął na Trepkę podejrzliwie. Zdawało mu się, że w głosie kapitana słychać drwinę.

- Inaczej nie sposób wytłumaczyć tych zjawisk - rzekł chłodno. - Czyżbyście podejrzewali, że w grę wchodzi jeszcze jeden garbaty człowiek?

- Nie, z pewnością nie - zaprzeczył Trepka.

- Kwestionujecie więc może prawdomówność Dopustowej?

- Jeśli chodzi o same fakty, z pewnością nie. Na pewno widziała to, o czym mówiła.

- Więc? - Filip spojrzął na niego rozdrażniony.

- Przypuszczam, że tak było. Jak sądzisz, wyjąwszy jeden mały szczegół... wyjąwszy jeden istotny szczegół - powtórzył zamyślony.

- Jaki szczegół?

- Za wcześnie jeszcze o tym trąbić, mój chłopcze. Tak mi się zdaje.

Nie chciał już nic więcej powiedzieć na ten temat. Zasiawszy w duszy podporucznika ziarno niepewności, pożegnał się i wyszedł. Ale ten wewnętrzny niepokój skłonił tylko Filipa do tym szybszych rozstrzygnięć.

XXX. OBLAWA

Podporucznik Filip jak wszyscy, którzy wyszli ze szkoły genialnego fuszera Żurki, wyznawał zasadę „dynamiki i bomby”. Postawić pół komendy na nogi. Dopaść zniecka przestępcę, przestraszyć, oszołomić i skłonić do nierozważnych zeznań - oto był ideał działania podporucznika Filipa.

„Zaaresztuj faceta przy goleniu albo przy praniu skarpetek - efekt murowany. Psychologia” - uczył Żurko i podporucznik Filip wbił to sobie dobrze do głowy. Dlatego też decyzja aresztowania Melassy została niezwłocznie podjęta.

Zmobilizowawszy sześciu wywiadowców i dwa samochody udał się natychmiast na Powązki.

- Nie mam zaufania do przestępców, którzy gubią spinki na miejscu przestępstwa - powiedział okularnik ściskając mu na pożegnanie rękę. Ale Filip skrzywił się tylko pobłażliwie. Ogródki spowijała mgła, ograniczając widzialność do dwudziestu metrów. Część liści opadła już z drzew. Może z powodu tej mgły i огоłoconych gałęzi teren wydawał się bardziej pusty i ponury niż zwykle.

Filip pohamował swoją zapalczliwość i siłąc się na spokój udzielał ostatnich instrukcji. Znał przebiegłość Melassy i starał się niczego nie zaniedbać. Ukrył wywiadowców za drzwiami w promieniu piętnastu metrów od domu przestępcy, a sam wsunawszy ręce w kieszenie płaszcz zbliżył się ostrożnie do „zielonego pawilonu” od strony pozbawionej okna.

W oknie „zielonego pawilonu” błyszcząca żółtawo żarówka.

- Jest w domu, a zatem mamy ptaszka w sieci - mruknął przez zęby - jest mgła, mroczno, więc świeci.

Wywiadowcy patrzyli po sobie, pogasili papierosy. Nastrój podniecenia udzielił się wszystkim.

Filip przesunął się bezszelestnie przy ścianie aż do drzwi, a potem zdecydowanie nacisnął klamkę. Ustąpiła. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Jednym susem znalazł się w środku mieszkania z pistoletem w ręce i... zaklął.

W mieszkaniu nikogo nie było. Jednym błyskawicznym spojrzeniem ogarnął wnętrze. Izba robiła wrażenie, jakby przeszedł przez nią huragan. Książki leżały rozsypane na ziemi. Szuflada od stołu poniewierała się wraz z całą zawartością na tapczanie. Czarne ubranie Melassy zwisało, zaczepione rękawem, z krzesła. Na nim bieleła się koszula. Filip doskoczył do niej i obejrzał rękaw. Brakowało spinki. Żarówka na długim sznurze chwiała się jeszcze.

Zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia. Melassa był tu jeszcze przed chwilą.

Wpadł na dwór.

- Nie ma go - syknął do nadbiegającego wywiadowcy Wójcika. - Ale nie mógł daleko uciec. Są świeże ślady.

Nagle usłyszeli przeszywający gwizd. Od strony budki ogrodniczej, dwadzieścia metrów w lewo, oderwał się jakiś krępy cień. Wywiadowca Bocian sadył za nim długimi krokami dając alarmowe sygnały.

- Mamy go - zasapał Wójcik.

Reszta obstawy ruszyła w pogoń. Wypadli przez poszarpane ogrodzenie z siatki okalające działki na wąskie uliczki Powązek. Przechodnie zatrzymywali się z ciekawością.

Na rogu ujrzeli zadyszanego Bociana.

- Co jest? Urwał się?

- Nie rozumiem. Nic nie rozumiem - bełkotał podniecony Bocian. - Byłem od niego nie dalej jak dziesięć kroków. Dopędzałem drania i nagle przepadł.

- Nie opowiadaj głodnych kawałków - zdenerwował się Filip.

- Jak Boga kocham, poruczniku, zniknął na tej ulicy. Tu po obu stronach płoty. Nie mógł skręcić. Gdyby chciał skakać przez płot, złapałbym go za frak. O dziesięć kroków był... co ja mówię, O siedem, osiem najwyżej. Z przeciwnej strony szli jacyś ludzie. Zatrzymałem ich. Nikt go nie widział.

Filip zmierzył szybkim spojrzeniem stojących pod płatem wystraszonych ludzi. Był tam jakiś starzec, kobieta w chustce, dwie uczennice i dwu brudnych wyrostków.

- Kto z państwa widział uciekającego garbatego mężczyznę? - zapytał Filip.

Zatrzymani spojrzeli na niego ze strachem.

- Nikogo nie widziałam, kochany panie - potrząsnęła głową kobieta w chustce. - Nikt nic nie widział.

- Z której strony szliście?

- Wszyscy od tramwaju.
- Niech każdy mówi za siebie.

Wszyscy potwierdzili, że szli od strony tramwaju, to znaczy naprzeciwko uciekającego.

- Dowody poproszę.

Zapisał numery i adresy. Dowody osobiste miał tylko starzec i kobieta w chustce.

Dziewczynki i chłopcy mieli legitymacje szkolne.

- Kto z nich nadszedł pierwszy? - zapytał Filip Bociana.
- Ten chłopak - pokazał Bocian na niskiego wyrostka.
- Stanisław Wawrzon - przeczytał Filip przyglądając się wystraszonemu chłopakowi o piegowatej twarzy. - Technikum metalowe na Kasprzaka.

Nagle usłyszał za sobą szybkie kroki. Szedł zadyszany Wójcik prowadząc jakiegoś mężczyznę w roboczym waciaku i berecie, spod którego sterczały długie, dawno nie strzyżone kłaki.

- Ten obywatel widział Melassę.

- Gdzie?

- Jeśli chodzi o garbusa, to zem widział takiego u fryzjera. Tu parę kroków, u fryzjera Wawrzeckiego - mężczyzna w berecie wyciągnął pudełko sportów i podsunął Filipowi.

Filip odepchnął je ze zdenerwowaniem.

- Pan był u fryzjera. Nie widać tego po panu - spojrzał podejrzliwie na bujną czuprynę i zarośniętą twarz robociarza.

Indagowany schował z zakłopotaniem papierosy i przejechał dłonią po nie golonych policzkach.

- Czy ja mówię, że byłem u fryzjera? Przechodziłem tylko i widziałem przez szybę. Tera taka mgła, że wszędzie świecą. Widziałem garbatego faceta na fotelu pod lampą. Na pewno jeszcze siedzi. Może pan sprawdzić, a w ogóle co się pan tak patrzy, władzuchna? Po jaką cholere miałbym bajerować?

- Idziemy, pokażesz pan - mruknął Filip. - Zatrzymacie, Bocian, tych dwu korniszonów. Pogadam z nimi jeszcze.

Filip z resztą ludzi ruszył szybkim krokiem prowadzony przez robociarza. Istotnie, kilkanaście kroków dalej, za zakrętem, w narożnej kamieniczce mieścił się zakład fryzjerski. Robociarz stanął i pokazał na szybę.

- No zobacz pan, czy nie siedzi.

Filip poczuł, że krew mu uderzyła do skroni. Za oknem w jaskrawym świetle lampy widać było Melassę okręconego ręcznikiem. Gruby fryzjer szprycował go wodą kolońską.

Filip wbiegł do zakładu. Właśnie drugi z fryzjerów otrzepywał ręcznik - przed chwilą skończył strzyżenie klienta.

- Pan szanowny się śpieszy? Ogolić szanownego pana? - podsunął Filipowi krzesło.

- Nie rób pan ze mnie idioty - stracił panowanie nad sobą Filip.

Od kilku minut wszystko wydawało mu się niedorzeczne.

Podszedł do Melassy i zdarł mu ręcznik z szyi.

- Pan pójdzie ze mną.

Obaj fryzjerzy cofnęli się wystraszeni. Gruby fryzjer przez chwilę naciskał jeszcze mechanicznie gruszkę rozpylacza. Pachnący strumień podłej wody kwiatowej tryskał prosto w twarz Filipa.

Filip kichnął i skoczył wściekły.

- Co pan wyprawia, do cholery?

Grubas bełkocząc coś niezrozumiale rzucił się do Filipa z ręcznikiem. Chciał mu ocierać twarz. Filip odepchnął go gniewnie.

- Wstawaj pan i nie strugaj błazna! - krzyknął do Melassy. - Jest pan aresztowany. I nie próbuj pan skoku, jak przed dwoma minutami, tym razem już pan nie pryśnie.

- Przyznam się, że nie rozumiem - wytrzeszczył oczy Melassa. - O jakim skoku pan mówi?

- Nie zgrywaj się pan. Przed chwilą uciekł pan z chaty.

- Ja uciekłem? Dlaczego miałbym uciekać?

- Dostyc tej ciuciubabki. Wiemy dokładnie, co pan nabroił zeszłej nocy u Rettingerów,

- Pan chyba żartuje - zerwał się z fotela Melassa, - To jakaś pomyłka. Co pan ode mnie chce? Panie Wawrzecki, niech pan zaświadczy.

- Za przeproszeniem - wtrącił gruby fryzjer, który już zdążył nieco przyjść do siebie. - Pozwolę sobie zauważyć, że pan Melassa to porządny człowiek.

- Porządny człowiek, który ucieka na łeb na szyję przed milicją z własnego domu i nie zatrzymuje się na wezwanie. Nie dalej jak pięć minut temu ścigaliśmy tego pana po ogródkach.

- Ależ - wykrztusił Melassa - to jakaś prowokacja...

- Za przeproszeniem szanownego pana - chrząknął fryzjer Wawrzecki. - Pozwolę sobie zauważyć, że to jakaś pomyłka. Pan Melassa siedzi już u nas co najmniej od godziny.

- Co takiego.?

- Pan Rączka może zaświadczyć i panowie klienci. I ta pani pod suszarką.

- Prawda, prawda - potwierdziła głośno wymalowana kobieta susząca włosy w damskiej połowie zakładu. - Siedzę stu drugą godzinę i pamiętam, kiedy ten niski pan wszedł. To było chyba godzinę temu. Jeszcze się strzygli ci księża.

- Mieliśmy sześciu księży do strzyżenia - wyjaśnił Rączka - i dlatego pan Melassa czekał kilka minut.

Filip zacisnął wargi i rozglądał się po zakładzie. Zdawało mu się, że obaj fryzjerzy i kociak pod suszarką patrzą i uśmiechają się drwiąco, że jest przedmiotem jakiejś wielkiej kpiny.

Zmowa. Wystawiają mu fałszywe alibi - pomyślał, a głośno rzucił:

- Pan ma wyjątkowo uczynnych przyjaciół, ale ten numer nie chwyta. Idziemy, panie Melassa.

- Pozwolę sobie zauważyć... - chrząknął fryzjer Wawrzecki. - Ja bardzo przepraszam pana władzę, ale pan władza na pewno się myli. Ten pan był świeżo golony i strzyżony. Pan władza raczy się przyjrzeć. Tu leżą włosy... Pan Melassa nie mógł być ani pięć, ani nawet dwadzieścia minut temu w ogródkach, ani w ogóle poza moim zakładem. Samo strzyżenie trwa piętnaście minut, a golenie dziesięć.

Filip przetarł oczy i zaczerwienił się. Nie ulegało wątpliwości. Melassa był naprawdę strzyżony i golony. Ten człowiek jest szatan albo ja straciłem głowę - pomyślał zrozpaczony.

- Wyjaśnimy sto wszystko - rzekł ostro, daremnie usiłując ukryć zmieszanie.

Zabrawszy z sobą Melassę wyszedł szybko z zakładu.

Fryzjerzy wybiegli na próg. Przed zakładem zgromadził się już tłum gapiów.

Odprowadzali Filipa i Melassę ponurym wzrokiem.

Gdzież są wywiadowcy, u licha - zaniepokoił się podporucznik, wściekły, że dopuszczono do zbiegowiska.

Nagle zauważył biegnącego Wójcika w rozpiętym płaszczu.

- Poruczniku, zakatrupili Bociana!

Filip pchnął Melassę w ramiona wywiadowcy i puścił się biegiem.

Czterech funkcjonariuszy przenosiło bezwładne ciało do samochodu.

- Bocian! - krzyknął Filip - pochylając się nad wywiadowcą.

- Rąbnęli go, skurczybyki - mruknął Stasik - cegłą w głowę i w nogi. Nie wydał nawet jęku. Dopiero kobieta jedna narobiła krzyku, że człowiek pod płótem leży. Pobiegł, Bocian wyciągnięty na brzuchu. Szukalim tamtych, ale w tej mgle... Osobliwy dzień, poruczniku.

Wszystkim to mówię. Osobliwy dzień, poruczniku.

- Stanisław Wawrzon i Zygmunt Turek - mruknął Filip przez zęby. - Tak jest. Duchów nie ma. Powtarzam wam, duchów nie ma, ten, który wiał z ogródka, nie rozpląnął się na ulicy, a przecież coś mnie korciło, żeby przesłuchać tego Wawrzona, gdyby się ten kudłacz nie napatoczył z tą swoją zakichaną informacją... Psiakrew!

- Wawrzon nie był garbaty, poruczniku - bąknął Stasik - szukalim garbatego.

- Wawrzon nie był garbaty - powtórzył Filip patrząc z poczuciem winy na nieprzytomnego Bociana.

W głowie miał zupełny mętlik.

Bocian otworzył oczy. Jego usta poruszyły się bezgłośnie.

- Nie jest tak źle, poruczniku. Zamroczyło mnie tylko.

Chciał się dźwignąć na rękach, ale opadł z powrotem na kanapkę samochodu.

Po ustaleniu najbliższego planu działania i przekazaniu meldunków komendzie Filip powrócił do Melassy.

- Pan mnie jeszcze potrzebuje? - Melassa był już bardzo pewny siebie.

- Porozmawiamy sobie jeszcze chwilkę u pana w domku, jeśli pan będzie tak gościnnie.

- Właściwie Filip stracił już cały zapał do tej rozmowy, po której jeszcze przed trzema minutami tak wiele sobie obiecywał. Incydent z dwoma wyrostkami zburzył całą wypracowaną przez niego konstrukcję.

Wszystko teraz mogła wyglądać inaczej; foto inny był w nocy u Rettkigerów, fetu inny zgubił spinkę, kto inny buszował w „zielonym pawilonie”, kto inny uciekał.

Osobnik X, Wawrzon lub Turek. Może obaj tworzyli spółkę. Musieli być w każdym razie na tyle wtajemniczeni w sprawę Postura, że dla zmylenia śladów postanowili podszywać się pod Melassę. Dlaczego pod Melassę? Może dlatego, że był najbardziej charakterystyczny, że wystarczyło naśladować jego sylwetkę, by sugerować, że to on.

Nie mam zaufania do przestępców, którzy gubią spinki na miejscu zbrodni - powtórzył w myśli słowa Dziarmagi. - Okularnik miał rację. Nie należy mieć zaufania do przestępców, którzy gubią spinki na miejscu zbrodni.

Znalazł się osobnik, który „podrabiał” Melassę, Garb podrobić nietrudno. Wystarczy coś wepchnąć pod koszulę, na ramionach i grzbiecie. Wystarczy przebrać się w jego ubranie i zgubić jego spinkę od mankietu w mieszkaniu Rettingerów.

Właśnie a propos ubrania.

- Czy panu nic nie zginęło w ostatnim czasie? - zapytał Filip Melassę, gdy stanęli pod „zielonym pawilonem”.

- Owszem - wykrztusił Melassa - skradziono mi ubranie.

- Skradziono panu ubranie - powtórzył ze złością Filip. - Dlaczego pan nie zameldował nam o tym?

- W mojej sytuacji? - wykrzyknął Melassa. - Żeby znów zwrócić na siebie uwagę? Zaczęliby panowie węszyć jakiś nowy podstęp z mojej strony. O nie, dziękuję bardzo.

Wolałem siedzieć cicho. I tak uwikłaliście mnie panowie w sytuację prawie bez wyjścia.

- My? To pan się sam uwikłał. Swoimi wykrętnymi zeznaniami. Pomijając tę głupią sprawę z włamaniem u Pontyskich, zataił pan jeden zasadniczy szczegół.

- Ja zataiłem? Nie przypominam sobie.

- Dlaczego pan przemilczał, że w dniu zabójstwa Postura był pan koło godziny jedenastej drugi raz w willi Rettingerów? Widziano tam pana.

- Tego jeszcze brakowało, żebym o tym wspomniał. Siedziałbym już dawno na ławie oskarżonych. Czy ktoś by mi uwierzył, że po prostu miałem tam spotkać się z Posturem w sprawie artykułu, bo kiedy dzwoniłem tego wieczoru do Postura, polecił mi, bym tam na niego czekał? Dziwne, prawda? Mnie samemu to wydało się niezrozumiałe.

- Rzeczywiście - wycedził Filip. - Dostyć dziwne. Podobnie jak pana nagłe zniknięcie wczoraj.

- Nie, w tym nie ma już nic dziwnego - zaprzeczył Melassa. - Czułem się coraz gorzej. Wiedziałem, że śledzicie każdy mój krok. Nie wytrzymałem dłużej nerwowo i wyjechałem do znajomych do Zalesia Górnego. Zatrzymali mnie u siebie na noc. Może pan sprawdzić.

Filip przygryzł wargi i pchnął drzwi pawilonu.

- Niech pan zobaczy, czy czego nie brakuje.

Melassa stanął osłupiały.

- Moje ubranie! Znaleźli je panowie?

- Nie, to złodziej był uczciwy. Zwrócił po wykorzystaniu - rzekł zgryźliwie Filip.

XXXI. ANTONI BUJWID ŻURAWSKI WYBIERA SIĘ DO WIĘZIENIA

W komendzie czekały na skołowanego podporucznika nowe wiadomości, które do reszty skomplikowały sprawę.

Dziarmaga powitał kolegę z tajemniczym uśmiechem.

- Co się znów stało? - jęknął podporucznik.

- Wyszły na jaw nowe okoliczności obciążające Antoniego Bujwida Żurawskiego.

- Jego jeszcze brakowało - zaklął Filip. - Nieszczęsny starzec, jak długo jeszcze będzie się tu plątać.

- Zdaje się, że jeszcze wczoraj stawiałeś na niego - zauważył spokojnie Dziarmaga.

- Od wczoraj sytuacja się zmieniła - mruknął ponuro Filip. - Miały miejsce nowe fakty.

- Na przykład taniec froterki na podłodze - uśmiechnął się drwiąco Dziarmaga.

Filip spojrzał na niego ze złością.

- Nie sądzisz chyba, do licha, żeby ten starzec gwizdnął karabinek zawodnikom i zabawiał się strzelaniem w lesie.

- A jednak tam był. Po co? W protokole podał, że spacerował. Kiedy go przyciśnięto, sprostował, że zbierał zioła. Czy ty w to wierzysz? Zresztą nie to jest najważniejsze, ciekawsze jest to, co robił w Radomiu. Masz, czytaj. - Dziarmaga podsunął Filipowi protokoły.

Filip przejechał po nich wzrokiem i spojrzał z rozterką na kolegę.

- A niechże to wszyscy diabli!

- Sądzę, że to warto w każdym razie wyjaśnić - uśmiechnął się Dziarmaga - i to szybko.

Póki lis w norze.

Obaj oficerowie zastali Antoniego Bujwida Żurawskiego w stanie niesłychanego podniecenia. Starzec pakował do walizki ciepłą bieliznę, skarpetki, bambosze, jakieś pakiety z etykietami aptecznymi i mieszanki ziołowe.

- Gdzież to się pan wybiera, panie Antoni? - zapytał Dziarmaga w progu.

- Do więzienia, mój panie.

- Do więzienia?

- Zmam się ma ludziach, mój panie. - Starzec wycelował palcem w Dziarmagę. - Ten człowiek w mundurze postanowił mnie posadzić. Znam się na ludziach tego pokroju. Jeśli człowiek o ponurym obejściu, mruk i okularnik, o słabo zarysowanej szczęce, długich kończynach i postawie pitekanthropusa uplanował sobie, że mnie posadzi - dopnie swego: Dlatego postanowiłem być przygotowany na tę okoliczność i przysposobić się wcześniej. Widzę, że chwila ta nadeszła.

Dziarmaga chrząknął zakłopotany.

- Nie jestem zwolennikiem szybkich aresztowań. Sądzę, że będziemy mogli rozmawiać na wolności, aż... aż do czasu przekazania pana w ręce prokuratora.

Antoni Bujwid Żurawski napił się wody z kramu i zaczął krążyć nerwowo po pokoju z założonymi do tyłu rękami.

- Prokuratora, pan powiada. Prokuratora - zasapał. - Czy to nastąpi szybko?

- Panu tak bardzo zależy na pośpiechu?

- Przyznam się, że nie lubię stanów przejściowych. Nie lubię stanu zawieszenia. To bardzo nieprzyjemna pozycja. Wolę siedzieć. Tymczasem panowie specjalizujecie się w jakichś przejściowych stanach. Nachodzicie mnie, sondujecie, grzebiecie w mojej przeszłości, uśmiechacie się, przekomarzacie się, bawicie. Odnoszę wrażenie, że sprawia wam to przyjemność. Panowie, na Boga, czyżbyście mieli za mało kontaktów towarzyskich? Ja naprawdę nie jestem panią do towarzystwa. Jestem starym, schorowanym człowiekiem. Nie opuszczam niemal domu.

Dziarmaga przecierał niepewnie okulary. Był niezadowolony z siebie. To skrępowanie, to niezdecydowanie i brak odpowiednich ripost wobec zagrań przeciwnika, a choćby wobec mamlania tego starca. Kiedyż uwolni się od tego? Kiedyż będzie mógł czuć się swobodnie w każdej sytuacji jak Trepka i Żurko?

- Dzisiaj będziemy inaczej rozmawiać - powiedział siląc się na stanowczy ton. - Wysłyż na jaw pewne fakty w związku z pana osobą... pewne poważne fakty.

Antoni Bujwid Żurawski zatrzepotał ruchliwie rękoma.

- Nie wątpił w to ani na chwilę, odkąd pan zdradził zainteresowanie moją skromną osobą, że pan wynajdzie fakty. Zawsze uważałem pana za zdolnego człowieka. Za nieprzeciętnie zdolnego i wytrwałego człowieka.

Dziarmaga wyciągnął notes.

- Krytycznego wieczoru był pan ostatnim człowiekiem, który widział Leona Postura żywego.

- Istotnie, lecz to chyba nie jest zbyt groźny fakt - zasapał Antoni Bujwid Żurawski. - Niech pan mnie nie rozczarowuje, zdolny człowieku. Nie na tym chyba opiera pan swe posądzenia? Pozwolę sobie przypomnieć, że to ja sam... ja sam bez żadnego nacisku stwierdziłem tę okoliczność. Czy sądzi pan, że będąc winnym chwaliłbym się spotkaniem z ofiarą? Niech pan mnie nie rozczarował je, zdolny człowieku.

- Był pan zbyt przebiegły, by taić ten fakt. Pan dobrze wiedział, że przemilczenie na nic by się nie zdało, ponieważ... widziano pana - zabluffował Dziarmaga. - Świadek Maria Johnson widziała pana, jak pan wchodził do pokoju denata. Pan musiał usprawiedliwić tę okoliczność.

- Ciekawe, bardzo ciekawe. Bo ja nikogo nie widziałem - zdenerwował się Antoni Bujwid Żurawski.

- Poza tym zostawił pan odciski palców w szafie. To bardzo dziwnie. Nie uważa pan? To szalenie dziwne. Co pan mógł robić w szafie denata?

- Mówiłem przecież, szafa była otwarta... W ciemności wdepnąłem tam przez pomyłkę.

- A nadto świadek Mohylny widział pana, jak wszedł pan po raz drugi do pokoju ofiary z filiżanką ziół.

- Nie, to kłamstwo, nie wszedłem. Drzwi były zamknięte, Postura już nie było.

- Idźmy dalej. Nazajutrz po morderstwie, wczesnym rankiem w niedzielę, opuszcza pan Warszawę udając się do Radomia. Tam spotyka się pan ze swoim szwagrem. Dziwnym zbiegiem okoliczności w poniedziałek szwagier pana, pan Wencelski, płaci zaległe podatki w wysokości 96 000 złotych i uzyskuje zwolnienie spod egzekucji zakładu wyrobu galanterii z mas plastycznych tuż przed rozpoczęciem licytacji. Pytanie: skąd pan Wencelski zdobył nagle taką sumę pieniędzy, skoro od dawna był niewypłacalny.

- Nie wiem - Antoni Bujwid Żurawski poprawił nerwowo krawat i znów zaczął biegać po pokoju. - Skąd ja mogę wiedzieć? Niech go się pan zapyta.

- W każdym razie ta pańska nagła podróż i ta splata należności skarbowych przez szwagra zbiegają się w sposób uderzający. Szkoda, że pan nie ma na ten temat nic do powiedzenia. To bardzo pana obciąża. Niebezpiecznie obciąża.

- Nic na to nie poradzę, nic na to nie poradzę. Są rzeczy, na które się nie poradzi - w głosie Antoniego Bujwida Żurawskiego zaczęły rozbrzmiewać jakieś tragiczne tony.

Zatrzymał się nagle i rzekł:

- Nawet gdybym panom powiedział całą prawdę i tak panowie nie uwierzą.

- Jakaż to jest ta cała prawda?

- Szwagrowi dociśnięto finansową śrubę. Siostra nalegała, bym sprzedał resztę rodowej, pamiątkowej biżuterii, żeby ratować firmę. Buntowałem się wewnętrznie. Buntowałem, ale jak panowie już wiedzą, moje wrodzone skłonności samarytańskie przeważały. Wróciłem nawet bez zegarka.

- Hm, rzeczywiście trudno w to uwierzyć. Pan klepał biedę śpiąc na klejnotach?

- No tak, pan tego nie rozumie, pan tego przecież nie może zrozumieć - powtarzał bezradnie Antoni Bujwid Żurawski.

- Następna sprawa - ciągnął Dziarmaga - czy pan wie, że na pana sąsiada dokonano wczoraj zamachu?

- Owszem, widziałem pana Mohylnego w bandażu.

- Pan Mohylny został wczoraj postrzelony przez nieznanego sprawcę - rzekł Filip przyglądając się ciekawie Żurawskiemu.

- On też! - westchnął staruszek. - Ha, więc ja będę trzeci.

- Co pan powiedział? - uniósł się z miejsca Filip.

- Powiedziałem, że teraz na mnie kolej. - Antoni Bujwid Żurawski sięgnął po ziółka na kuchence, przecedził zielonkawy płyn przez sitko do herbaty i postawił szklankę na nocnym stoliku.

- Jak mam rozumieć to, co pan powiedział? - zapytał Filip.

- Że Rotpelcowie nie zasypiają gruszek w popiele. Niedługo willa będzie wolna od niepożądanych lokatorów - Antoni Bujwid Żurawski łyknął ze szklanki.

- Pan chyba nie mówi tego poważnie? - chrząknął Filip. - Naprawdę sądzi pan, że Rotpelcowie są zamieszani w tę sprawę?

- Ho, ho, pan nie wie, do czego oni są zdolni? Te morderstwa to dzieło Rotpelców. Zwracałem już na to uwagę milicji. A propos, czy panowie przesłuchiwali już kogoś z Rotpelców?

Filip spojrział na starego podejrzliwie. Ale Antoni Bujwid Żurawski siorpał spokojnie ziółka.

- Niech pan nie opowiada głupstw. To są gołosłowne oskarżenia - rzekł zimno.

- Tak pan uważa, młody człowieku? - westchnął Antoni Bujwid Żurawski. - Ano cóż, każdy ma swoje zdanie. Ja bym jednak zwrócił uwagę na Rotpelców. Pan nie wie, jacy to ludzie. Chcą mnie wyeksmitować na Grochów. Mnie, panie święty, na Grochów.

- Zostawmy na razie tę sprawę - rzekł zniecierpliwiony Filip. - Pan pozwoli, że zadam panu jedno pytanie: Co pan robił dzisiaj rano?

Stary zachichotał drepzcząc w miejscu.

- A więc to pana boli, młody człowieku? Niech pan będzie spokojny. Byłem na spacerze w Łazienkach. Z pewnością nie postrzeliłem tego gagatka z naprzeciwka.

- Dostyc tych kłamstw! W dniu, w którym dokonano zamachu na Piotra Mohylnego, rozpoznano pana w pobliżu miejsca przestępstwa w Lasku Bielańskim. Wiem, pan twierdzi, iż szukał pan ziół. Ziół - zaakcentował ponuro Dziarmaga. - Otóż pomijając niedorzeczność tego tłumaczenia, nie znaleziono przy panu żadnych ziółek... Nie, niech pan nie przerywa... Ziola, pańskie ziola, panie Antoni, to zresztą osobny temat, który z pewnością nie zaskarbi panu względów prokuratora, W niedzielę rano znaleziono u pana szczątki spalonych ziółek.

Analiza popiołu wykazała, iż chodziło o zioła... trujące. Między innymi psiankę, lulka czarnego... i bielun dziedzierzawy... - Dziarmaga zamknął notes - bielun dziedzierzawy - powtórzył smutno.

- To są zarazem rośliny lekarskie, o ile się pan orientuje. Zależy od dawki - rzekł wzburzony Antoni Bujwid Żurawski.

- Tak jest, zależy od dawki - powtórzył Dziarmaga wstając. - Zdaje mi się, że dosyć faktów i że nie rozczarował się pan co do mojej osoby. Zrobiłem, co do mnie należało, teraz reszta należy do pana. Najwyższy czas, żeby pan przestał grać komedię nieszczęśliwego osaczonego staruszka i zaczął mówić do rzeczy. Pan obrał złą taktykę, panie Antoni, Pan się przyczaił w kącie sprawy. Pan był niejako na marginesie. Sądził pan, że udało mu się odwrócić naszą uwagę od swojej osoby, ale my nie jesteśmy dziećmi. Lubimy szperać także po ciemnych kątach.

- Nie mam nic do wyjaśnienia prócz tego, co mówię od początku! - wykrzyknął coraz bardziej wzburzony Antoni Bujwid Żurawski. - A jeśli chodzi o szafę... A jeśli chodzi o szafę w korytarzyku... to proszę bardzo, pan będzie łaskaw - pociągnął Dziarmagę do drzwi. - Niech pan zobaczy sam, czy tam nie można wdepnąć, jak jest ciemno.

- Chwileczkę - chciał go zatrzymać Dziarmaga, ale Antoni Bujwid Żurawski był już na klatce schodowej.

Obaj oficerowie wybiegli za nim. Nagle zatrzymali się zdumieni. Drzwi do pokoju Leona Postura były otwarte.

- Co u diabła?! - zawołał Filip. Odepchnął Antoniego Bujwida Żurawskiego i wpadł do pokoju.

- A to wy, kapitanie? - rzekł zaskoczony na widok Kajetana Trepki, który wyszedł zza parawanu wycierając ręce w chusteczkę.

- Doskonale, że was widzę - powiedział pogodnie. - Jest także pan Antoni. Bujwid. Świetnie się składa, bo właśnie chciałam, pana zapytać o jedno, W pana zeznaniach jest pewna mała luka.

- Widzę, że stałem się nagle obiektem wszechstronnego zainteresowania milicji... - zasapał Antoni Bujwid Żurawski. - Musi być bardzo źle ze sprawą, skoro więzecie panowie swoje nadzieje z taką osobą jak ja.

- To będzie ostatnie pytanie - rzekł dobrotliwie Trepka. - Pozwoli pan, że zapytam: jaki pan miał w tym cel twierdząc, że podczas ostatniej rozmowy z nieodżałowanej pamięci Leonem Posturem te kukły stały tak - to mówiąc Trepka ustawił manekiny wzdłuż linii prostej...

- Nie rozumiem! - wykrztusił Antoni Bujwid Żurawski.

- Czy pan nie popełnił przypadkiem omyłki? Widzi pan, zarówno przedtem, a mianowicie o godzinie dziewiątej, na co mamy świadka, jak i następnego dnia rano, kiedy wkroczyła tu milicja, manekiny znajdowały się w położeniu takim, jak na obrazie, który malował denat, to znaczy skupione w ciasnej grupie.

- Nie wiem, jak stały przedtem ani potem. Wiem, że kiedy wszedłem wtedy do pokoju, manekiny, stały w szeregu od szafy aż do tego stolika pod ścianą... Tak, do stolika pod ścianą. Zupełnie nie można się było poruszać w pokoju.

- Jaki pan ma cel, żeby upierać się przy tym? - podniósł nagle niespodziewanie głos Trepka. - Co to panu daje?!

Antoni Bujwid Żurawski cofnął się zaskoczony atakiem.

- Cel... co też pan, kapitanie?

- Pan nie chce mówić, więc ja panu powiem, jaki pan miał cel, przyjacielu. Pan czuł, że pana sytuacja jest niewyraźna, a pana odwiedziny u ofiary bezpośrednio przed jej zabójstwem mocno podejrzone i dlatego chciał nam pan wmówić, że pan w ogóle nie podchodził do Leona Postura, że pan się w ogóle do niego nie zbliżał, że pan do niego nie miał dojścia.

- Ależ ja o niczym takim nie myślałem... Ja niczego nie chciałem wmówić, ja...
Panowie, ja po prostu mówiłem prawdę, dlatego cierpię, dlatego pójdę do więzienia.
- Bzdura - powiedział Trepka. - Pójdzie pan do swojego pokoju i położy się pan do łóżka.

Antoni Bujwid Żurawski cofnął się i zamrugnął oczami.

- Chciałem jeszcze wejść do szafy i pokazać...

- To zbyt uczynne. Pańska sprawa jest zakończona.

- Jak to, o Boże! - zatrzęsł się starzec. - Panowie... przysięgam... ja nie zabiłem!

- Oczywiście, że nie - rzekł spokojnie Trepka.

XXXII. CZWARTY MANEKIN

Dziarmaga drgnął i wytrzeszczył oczy.

- Ależ kapitanie.

- Niech pan, wraca do swego pokoju, panie Antoni - powiedział Trepka.

Antoni Bujwid Żurawski wreszcie zrozumiał, ocknął się jakby ze snu i wybiegł z pokoju.

- Nie mogłem pozwolić, żebyś maltretował dłużej tego miłego staruszka - uśmiechnął się Trepka wyraźnie rozbawiony miną porucznika.

- Jak to, przecież wy sami, kapitanie - wybełkotał Dziarmaga.

- Chciałem tylko przekonać się, czy zeznania Antoniego Bujwida Żurawskiego nie były podyktowane strachem. Musimy zawsze brać pod uwagę, mój chłopcze, że ludzie Bogu ducha winni znalazłszy się w dwuznacznej sytuacji tracą głowę i kłamią ze strachu.

- Ale przecież dowody... - próbował oponować Dziarmaga. - Czy możecie mi powiedzieć, na jakiej podstawie tak bezapelacyjnie uwalniacie Żurawskiego od wszelkich podejrzeń?

- To bardzo proste. Znam już nazwisko mordercy.

- Kto? - zapytał naiwnie Filip.

- Daj spokój - machnął ręką przybity Dziarmaga. - Kapitan ci nie powie. Ta historia powtarza się stale.

- Niestety, Pawełek ima rację - chrząknął Trepka. - Wiem, że posadzacie mnie o sobkostwo, nieufność, efekciarstwo i inne brzydkie rzeczy, ale tu chodzi naprawdę o jedno; powtarzam to do znudzenia: nauczcie się myśleć do końca. A propos, słyszałem, że wpadłeś na nowy trop, Filipku. Byłoby bardzo ciekawe, gdyby nasze, drogi się zeszły. Bardzo ciekawe dla studium...

Filip spojrzał na niego spode łba, czy nie kpi, ale twarz starszego pana była nieprzenikniona jak zwykle w takich wypadkach.

- Nie sądzę, aby nasze drogi się zeszły - mruknął.

- Lecz przecież masz nowy trop. Jakiś chłopak...

- Owszem - odrzekł niechętnie Filip.

- Czy znów któryś z manekinów?

- Nie nabijajcie się ze mnie, kapitanie. Popełniłem fatalny błąd skupiając uwagę na tej bzdurnej koncepcji.

- Zdumiewasz mnie, mój chłopcze. Nie rozumiem, co możesz mieć przeciw tym sympatycznym modelom?

Filip zasapał.

- Nie wspominajcie mi o tych kukłach.

Zamierzył się z nagłą wściekłością i za jednym zamachem przewrócił głupio uśmiechnięte manekiny na ziemię.

- Zwariowałeś? - Dziarmaga skoczył do niego i próbował odciągnąć od modeli.

Filip kopnął je z nienawiścią.

- Idiotyczne gęby. Że też dałem się tak głupio podejść. Zadrwiliście sobie ze mnie, kapitanie. Na szczęście w ostatniej chwili zawróciłem z tej drogi. Od dzisiaj, kapitanie, przestajemy tropić złudzenia i cienie. Mam konkretny ślad i człowieka. Ale nie jest to żaden z manekinów... jest to... nazwisko nic wam nie powie, z pewnością jest zresztą fałszywe... w każdym razie nie jest to żaden z manekinów.

- A więc iks? - zapytał Trepka.

- Iks.

- Nonsens - powiedział Trepka. - W tej sprawie dawno już nie ma żadnych iksów. Ten człowiek nie jest żadnym iksem.

- Skądże wy to możecie wiedzieć? - zdenerwował się Filip.

- Bo zdaje mi się, że wiem o kogo ci chodzi. Nieduży, szczupły młodzieniec lat około siedemnastu. Włosy blond. Twarz pociągła, dużo piegów. Jeśli to on, przyjacielu, to możesz odwołać alarm. Nie warto go szukać.

- Dlaczego? - zdumiał się Filip.

- Bo on już jest.

- Nie rozumiem - powiedział zbity z tropu Filip. - Gdzie jest?

- Tu.

- Tu?

- Tak, w tym pokoju. Bądź łaskaw pokazać się tym panom, Andrzej.

Zza parawanu wyszedł szczupły piegowaty chłopiec.

- Wawrzon! - krzyknął Filip.

- Jaki tam Wawrzon? Przedstawiam wam Andrzeja Rettingera lub, jeśli wolicie, czwartego manekina.

Zapanowała mała konsternacja. Wreszcie Filip wziął się w garść i postanowił dostroić się do nowej sytuacji

- Do diabła, kolego! - zawołał. - O ile się nie mylę, to przecież pan zmarł tragicznie.

- Zdarzają się czasem cuda - odparł za chłopaka Trepka.

- Przypuśćmy - zgrzytnął zębami Filip. - W każdym razie, kapitanie, zbyt lekko traktujecie zbira, który o mały włos nie wyprawił na tamten świat najlepszego z moich ludzi.

Chłopak zbladł i spojrzał przestraszony na Trepkę.

- To nieprawda - wykrztusił - ja...

- Andrzej tego nie zrobił - rzekł spokojnie Trepka. - O ile ani wiadomo, zatrzymałeś wtedy dwu młodych łodzi. Bociana uderzył tamten. Tak zeznał Bocian.

- Bocian złożył zeznania?

- Natychmiast po twoim wyjeździe z komendy otrzymaliśmy meldunek, że odzyskał przytomność i chce złożyć zeznania. Pojechałem bezzwłocznie. Byłem tym szczególnie zainteresowany, bo chciałem się przekonać, czy ten młody człowiek mówił prawdę.

- Więc Andrzej Rettinger był już w waszych rękach?

- Okropne sformułowanie. Andrzej Rettinger zgłosił się do mnie sam, dziś rano, zaraz po incydencie na Powązkach. Był to z jego strony niewątpliwie akt zaufania, odwagi i roztropności.

- Niesłychana historia - przygryzł wargi Filip. - Myślę, że należą nam się pewne wyjaśnienia.

- Oczywiście - skinął głową Trepka. - Siadajcie, przyjaciele, Andrzej jest gotów odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Najpierw wy sami, kapitanie, powiedzcie mi, skąd ta pewność, że ten młody człowiek jest Andrzejem Rettingerem?

- Skonfrontowałem go z Dopustową. Był to zresztą akt raczej formalny. Domyślałem się tego już dawno.

- Jak to... wiedzieliście, że on żyje.

- Wszystko wskazywało ona to, lecz resztę wyjaśnimy później i we właściwym miejscu. Teraz wracajmy do rzeczy. Czy macie jakieś pytania dla Andrzeja?

- Co to była za lipa z tą śmiercią?

Chłopak przełknął ślinę.

- Wsadziła mnie niewinnie... Nie mogłem dłużej wytrzymać... Tam jest strasznie...

- Do rzeczy - skrzywił się Filip. - Mnie nie chodzi o opinie, chodzi o fakty.

- Postanowiłem wyrwać. Obmyśliłem wszystko. Koledzy pomogli. We wrześniu pracowaliśmy w pegeerze w Zarzeczcu przy sprzęcie potrawu i koniczyny. Niedaleko była rzeka. Zrobiłem skok. Było tam jedno głębokie miejsce i wir, gdzie w lecie utopiło się dwu turystów. Zostawiłem na brzegu ubranie i zniknąłem. Koledzy zeznali, że widzieli, jak się topiłem. Milicja szukała w rzece, ale wyłowiła tylko majtki, które zaczepiłem w zaroślach na brzegu.

Koło wisi przebrałem się w łachy, które ściągnąłem strachowi na wróble. Potem udało mi się zwędzić lepsze ubranie kąpiącym się chłopakom. Była tam legitymacja szkolna na nazwisko Wawrzon. Ledwie żywy dojrzałem wreszcie do Warszawy. Nie bardzo wiedziałem, co robić z sobą. Nie miałem żadnych dowodów oprócz tej legitymacji. Bałem się, że milicja mnie szuka. Żeby się dalej kryć, potrzebowałem pieniędzy.

Osiemnastego września zakradłem się do swojego domu. Rodziców nie było. Dopustowa też gdzieś wyszła. Podjadłem sobie dobrze po raz pierwszy od wielu miesięcy. Nabrałem pewności siebie. Z listów nie otwartych, jakie znalazłem, domyśliłem się, że rodzice wyjechali na dłużej. Postanowiłem ukrywać się w domu. Spenetrowałem biurko ojca i szafy, ale nie znalazłem ani forsy, ani kosztowności. Dopustowej bałem się coś zwędzić, żeby nie zawiadomiła milicji. Przypomniało mi się natomiast, że ojciec wspominał o jakiejś skrytce w garażu. Pomyślałem sobie, że może tam coś znaleźć.

- W jaki sposób pan się dostawał do domu? Miał pan klucze?

- Pierwszy raz, to znaczy osiemnastego, zakradłem się przez otwarte okno. Potem pożyczyłem sobie klucze Dopustowej i w warsztacie w piwnicy skopiowałem dwa od strychu i od garażu.

- Od których drzwi do garażu?

- Od wewnętrznych.

- Więc pan się dostawał od strychu, od strony sąsiedniej wypalanej willi ?

- Tak.

- A potem podrzucił pan z powrotem klucze gospodyni?

- Tak, następnego dnia.

- Czy w sobotę wieczorem dnia dwudziestego września był pan w domu?

- Tak, od godziny siódmej.

- Nie bał się pan tak wcześniej? O siódmej było jeszcze jasno. Wtedy mieliśmy czas letni. - Filip był wybitnie nieufny.

- Znałem zwyczaje gospodyni. Zawsze w sobotę o szóstej Dopustowa odwiedzała swojego chrześniaka na Ochocie. Przyszedłem więc na pewniaka.

- Co pan robił tego wieczora w willi ? Proszę opowiedzieć szczegółowo.

- Najpierw podjadłem sobie w kuchni. Żeby uniknąć podejrzeń, podrzuciłem w legowisku kota kość schabową i pergaminowy papier od masła oraz stłukłem słoik po śmietanie.

- Pan był dosyć pomysłowy, panie Rettinger.

- Siedziałem w domu poprawczym, tam człowiek uczy się różnych rzeczy, proszę pana - mruknął chłopak.

- Hm, no i cóż dalej? - Filip przyglądał mu się bystro.

- Zszedłem do garażu kontynuować moje poszukiwania. Było już koło dwunastej, kiedy postanowiłem się przespać. Wyszedłem na dwór z siennikiem, żeby napchać go suchymi liśćmi.

- Którymi drzwiami pan wyszedł?

- Oczywiście zewnętrznymi, to znaczy przez bramę.

- A siennik? Skąd pan wyciągnął siennik?

- Znalazłem go wśród starych rupieci na strychu. Poprzedniej nocy spałem w samochodzie i było mi piekielnie niewygodnie.

- Rozumiem i wrócił pan z siennikiem do garażu...

- Nie, wtedy zobaczyłem coś, po czym odeszła mnie ochota do spania.

Filip spojrzął na niego podejrzliwie.

- To ciekawe - wycedził. - Co pan mógł takiego zobaczyć.

- Zobaczyłem trupa.

- Gdzie?

- Pod oknem sypialni moich starych.

- Zgadza się - mruknął Dziarmaga. - W jakiej pozycji leżały zwłoki?

- Na wznak, to znaczy twarzą do góry - odpowiedział Rettinger bez namysłu.

- Czy pan jest tego pewien?

- Tak, dlaczego pan pyta?

- Bo wiemy, że zwłoki zostały przewrócone w parę godzin po śmierci - rzekł Dziarmaga patrząc w oczy młodemu Rettingerowi.

Zaskoczony Filip spojrzął ze zdumieniem na Dziarmagę, ale Dziarmaga uśmiechnął się tylko. Zapanowało milczenie.

- Ja nie ruszałem zwłok - wymamrotał wreszcie chłopak.

- Więc kto?

- Skąd mogę wiedzieć... Mówię, co widziałem.

- Więc to nie pan? - mruknął Dziarmaga. - Szkoda.

- Pan mi nie wierzy?

- Na razie słucham. Opinię wydam później. Lecz jeśli pan myśli, że mnie można kiwać, to pomyłka, kolego. No, ale jedźmy dalej. Zobaczył pan zwłoki i oczywiście rozpoznał pan swojego znajomego Leona Postura.

- Rozpoznałem Leona, przestraszyłem się i wróciłem do domu.

- Jak to? Nie próbował pan się przekonać, czy żyje? Skąd ta pewność, że Leon Postur był już martwy.

Andrzej Rettinger zaczerwienił się.

- Nie wiem, jakoś nie przyszło mi na myśl... wyglądał na trupa.

- Nie przyszło panu na myśl - wycedzał Filip - bardzo ciekawe. Bo widzi pan, gdybym ja znalazł mojego znajomego leżącego przy moim domu, najpierw próbowałbym go ratować.

Andrzej Rettinger milczał przygryzając wargi.

- Więc mówi pan, że pan w ogóle nie dotykał trupa. A klucze? - zapytał nagle Filip.

- Jakie klucze?

- Niech pan nie będzie dziecinny. Czy pan nas bierze za idiotów? Skąd pan wziął klucze do mieszkania panny Parytet?

- Do mieszkania Krystyny? - wybełkotał Andrzej.

- No przecież pan już po morderstwie odwiedzał w dalszym ciągu swoje mieszkanie i garaż. Dopustowa, zaraz po wypadku, zmieniła zamki w mieszkaniu i na strychu. Pan nie mógł już wchodzić przez drzwi wiodące ze strychu na klatkę schodową. Nie mógł pan także wchodzić do garażu przez bramę wjazdową, bo była pod obserwacją. A jednak pan wchodził do mieszkania i do garażu. Którędy? Pozostawało panu tylko jedno przejście przez drugie drzwi od strychu, przez drugie drzwi prowadzące do mieszkania panny Krystyny Parytet.

Przechodził pan przez te drzwi, dostawał się do korytarza, otwierał pan drzwi z korytarza na klatkę schodową i dopiero tą drogą dostawał się do swojego mieszkania. O tędy, tak jak jest naszkicowane na tej kartce - pokazał Rettingerowi planik. - Musiał pan więc mieć klucze do mieszkania panny Krystyny. A mógł pan je zabrać tylko Leonowi. Tych kluczy było tylko dwa komplety. Jeden miał Leon, a drugi Krystyna. Krystynie klucze nie zginęły. Zginęły natomiast klucze Leona. Ktoś wyciągnął je z kieszeni zwłok. No więc?

- Tak... to ja wziąłem te klucze - wyszeptał Rettinger.

Filip spojrzał z satysfakcją na Trepkę. Kapitan zakaszłał i rozłożył ręce.

- Gdzie są te klucze?

- Zostawiłem je w ubraniu Melassy.

- Chciał pan rzucić podejrzenie na Melassę?

- Nie, zostawiłem je przez roztargnienie, w pośpiechu... Nie myślałem więcej o kluczach... wiedziałem, że i tak już do domu wrócić nie mam po co.

- Aha... No cóż, skoro jesteśmy przy ubraniu Melassy, może nam pan w takim razie powie, co skłoniło pana do „pożyczenia” sobie tego ubrania?

- Moje stare ubranie było w takim stanie, że zwracało uwagę. Musiałem w czymś chodzić.

- Ale dlaczego akurat ubranie Melassy?

- Nie chciałem kraść - rzekł zmieszany. - Tylko pożyczyć... a wiadomo, że zwykle pożycza się od znajomych.

- Pożycza się od znajomych - Filip powtórzył szyderczo - czy tego też nauczył się pan w zakładzie?

- Naprawdę chciałem pożyczyć... Melassa był moim przyjacielem i sądziłem, że będę mu mógł później łatwo wytłumaczyć i że zrozumie... zresztą oddałem przecież to ubranie.

- Tak. Oddał pan, kiedy pan zgubił spinkę od mankieta i zorientował się pan, że to ubranie jest już spalone, że może się pan w nim sypnąć... A może pan naumyślnie zgubił tę spinkę, co? Pan jest tak zręczny i biegly w swoim nowym zawodzie, że wprost trudno mi uwierzyć, że mogło być inaczej...

- W moim nowym zawodzie?! - wykrzyknął Rettinger i spojrzał przerażony na Trepkę. Kapitan był jednak całkowicie zajęty masażem łysiny.

- Cóż dla pana znaczył pomysł ze spinką, skoro umiał pan wykombinować nawet wspaniały garb.

- Garb? Nie rozumiem - Andrzej Rettinger patrzył po twarzach oficerów z przestrawieniem.

- Skonstruował pan sobie przecież wcale twarzowy garb, który w wieczornych mrokach upodobnił pana całkowicie do jego kochanego przyjaciela Melassy. Niech pan nie zaprzecza. Dopustowa widziała pana z tym garbem i wzięła pana za Melassę.

- To niemożliwe! Jaki garb? Kiedy? - wybełkotał Andrzej.

- Wczoraj w nocy na tarasie w willi. A może pan zaprzeczy, że był pan wtedy w garażu i w mieszkaniu i że urządził pan wspaniały trick z elektryczną froterką.

- Nie, to prawda, byłem... Udało mi się wreszcie odnaleźć skrytkę i wyjąć kasetkę.

- I buchnąć tacie grubszą gotówkę...

- Nie, kasetka była pusta. Znalazłem natomiast przy niej list - Andrzej zawahał się.

- Co za list?

Andrzej zaczerwienił się, spojrzał na Trepkę i wyciągnął z kieszeni kartkę papieru.

Podporucznik Filip wyrwał mu ją z ręki i przeczytał osłupiały półgłosem:

„Drogi chłopcze, z troską i niepokojem śledzę Twoje machinacje. Zbadałem akta Twojej sprawy i stwierdziłem, że wyrządzono Ci krzywdę. Jestem przekonany, że uda mi się wszystko naprawić. Jeden warunek: przestanieś natychmiast bawić się w ducha i straszyć. To bardzo niezdrowe w naszym materialistycznym wieku.

PS. Muszę Cię ostrzec. Podporucznik Filip, najgroźniejszy i najniebezpieczniejszy z młodych funkcjonariuszy MO, wpadł na Twój trop. Nie dałbym funta kłaków za Twoją skórę, gdyby Cię dostał w swe ręce. On nie wierzy w duchy. A oto klucz do mojego mieszkania. Sądzę, że tam zakwaterujesz się wygodniej niż w garażu.

Kapitan, Trepka, szef Wydziału Eksperymentalnego Komendy Głównej MO Rynek, Strona Barsa 3, m. 44.”

Filip zasapał i zmierzył Trepkę spojrzeniem zdolnym zabić wołu. Chciał już powiedzieć coś niecenzuralnego na temat metod kapitana, ale pohamował się w porę z uwagi na obecność osoby postronnej i zgrzytnął tylko zębami.

- No i cóż, skrzywdzony młody człowieku, poleciał pan w te pędy na Rynek, Strona Barsa 3?

- Nie od razu, proszę pana. Czytałem w gazetach o kapitanie Trepce, ale mimo to bałem się. Ten list z początku mnie tylko przestraszył. Postanowiłem czym prędzej dać nura z domu i w ogóle z Warszawy, ale sprawy zaczęły się układać coraz gorzej. Dopustowa musiała usłyszeć, jak mocowałem się z kasetką, bo nagle dobiegły mnie kroki za drzwiami. Zdrętwiałem.

- Tak - mruknął Filip. - Ciąg dalszy jest nam już znany. Porwał pan klucz francuski i czekał za drzwiami, żeby w razie czego rąbnąć nieproszonego gościa...

- Skądże znowu! Po prostu zabrałem go, żeby nie zostawić śladu. - Andrzej spojrzał na niego przerażony. - Przecież wiedziałem, że to Dopustowa... jakże bym mógł starą kobietę...

- Naprawdę pan by nie mógł? - uśmiechnął się szyderczo Filip. - To bardzo miłe z pana strony... Niech mi pan tylko wyjaśni, skąd klucz francuski znalazł się na strychu.

- Musiałem go upuścić, kiedy zaplątałem się w rozwieszoną bieliznę i w zdenerwowaniu zapomniałem podnieść.

- Hm, a więc pobiegł pan na strych.

- Tak, skorzystałem z tego, że Dopustowa weszła do sąsiedniej piwnicy, wybiegłem z garażu i rzuciłem się po schodach w górę. Kiedy znalazłem się na strychu, zobaczyłem, że na drzwiach do wypalonej części domu wisi kłódka. Nie miałem do niej klucza. Zorientowałem się po wiszącej bielinie, że w tym czasie Dopustowa musiała w ten sposób zabezpieczyć strych. Pomyślałem, że bardzo by mi się przydało trochę nowej bielizny, ściągnąłem więc kilka sztuk ze sznura i wpakowałem do plecaka. Potem zbiegłem na dół, a dalej to już pan wie...

- Zauważ, do plecaka, do wypchanego plecaka - zakaszłał Trepka - oto wyjaśnienie garbu, Filipku. Sylwetka człowieka z plecakiem przypominała garbatego.

- Tak - mruknął zadowolony Filip. - Pozostaje jeszcze tylko do wyjaśnienia sprawa zamachu na Piotra Mohylnego. Może pan by coś na ten temat powiedział.

Andrzej przygryzł wargi.

- Nic nie wiem o żadnym zamachu.

- Szkoda.

Kapitan Trepka wstał z fotela i sięgnął po parasol.

- Zdaje się, że na dzisiaj wystarczy. Oczywiście Andrzej będzie do waszej dyspozycji, gdyby wam się nasunęły jakieś dalsze pytania.

To powiedziawszy opuścił wraz z młodym Rettingerem pokój.

XXXIII. KONFRONTACJA

Krystyna Parytet paliła zdenerwowana papierosa przy biurku podporucznika Filipa.

- Myślałam, że panowie skończyli już z tymi przesłuchiwaniem. Tymczasem zaczyna się z powrotem wszystko od początku.

- Tym razem pozwoliliśmy sobie zaprosić panią zupełnie w innym celu - uśmiechnął się Filip i nacisnął taster dzwonka.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł Andrzej Rettinger w towarzystwie porucznika Dziarmagi i kapitana Trepki.

Krystyna Parytet obróciła się nerwowo na krzesło i wydała krótki okrzyk.

- Andrzej!

Rettinger skłonił się i chciał ją pocałować w rękę. Krystyna patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma i nagle cofnęła się.

- Nie, nie! - wykrzyknęła. - Zabierzcie go stąd, panowie, nie chcę go widzieć... On żyje... o Boże, to straszne... więc to tak... teraz już wszystko rozumiem.

- O czym pani mówi? - rzekł spokojnie Filip. - Proszę wyrażać się jaśniej.

- Nie widzicie, nie rozumiecie? To on... on zabił Leona.

- Krystyno - Rettinger zbladł.

- Nie wypieraj się, to ty! Nienawidziłeś ich wszystkich. Nie, tnie zaprzeczaj... nie byłam głupia... widziałam przecież, czułam, nienawidziłeś ich wszystkich... Leona, Piotra, nawet Melassy. Nawet tego biedaka Melassy. Ta zazdrość małego sztubaka, jakie to było śmiesznie i chorobliwe... Już wtedy bałam się, żeby nie stało się coś straszego... Żeby on im czego nie zrobił. Miał czasem taką minę, jak by chciał im poderżnąć gardła. To on zabił, to on, strzelał.

- Nie, nie... - wybełkotał Rettinger.

- Niech pan będzie rozsądny - powiedział Filip. - Zidentyfikowaliśmy pańskie odciski palców na karabinku sportowym, z którego pan chciał zastrzelić Mohylnego.

- Nie chciałem zastrzelić - zadyszał Rettinger. - Ja, ja chciałem go tylko nastraszyć, to był żart.

Filip roześmiał się.

- Pan jest dziecinny. Kto w to uwierzy?

- Czy sądzi pan, że nie trafiłbym z takiej śmiesznej odległości, gdybym chciał?

Należałem do sekcji strzeleckiej juniorów w klubie. Miałem wicemistrzostwo w zawodach międzyszkolnych.

- Dlaczego chciałeś postraszyć Mohylnego, mój chłopcze? - zapytał Trepka.

- Zasługiwał na to - Rettingerowi zaświeciły się oczy.

- Niech pan mu nie wierzy, kapitanie - zacisnęła wargi Krystyna. - On już dawno chciał załatwić Piotra. Kiedyś pobił jakiegoś studenta na ulicy. Obcego studenta. Okazało się, że wziął go za Piotra Mohylnego. Ojciec jakoś zatuszował sprawę, ale nie na długo. Wkrótce okazało się, że Andrzej ma na sumieniu inne sprawy. Jakąś kradzież w szkole. Tym razem tata już nie pomógł i powędrował do poprawczaka.

- To nieprawda - szepnęła chłopak. - Ja wtedy nie ukradłem. To Mohylny, to on mnie wrobił. Był wtedy instruktorem na samochodowym kursie w naszej szkole... Zginęły jakieś części. Szukano ich. Złodziej podrzucił mi do teczki dwa pierścienie tłokowe... Mohylny mnie oskarżył... Zwalili wszystko na mnie. Zrobili ze mnie złodzieja.

- On ma manię prześladowczą na punkcie Mohylnego - podniosła głos Krystyna - a wszystko z chorobliwej zawiści... Za to, że ja lubiłam Mohylnego, a jego nie traktowałam poważnie. Patologiczny typek. Zamiast w poprawczaku powinni go zamknąć w szpitalu psychiatrycznym.

- Krystyno, jak ty możesz w ten sposób... - wykrztusił Rettinger.

- Nienawidzę cię, potworze... - wybuchnęła płaczem. - Jak ty mogłeś Leona, mojego biednego Leona, nie mogę na ciebie patrzeć... ty morderco!

- A ja ciebie ochraniałem - szepnęła zbierałymi wargami Rettinger. - A ja ciebie ochraniałem... O Boże! Po co to wszystko, po co? - opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - złapał go za ramię Filip.

- To nieważne - szepnęła. - Wszystko nieważne.

- Mój chłopcze - zbliżył się do niego Trepka - obiecaliśmy sobie, że zachowamy zimną krew i że będziemy wobec siebie szczerzy. Żądam od ciebie, abyś odpowiedział na pytanie podporucznika.

Andrzej Rettinger podniósł głowę. - Dobrze. Powiem wszystko - zacisnął wargi. - Niech przynajmniej nie cierpią niewinni i niech będzie sprawiedliwość. To ona zabiła Leona.

- Zwariował! - wykrzyknęła Krystyna.

- Proszę o spokój - rzekł zimno Filip. - Na jakiej podstawie oskarża pan obywatelkę Parytet?

- Wtedy, tamtej nocy, widziałem ją, jak wynosiła zwłoki.

- Kłamstwo! On to mówi z zemsty - przerwała Krystyna.

- Niech pan mówi dalej - rzekł Filip. - Skąd wynosiła zwłoki?

- Od siebie z pokoju. Kiedy wyszedłem z garażu, zauważyłem, że zgasło światło w jej mieszkaniu. Potem otworzyły się drzwi na taras. Schowałem się za drzewo i patrzyłem... Nie będę ukrywał, byłem ciekawy, kto o tej porze wyjdzie od Krystyny. Ale to nie był żaden mężczyzna. Zobaczyłem sylwetkę Krystyny. Potem, gdy wyszła z cienia, w świetle lampy ulicznej zobaczyłem jej twarz. Był na niej wyraz przerażenia. Ciągnęła za sobą jakiś duży ciężar. Stopień po stopniu zsuwała go w dół. Przyglądałem się zdumiony tej scenie.

Ciekawiło mnie, co też ona może tak ciągnąć po schodach w nocy. Worek jaki czy co? Nie mogłem rozpoznać, a nigdy by mi nawet przez myśl nie przeszło, że to może być...

Wstrzymałem oddech i patrzę dalej. Krystyna zaczęła ciągnąć swój ciężar wzdłuż ściany. I wtedy zobaczyłem nogi. Bezładne nogi obute w męskie wiatrówki. Omal nie krzyknąłem z wrażenia. Tymczasem Krystyna zniknęła za rogiem domu. W chwilę później zobaczyłem ją znowu, jak wracała szybko, rozglądając się z lękiem na boki. Wbiegła na schody i zamknęła się u siebie. Czym prędzej popędziłem za róg domu. Pod oknem zobaczyłem leżącego nieruchomo mężczyznę. Nachyliłem się nad nim. Rozpoznałem Leona Postura. Chciałem go ratować, ale już był zimny... oczy zmętniały. Zrozumiałem, że trup. Wtedy przeraziłem się. Krystyna morderczynią? To było takie straszne. Ale jednocześnie pomyślałem, że musiał być jakiś powód. Może we własnej obronie, może wypadek. Przyznam się, że bardziej mi było żal Krystyny niż Postura. Chciałem ją ratować. Pobiegłem do domu i napisałem na maszynie fałszywy list.

- To podle oskarżenie! - przerwała mu Krystyna. - Ja tego nie mogę słuchać dalej. Takie bzdury...

- Więc pani zaprzecza całkowicie?

- Zaprzeczam. Nie przyznaję się do niczego. I myślę, że panowie nie mają żadnych podstaw, żeby wierzyć temu... temu opryszkowi, który urządza sobie zabawę ze strzelania do ludzi.

- Doskonale - rzekł zimno Trepka. - Nie wiem, czy pani słusznie postępuje, dzieciно. Czy pani nie przyszło na myśl, że możemy mieć także inne dowody?

- Proszę bardzo, jakie?

- Dowie się pani jutro, dzieciно.

- Jutro?

- Zapomina pani, że zaprosiłem ją na małą uroczystość milicyjną i ponawiam niniejszym zaproszenie. Chciałbym panią widzieć jutro o dziewiątej wieczorem na Saskiej Kępie w mieszkaniu Leona Postura. Będzie tam całe miłe towarzystwo naszych drogich podejrzanych. A więc, czy mogę na panią liczyć?

- Oczywiście - odparła krótko.

- To wszystko, żegnaj państwa i proszę pamiętać o jutrze.

Filip spojrzał niezadowolony na Trepkę.

- Najchętniej byłbym zamknął ich oboje - szepnął.

- Bez pośpiechu, przyjacielu, bez pośpiechu - zakaszła kapitan. - Musimy zapiąć śledztwo na ostatni guzik, żeby nie było żadnych komplikacji. Jutro rzecz się wyjaśni.

- Do jutra gotowi sobie poukręcać głowy.

- Nie ma obawy, mój chłopcze. Zobaczysz, będą grzeczni jak baranki. To są mimo wszystko nader rozsądni ludzie.

- I co to ma być za uroczystość, o której wspominaliście?

- Pięciolecie naszej komórki eksperymentalnej. Przykro mi, że muszę ci o tym przypominać, Filipku.

- Pięciolecie SODIS-u? To coś nowego - zakpił Filip. - U Rettingerów mówiliście przecież o urodzinach i srebrnym jubileuszu pracy kryminalistycznej.

- Tak powiedziałem? - zdziwił się Trepka nieszczerze.

- Zresztą, o ile się nie mylę - zauważył Filip - rocznica SODIS-u wypada dopiero w grudniu.

- Nie szkodzi, mój chłopcze, przełożymy ją na jutro. Tego wymagają okoliczności. - Trepka chodził po pokoju rozcierając łysinę. - Od dawna obiecywałem sobie, że uświetnię ją zgrabnym rozwiązaniem jakiejś małej kryminalnej zagadki. Sposobność się nadarza. A czekać dłużej nie można.

Filip pokiwał głową.

- Po co ta mowa? Nie bluffujcie, kapitanie, znam się na tym. Chcecie po prostu pod jakimś pretekstem zgromadzić tych ludzi w pokoju Postura.

- Przeraza minie twój ciasny utylitaryzm, Filipku, ozy naprawdę uważasz, że nasza mała uroczystość nie zasługuje na stylową uprawę?

- Ależ nie, tylko...

- Nie umiesz smakować w oprawie, mój chłopcze. Czy nie rozumiesz, że zupełnie inaczej smakuje rzecz rozwiązana na małym towarzyskim zebranku, w ciekawymi nastroju niż przy biurku w gabinecie śledczym?

- A więc miały zabieg psychologiczny?

Trepka zakaszła dyplomatycznie.

XXXIV. W CZTERY OCZY Z MORDERCĄ

Rzeczywiście zjawili się wszyscy: Krystyna Parytet, Maria Johnson, Apolonia Dopustowa, Andrzej Rettinger, Piotr Mohylny, Tadeusz Melassa i Antoni Bujwid Żurawski, a ze strony Komendy Głównej MO pułkownik Wadera, kapitanowie Kajetan Trepka i Cyryl Iwanillo, porucznik Paweł Dziarmaga i podporucznik Eugeniusz Filip.

Trepka podziękować zebranych za przybycie. Specjalną radością, jak się wyraził, nappełniło go stawienie się mordercy, który nie zawiódł nadziei pokładanych w nim przez komórkę eksperymentalną i okazał się jednostką godną zainteresowania i studiów.

- Osoba ta - powiedział - zdecydowała się rozegrać partię do końca i ponieść wszystkie konsekwencje gry, albowiem zdawała sobie chyba sprawę, że punktem kulminacyjnym dzisiejszego zebrania będzie jej zdemaskowanie... Absolutne i bezwzględne. Co za tym idzie - ciągnął dalej Trepka - z osób niewinnych będzie zdjęty ciężar podejrzeń. Nic więc nie stoi chyba na przeszkodzie, by to miłe towarzyskie spotkanie odbyło się w atmosferze pełnego odprężenia.

Niestety na razie atmosfera była lodowata i mimo talentów Kajtusa, który zajął się stroną gastronomiczną wieczoru, zebranko przypominało raczej ponurą stypę pogrzebową.

Pułkownik Wadera, zawsze skłonny do sondowań psychologicznych, podjął wprawdzie próby nawiązania, rozmowy z kilkoma podejrzanymi, a to z Antonim Bujwidem Żurawskim na temat ziołolecznictwa, z Tadeuszem Melassą na temat sztuki abstrakcyjnej i dżudżitsu, a wreszcie z Krystyną Parytetówną na temat teatru surrealistycznego, jednakże bez pozytywnych skutków.

W rezultacie czego Mohylny próbował z właściwą mu ciętością żartować sobie z milicji, ale mimo daleko posuniętej tolerancji ze strony zebranych funkcjonariuszy spotkał się z lodowatą obojętnością podejrzanych i skapitulował szybko, oddając się w całości podziwianiu sztuki kulinarnej Kajtusa.

Podporucznik Filip uśmiechał się nie bez złośliwej satysfakcji. On wiedział od razu. Ten pomysł był bez głowy. Nie mogło być inaczej. Makabryczna uczta w pokoju ofiary z udziałem mordercy i władz śledczych, idiotyczne manekiny, zagadkowe, nie wykończone płótno na sztalugach, wzajemna nieufność, niepokój, nieczysta aura zbrodni, zły powiew niezdrowej sensacji unoszący się w powietrzu - wszystko to musiało wycisnąć na zebraniu nieprzyjemne piętno.

Jeden Trepka zdawał się nie dostrzegać zupełnej klapy „miłego towarzyskiego zebranka” i zajęty był całkowicie rozmową z kapitanem Iwanillą.

- Panowie, na miłość boską - ziewnął wreszcie ostentacyjnie Mohylny - gdzie te obiecane, atrakcje. Róbcie coś, do diabła, albo pozwólcie mi prysnąć, bo skonam z nudów.

- Cierpliwości i zaufania - zakaszła Trepka - atrakcje zaraz się zaczną. Czekamy tylko na przybycie jeszcze jednego gościa.

Mohylny spojrzał na niego zdziwiony.

Istotnie, w pięć minut potem zastukano do drzwi i do pokoju wszedł zadyszany doktor Baldurski i stanął osłupiały na widok tylu osób.

- A zatem możemy zacząć! - Trepka wstał. - Nasza mała Uroczystość dobiega do naturalnego końca. Obiecałem państwu parę minut emocji. Krystyno Parytet, czy pani wciąż utrzymuje, że nie usuwała zwłok Leona Postura ze swojego pokoju?

Wszystkie oczy obróciły się na dziewczynę. Parytetówna przygryzła wargi.

- Pan mnie nie zastraszy. Wiem, że to wszystko było obliczone na to, żebym się załamała.. Ta cała makabryczna komedia. Ale nic z tego. Ja - głos jej zadrżał - mam zdrowe nerwy.

- Wiem o tym i dlatego obiecałem państwu dowód. Oto doktor Baldurski, który leczył Leona Postura. Pan doktor zainteresował się osobiście sprawą i odpowiedział nam na pewne wątpliwości, które od dawna dręczyły porucznika Dziarmagę. Chodzi o plamy opadowe ma zwłokach. Państwo nie rozumieją. Doktorze, czy możemy poprosić o mały wykład?

Doktor Baldurski, który trwał jeszcze w stanie osłupienia, drgnął nerwowo.

- Ależ tak, oczywiście - wyjąkał - a więc plamy opadowe... plamy opadowe, proszę państwa. Cóż to są plamy opadowe? Po śmierci człowieka krew przestaje krążyć i na skutek siły ciężkości gromadzi się w najniższej położonych częściach zwłok. U wisielców na przykład spływa do nóg, u topielców do głowy i tworzy tam plamy, sino-czerwone plamy. Kiedy zwłoki leżą na wznak, plamy tworzą się na plecach, kiedy zaś leżą twarzą do ziemi, pojawiają się na piersiach i brzuchu, oczywiście w miejscach nie uciśniętych... w miejscach nie uciśniętych, proszę państwa. Jak sprawa wyglądała u mojego pacjenta. Mój pacjent miał plamy opadowe na plecach, co jest zrozumiałe, ponieważ znaleziono go leżącego na wznak. Ale mój pacjent miał jeszcze oprócz tego mniej wyraźnie zaznaczone sinoczerwone plamy na piersiach i brzuchu, które zbyt pochopnie i mylnie, gruntownie mylnie, wzięto za sińce od uderzeń. Trudno się temu dziwić, ponieważ te plamy rzeczywiście do złudzenia przypominają pospolite sińce, a cała uwaga ekspertów skupiła się na sekcji i analizie chemicznej wnętrzości zwłok, gdyż od początku domniemywano otrucie.

Co do mnie, proszę państwa, odrzuciłem tę hipotezę jako absurdalną i dlatego być może zwróciłem uwagę na te plamy... na te dziwne sińce na przedniej stronie zwłok. Po gruntownym zbadaniu trupa stwierdzam kategorycznie: to są także plamy opadowe.

Powołana na prośbę porucznika Dziarmagi specjalna komisja wybitnych rzeczoznawców potwierdziła moją opinię. Protokoły znajdują się w aktach sprawy.

Zachodzi teraz istotne pytanie: skąd się wzięły te plamy opadowe na piersiach i brzuchu ofiary, skoro zwłoki znaleziono w pozycji na wznak. Odpowiedź jest tylko jedna i bardzo prosta. W chwili śmierci zwłoki leżały na piersiach, a dopiero potem pozycja ich została zmieniona. Kiedy bowiem zmienia się położenie zwłok, krew przemieszcza się zgodnie z prawem ciężkości do miejsc niżej położonych, ale ślady po pierwszych plamach zostają.

- A więc, proszę państwa, ktoś ruszał... prznosił lub przewracał zwłoki. Jednakże...

Trepka powstrzymał lekarza.

- No i co pani na to, panno Krystyno.

Krystyna Parytet ukryła twarz w dłoniach.

- Panowie, ja nie zabiłam... Wiem, że nikt mi nie uwierzy, ale ja nie zabiłam...

Opowiem wszystko, jak było. Kiedy wróciłam do domu, znalazłam Leona nieżywego w moim mieszkaniu... To było okropne! Leżał na podłodze w płaszczu twarzą do ziemi. Koło niego zauważyłam strzykawkę i rozbity flakon z gliceryną. Padając musiał go strącić z mojej toaletki. Zastygłał oniemiała. Nie tylko dlatego, że on leżał martwy, ale że w ogóle był... rozumie pan, że był w moim pokoju. Przecież telefonował do mnie kwadrans temu z Saskiej Kępy i nie mógł przede mną znaleźć się w domu.

Drzwi były zamknięte. W mieszkaniu oprócz tej rozlanej gliceryny żadnych śladów. I ta strzykawka. Nie wiedziałam, co robić. Przez pierwsze kilkanaście minut w ogóle nie mogłam myśleć. A potem zdjął mnie strach. Kto uwierzy w samobójstwo albo wypadek? Zaczną się dochodzenia, śledztwo, plotki. Martwy mężczyzna w moim pokoju. Między nami nie wszystko układało się jak należy. Mogą mnie pociągać do odpowiedzialności. Strach narastał. On był silniejszy od wszystkiego. Wiedziałałam, że muszę się pozbyć trupa. Za wszelką cenę pozbyć się trupa z mojego mieszkania. Zatrzeć wszystkie ślady, żeby nikt me mógł się domyślić, że on był u mnie. Na płaszczu Leona zauważyłam plamę, tłustą plamę po glicerynie. Pomyślałam, że to mnie może zdradzić. Więc wyczyściłam ją benzyną. A potem wyciągnęłam zwłoki za drzwi na taras... a z tarasu po schodach do ogrodu.

Kiedy wróciłam do siebie, schowałam strzykawkę, wytarłam klamkę, drzwi, stolik, wszystkie gładkie powierzchnie, na których mogłyby być odciski palców Postura, bo czytałam w książkach, że milicja zawsze szuka odcisków.

Martwiła mnie tylko ta strzykawka. Kiedy się dowiedziałam, że to jest rzeczywiście morderstwo i że zabójca zabrał Leonowi klucze do mojego mieszkania, postanowiłam pozbyć się tego podejrzanego dowodu i umieściłam go na drzewie.

- Dlaczego na drzewie?

- Żeby jakoś odwrócić uwagę milicji, zdawało mi się, że w ten sposób nikt nie domyśli się, że to ja... Ja wiem, panowie, że to wszystko zrobiłam głupio i tylko się zaplątałam niepotrzebnie w tę sprawę, ale ta śmierć... to morderstwo... wszystko tak podziało na mnie, że straciłam głowę.

Filip przypatrywał się jej bystro.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

- Myślę - wycodził.

- Co pan myśli? - wykrztusiła przerażona. - Pan mi nie wierzy, pan myśli, że ja...

- Myślę, że pani zrobiła znaczne postępy w sztuce aktorskiej, panno Parytet.

- W sztuce aktorskiej?

- Ale mimo wszystko - ciągnął Filip - nie mogę pani oklaskiwać. Gra jest dobra, ale tekst kiepski. Nie powinna pani marnować talentu na tego rodzaju mizerne sztuczki.

- Mizerne sztuczki? Boże, wiedziałam, że tak będzie, wiedziałam, że to mnie musi spotkać. Nikt mi nie uwierzy... Nikt - otarła łzy z oczu.

- Ależ nie - przerwał jej Trepka - przeciwnie. Wierzymy pani.

- Jak to? - Filip zerwał się z miejsca.

- Panna Krystyna powiedziała prawdę. Szkoda, że tak późno, dziecino - rzekł smutno, zwracając się do dziewczyny. - Przez ten brak zaufania o mało nie powędrowała pani na ławę oskarżonych i skomplikowała pani niepotrzebnie śledztwo.

- Pan naprawdę wierzy, że nie zabiłam? - zapytała przez łyzy.

- Oczywiście, mamy na to dowody. Proszę dalej, doktorze.

Doktor Baldurski odchrząknął.

- Jak powiedziałem, kiedy zmienia się pozycję zwłok, krew przemieszcza się zgodnie z prawem ciężkości do miejsc najniżej położonych. A więc przykładowo zwłoki leżące na brzuchu i odwrócone na wznak utracą plamy opadowe na piersiach i brzuchu, a zyskają plamy opadowe na plecach i na odwrot. Jednakże - doktor uśmiechnął się do Krystyny - jednakże to przemieszczenie może nastąpić tylko w pewien, czas po zgonie. Zwykle w okresie do sześciu godzin od chwili śmierci. Po tym czasie plamy przemieszczają się, ale nie całkowicie.

Zostawiają na poprzednim miejscu sino-czerwone, takie właśnie, jak te, ślady, które u mojego pacjenta wzięto omyłkowo za sińce. Pani - zwrócił się do Krystyny - popełniła z punktu widzenia przestępcy błąd, który ją zdemaskował. Zapomniała pani przenosząc zwłoki ułożyć je w tej samej pozycji, co poprzednio, to znaczy twarzą do ziemi. Pani położyła je na wznak. Plamy na piersiach pozostały i wszystko się wydało.

- A z tego jeden zasadniczy i kapitalny wniosek dla śledztwa - podjął Trepka - skoro mimo zmiany pozycji zwłok plamy nie znikły, wskazuje to bezspornie na fakt, że zgon Leona Postura nastąpił co najmniej sześć godzin przed przeniesieniem zwłok, czyli koło godziny osiemnastej, a to zmienia zupełnie obraz sprawy.

- To absurd! - zerwał się Antoni Bujwid Żurawski. - Zupełny absurd! Nie kompromitujcie, panowie, medycyny. Ja go przecież widziałem. Widziałem Postura jeszcze o godzinie za pięć jedenasta. Pan mi sugeruje kłamstwo.

- Rzeczywiście, coś tutaj nie gra - zauważył Mohylny. - Rozmawiałem z Leonem jeszcze o jedenastej. Spotkałem go w drzwiach łazienki.

- Miałem z nim telefoniczną rozmowę koło jedenastej - dodał podniecony Melassa.

- Poza tym - mruknął zdenerwowany Filip - temperatura zwłok wskazywała niedwuznacznie, że zgon mógł nastąpić najwcześniej około jedenastej.

- Temperatura! - machnął pogardliwie ręką Trepka. - Zapominasz, że zwłoki leżały około sześciu godzin w bardzo ciepłym pokoju. W tych warunkach ochłodzenie następowało powoli. Bardziej ciekawie przedstawiają się zeznania tych panów. Kiedy ktoś twierdzi, że słyszał denata o godzinie jedenastej, można wątpić, czy się nie przesłyszał. Ale kiedy dwu świadków zgodnie zeznaje, że widzieli zmarłego na własne oczy, to sprawa jest poważna i należy ją zbadać. Czy pan jest pewny, Mohylny, że pan widział Postura w łazience?

- Jasne. - Przecież nie jestem ślepy. Zresztą rozmawiałem z Leonem. Skarżył się na bóle. Odradzałem mu jeszcze ten wyjazd na Bielany.

- Dziwne... - mruknął Trepka. - I pan też, panie Antoni, widział Leona Postura?

- Tak jest, panie kapitanie.

- No cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak wyprosić państwa za drzwi.

- Co takiego? - oburzył się starzec.

- Zrobimy małe doświadczenie. Pan będzie łaskaw zostać sam w pokoju i ustawić wszystko tak, jak było w czasie pańskiej ostatniej wizyty u Postura. Wychodzimy, proszę państwa.

Trepka wypchnął towarzystwo z pokoju.

Przez chwilę słychać było krzątanie się Antoniego Bujwida Żurawskiego za drzwiami, po czym starzec uchylił drzwi.

- Gotowe, panie Antoni? - zapytał kapitan.

- Tak jest, ale nie rozumiem...

- Zaraz pan zrozumie. Proszę zostać na chwilę ma korytarzu z porucznikiem Dziarmagą. Wszyscy pozostali wrócą do pokoju.

Zebrani przyglądali się w zdumieniu zmianie, jaka zaszła w mieszkaniu Postura. Uwagę zwracały przede wszystkim manekiny ustawione w równym szeregu od stolika z radiem do szafy z książkami, przez całą szerokość pokoju.

- Proszę zatrzymać się przy drzwiach - powiedział Trepka do gości. - Panowie Melassa i Mohylny pozwolą za mną - to mówiąc odsunął na moment jeden z manekinów i zrobił przejście.

Kiedy znaleźli się na drugim końcu pokoju, Trepka zwrócił się do Melassy.

- Pan będzie łaskaw zająć miejsce w fotelu Leona Postura. Tutaj, koło palmy.

- Ja? Ale dlaczego? - wykrztusił przerażony Melassa.

- Powiedziałem, że zrobimy małe doświadczenie.

- Ależ dlaczego ze mną, kapitanie?

- Zdawało mi się, że pan ma specjalne zdolności dramatyczne i dobrze odegra pan tę scenę.

- Scenę?

- Tak, chodzi o inscenizację pewnej znanej bajki. Zna pan zapewne bajkę o Czerwonym Kapturku?

- Nie rozumiem - zbladł Melassa.

- To przecież takie proste. Czerwony Kapturek też myślał, że widzi swoją babcię w łóżku, ale to był wilk, wilk, który pożarł babcię i ubrał się w jej koszulę. Zdaje mi się, proszę państwa, że w naszej sprawie zdarzyło się coś podobnego. Zbrodniarz, który zamordował Leona Postura, przebrał się w jego okulary i szlafrok, by odegrać rolę swojej ofiary wobec Czerwonego Kapturka. Oczywiście Czerwonym Kapturkiem był w naszym wypadku czcigodny Antoni Bujwid Żurawski. Chodziło o stworzenie dowodu, że o godzinie pół do jedenastej ofiara zbrodni pozostawała jeszcze przy życiu.

- To chyba niemożliwe - zauważył osłupiały Mohylny.

- Dlaczego niemożliwe? W tym oświetleniu? W tej sytuacji? Niech pan spojrzy tylko. Manekiny tak ustawione zagrażają dostęp do fotela. Antoni Bujwid Żurawski oglądał rzekomego Postura z odległości co najmniej pięciu metrów. Światła w pokoju były zgaszone. Paliła się tylko mała lampa zaciemniona wielkim abażurem. Postać, którą widział, siedziała w głębokim fotelu. Widać było tylko kawałek czarnego szlafroka i okulary. Niemal cała twarz pozostawała w cieniu. Pamiętajmy, że koło fotela stoi rozłożysta palma. W tej sytuacji nikomu przez myśl by nie przeszło, że na fotelu może siedzieć kto inny niż Leon Postur. A skoro widział jego szlafrok, jego okulary i beret, ma prawo twierdzić i upierać się, że widział go rzeczywiście.

- Ale przecież głos... - zaoponował Mohylny.

- Głos można łatwo podrobić. Zwłaszcza jeśli się ma pewne uzdolnienia w tym kierunku, nieprawdaż panie Melassa?

- Ja nie mam takich uzdolnień. Ja w ogóle nie rozumiem, czemu mnie pan miesza do tej historii, która wydaje mi się jakąś makabryczną bzdurą - sapnął Melassa.

- Horrendalną bzdurą - zaszydził Mohylny. - Kogo pan chce nabrać na te bajeczki o Czerwonym Kapturku, kapitanie?

- Bajeczki?! - wykrzyknął Trepka. - Niech no pan wobec tego ściągnie swoje ubranie i wyjmie fajkę z ust.

- Pan chyba oszalał.

- Niech pan robi, co każe. Przebierzemy pana Melassę w pana ubranie, włożymy mu pańską fajkę w zęby i wpuścimy tu naszego miłego staruszka. Gotów jestem założyć się, że siedzącą w fotelu postać weźmie za pana, panie Mohylny.

Mohylny stał nieruchomo gryząc fajkę w zębach.

- Pan się waha?

- Oh nie, bynajmniej. Jestem do pana dyspozycji - Mohylny rozpiął marynarkę i rozejrzał się z zażenowaniem po pokoju.

- Może przejdziemy za parawan, krępuję się - szepnął do Trepki.

- Proszę bardzo.

Zniknęli obaj za parawanem.

- Przekonał mnie pan - szepnął Mohylny. - Doskonałe zagranie.

- Czy pan wszystko zrozumiał? - zapytał Trepka patrząc na niego uważnie.

- Zdaje się, że wszystko, kapitanie - rzekł Mohylny.

- A więc?

- Przykro mi - szepnął Mohylny.

- Dlaczego?

- Przykro mi bardzo, Trepka, ale to pański ostatni występ.

- Nie może być, przyjacielu?

- Za daleko pan zajechał, Trepka, trzeba wysiadać.

- Tym razem ja pana arie rozumiem, przyjacielu.

- A teraz? - Mohylny wyrwał gwałtownie rękę z kieszeni marynarki. Trzymał w niej pistolet. Wbił go w brzuch Trepce.

Kapitan uśmiechnął się.

- Młodzieńcze, to daremne. Nie jestem wrażliwy na łaskotki. Schowaj tę zabawkę i nie psuj wieczoru kowbojskimi popisami.

- Bez przekomarzań, Trepka. Nie będę z wami żartował. Zrobicie teraz to, co zażądam, rozumiecie. Każcie najpierw, żeby wszyscy na chwilę opuścili pokój i wyszli na korytarz.

Trepka milczał.

- No słyszycie? Róbcie, co każę!

- Przestań mi gnieść brzuch, przyjacielu, to doprawdy jest w złym stylu. Lecz ponieważ wiem, że nie dbasz, przyjacielu, o dobry styl, powiem ci także, że to jest bezskuteczne. Zostałeś pozbawiony żądła, mój chłopcze.

- Trepka, ja nie mam czasu ma głupie żarty!

- To nie są żarty. Jak pamiętasz, w tym jednym pokoju zgromadziłem dwunastu ludzi. Był wielki ścisk przy stole, a kapitan Iwaniłło był przed wojną znakomitym iluzjonistą, zanim burzliwe koleje losu nie wyrzuciły go na niewdzięczne rafy służby milicyjnej. Specjalnością jego, mój chłopcze, jest przenoszenie, czyli, jak się to nazywa w języku magików, transferowanie przedmiotów z kieszeni jednych osób do drugich. Dlatego zostałeś skutecznie pozbawiony żądła. Twój magazynek jest pusty, drogi chłopcze, i dlatego mnie tu widzisz za tym parawanem razem z tobą, śmieszny kowboju. Czy sądzisz, że ryzykowalibyśmy inaczej tę całą zabawę w Czerwonego Kapturka? Ja piekielnie nie znoszę ryzyka, mój chłopcze.

- Łżesz! Bluffujesz! Chcesz zyskać na czasie. Ale ja cię...

Z pokoju dały się słyszeć niecierpliwe głosy.

- Co, u licha, robicie tak długo za parawanem?

- Zobaczcie no, Filip, co się z nimi stało? - rozkazał zdenerwowany pułkownik.

- Tak jest, pułkowniku - odparł Filip.

Dał się słyszeć stukot odsuwanych manekinów.

- Zapłacisz mi za wszystko, ty łysy diable! - Mohylny nacisnął spust pistoletu. Iglica stuknęła głucho. Mohylny zaklął, odepchnął Trepkę i rzucił się do okna.

Kobiety krzyknęły przeraźliwie. Filip rzucił się do niego, ale Mohylny obalił go jednym pchnięciem na podłogę. W następnej chwili rozległ się brzęk szyby.

- Uciekł drań - jęknął Filip podnosząc się z podłogi.

- Nie ma obawy, mój chłopcze. I to było przewidziane - Trepka poprawiał krawat. - Chciałem dać sposobność temu zdolnemu młodzieńcowi wykazania jego nieprzeciętnych umiejętności. Sądzę, że nie weźmiesz mi tego za złe, Filipku.

Z balkonu wyjrzała księżycowa twarz kaprała Kajtusa.

- Gotowe, kapitanie.

- Doskonale, odwieźć na miejsce spoczynku. Czy fajka nie zginęła?

- Mamy i fajkę, kapitanie.

- Dajcie ją tutaj razem a marynarką. Musimy przecież dokończyć nasz mały eksperyment, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik.

XXXV. EPILOG, CZYLI ZAPIĘCIE NA OSTATNI GUZIK

Antoni Bujwid Żurawski wpadł podniecony do pokoju i zatrzymał się przed rzędem manekinów. - Skończmy już z tą komedią, kapitanie.

- Już kończymy. Zadam panu naprawdę ostatnie pytanie. Kto siedzi na fotelu pod palmą?

- Sąsiad Mohylny - odparł bez zastanowienia Antoni Bujwid Żurawski.

- Dziękuję państwu - rzekł Trepka - eksperyment skończony.

Melassa zerwał się wzburzony z fotela i rzucił mą w kierunku Antoniego Bujwida Żurawskiego przewracając po drodze manekiny.

- Pan jest ślepcem! - zasapał. - Niech pan się zapisze do związku ociemniałych, a ja panu kupię białą laskę.

Cisnął pod nogi starca fajkę i marynarkę Mohylnego.

Antoni Bujwid Żurawski osłupiał.

- Pan Melassa? - wyszeptał. - Bardzo przepraszam, ja naprawdę mam ostry wzrok, ale kiedy w grę wchodzi teatralne sztuczki...

- Ostrowidz! - krzyknął Melassa. - Czy pan nie rozumie, że dzięki panu omal nie zadyndałem na sznurku? Pan się stał niebezpiecznym narzędziem. Nad wyraz niebezpiecznym narzędziem w ręku mordercy.

Trepka uznał za wskazane interweniować.

- Niesłusznie pan atakuje pana Antoniego, Melassa. W tych okolicznościach nie sposób było nie poddać się złudzeniu. Pan sam przecież „rozmawiał” z Leonem Posturem w cztery godziny po jego śmierci.

- Doskonale, kapitanie - rzekł zadowolony pułkownik Wadera. - Czy możecie już teraz zrekonstruować rzeczywisty przebieg wypadków?

- Oczywiście. Sprawa jest w gruncie rzeczy prosta. Mohylny jako sąsiad i przyjaciel Leona Postura był dobrze wtajemniczony we wszystkie jego sprawy. W sobotę wieczorem Postur miał kupić simcę. Mohylny postanowił wtedy zrealizować swój plan, z którym się nosił od dawna i czekał tylko na sprzyjające okoliczności. Okoliczności takie zaistniały. Transakcja miała się odbyć na Bielanych. Na Bielanych mieszkała także panna Krystyna, z którą obu przyjaciół łączyły zażyłe stosunki towarzyskie. Ostatnio na skutek zawarcia przez Leona Postura bliższej znajomości z panną Mary Johnson wystąpiły pewne komplikacje w tych stosunkach. Niech mi obie panie darują, ale zdaje mi się, że Leon Postur miał poważne trudności z dokonaniem wyboru - chrząknął z zakłopotaniem Trepka - to znaczy, chciałem powiedzieć, że młody człowiek wahał się w swych uczuciach.

- Chce pan powiedzieć: nie wiedział, której z nas sprawić tę niespodziankę z samochodem? - wycodziła pochmurnie Krystyna.

- Niespodziankę z samochodem i wyjazdem do Zakopanego, dziecino - dodał łagodnie Trepka. - Jak powiedziałem, krytycznego wieczoru Postur wahał się... Śmierć tragiczna uwolniła go od konieczności podjęcia tej niezwykle trudnej, zważywszy na powaby obu pań, decyzji.

- Czyżby? - uśmiechnęła się drwiąco Mary. - Zdaje się, panno Parytet, że ten dylemat dawno był rozstrzygnięty. Leon miał tylko odprowadzić panią do teatru i przedstawić ją reżyserowi Kalinie, a potem powrócić na Bielany, spotkać się ze mną w „Zorzy” i pójść po samochód. Czyż nie tak, kapitanie?

- Być może...

- Przepraszam - przerwała Krystyna - ale Leon mówił mi wyraźnie o dwu niespodziankach. Tą drugą na pewno miał być wyjazd. Niech pan wyjaśni to tej pani, kapitanie.

- I to jest możliwe - zgodził się Trepka rozkładając bezradnie ręce. - Mimo mojej długoletniej praktyki, dziecino, tej zagadki rozwiązać nie jestem w stanie. Te sprawy wymagają osobnych studiów, studiów, że tak powiem, specjalnych.

- Miłe panie - zdenerwował się Wadera - wracajmy do rzeczy! Kapitanie Trepka, kontynuujcie.

- Od chwili kiedy dowiedział się o zawartej transakcji, Mohylny pilnuje sąsiada. Podśłuchuje ranną rozmowę telefoniczną Postura z Krystyną. Być może był wtedy u Postura w pokoju, sam aranżował to „pogodzenie” dawnych przyjaciół. O godzinie siedemnastej pani Krystyna jest na lekcji śpiewu. Mohylny włącza się do akcji. Podrabiając głos Postura, dzwoni do pani, panno Krystyno. Treść telefonu znamy. W wyniku tej rozmowy, zamiast powrócić do siebie, idzie pani do fryzjera, a potem do teatru. Aby upewnić się, że pani nie zmieniła zamiaru, Mohylny czeka na panią pod domem profesor Olewiczowej na Nowym Świecie, udaje, że chce panią zabrać do kina. Pani odmawia wyjaśniając, że śpieszy na spotkanie z reżyserem Kaliną. Mohylny jest teraz stuprocentowo pewny, że pani nie wróci przed jedenastą do domu, i może śmiało przystąpić do wykonania zbrodniczego zamiaru.

Jedzie szybko na Bielany. Leon Postur czeka tam już na panią w jej mieszkaniu, w willi Rettingerów.

- A gdybym jednak nie poszła wtedy do fryzjera i do teatru? - zapytała Krystyna.

- Wtedy prawdopodobnie, morderstwo nie doszłoby do skutku - odparł Trepka. - Mohylny, widząc to po jego zachowaniu, chciał zagrać na pewniaka. Chłopiec ten mimo wszystko nie był przecież mordercą zawodowym, do zbrodni zachęciły go wyjątkowo nęcące okoliczności. Znalazł się w aurze tego, co określam *conditiones criminis*. Dalej wypadki potoczyły się szybko. Mohylny wchodzi do pani mieszkainia, obezwładnia Postura dzięki umiejętności dżudżitsu, a następnie dusi go i zabiera pieniądze. A propos - zwrócił się do Melassy - czy to nie Mohylny nakłonił pana do uprawiania tych japońskich ćwiczeń?

- Owszem - zmieszał się Melassa. - Mohylny celował w dżudżitsu i zainteresował mnie tą dyscypliną. Kupiłem nawet podręcznik.

- Załatwiwszy w ten sposób swą ofiarę - ciągnął Trepka - Mohylny dla zmylenia nas położył przy zwłokach strzykawkę. Wiedział, że choroba Postura wymagała stosowania iniekcji, i chciał zasugerować nam otrucie jako przyczynę śmierci. Zabrawszy następnie pieniądze, okulary i klucze ofiary opuścił pokój.

- Zaraz - przerwał zaaferowany Filip - przecież pan Melassa, gdy zjawił się tam o dziewiątej, zastał drzwi do pokoju zamknięte. W jaki więc sposób Mohylny zamknął je na klucz, skoro klucz pozostał w kieszeni płaszcza Postura?

- To bardzo proste - wyjaśnił Trepka. - Mohylny zamknął najpierw drzwi, potem klucz schował z powrotem do kieszeni Postura.

- No to jak wyszedł z pokoju?

- Przez okno na taras. Następnie przymknął okno, tak że panna Krystyna po swoim powrocie nie zorientowała się nawet, że okno było otwierane. Czyż nie tak? - zwrócił się do Parytetówny.

- Jestem taka roztrzępana - zaczerwieniła się Krystyna - że nigdy nie zwracam na takie drobiazgi uwagi. Nie pamiętam nawet dobrze, czy zamykałam okno przed wyjściem.

- A oto co robi dalej Mohylny. Po rozstaniu z panem Melassą wraca na Saską Kępe, wchodzi do pokoju Postura, przebiera się w szlafrok i beret ofiary, zakłada jego okulary, rozciera pastę w pokoju i przestawia manekiny w ten sposób, by zagrozić drogę od drzwi do fotela. Następnie nastawia głośno muzykę na adapterze, siada na fotelu pod palmą i spokojnie czeka na nieuchronną interwencję pana Antoniego Bujwida Żurawskiego. W międzyczasie jeszcze odbiera niespodziewany telefon. Dzwoni pan Melassa. Chce rozmawiać z Posturem. Mohylny łatwo podejmuje rolę i udając głos Postura umawia się z panem, panie Melassa, na godzinę jedenastą w willi Rettingerów. Oczywiście chodzi mu o to, żeby sprowadzić pana na miejsce zbrodni i skierować, na pana podejrzenie.

- No, a gdybym ja ścierpiał tę piekielną muzykę i nie wyszedł? - zapytał Antoni Bujwid Żurawski.

- Przypuszczam - odparł Trepka - że wtedy morderca znalazłby inny sposób na wywabienie pana z pokoju, ponieważ pan, panie Antoni, grał w jego planach zasadniczą rolę. Pan musiał zobaczyć Leona Postura żywego około godziny jedenastej. To miało „niezbitym” dowodem, że Postur został zamordowany dopiero po jedenastej, a morderca przygotował sobie na ten czas zręczne alibi. W razie zaś, gdyby się pan wypierał swojej obecności w pokoju ofiary, ślady pasty, które pan zostawił w korytarzu, miały pana zdemaskować w oczach milicji. Wszystko odbyło się zgodnie z planem mordercy i pozostała tylko ostatnia scena do odegrania. Zapewnienie sobie owego fałszywego alibi w godzinach od jedenastej do dwunastej, to znaczy w domniemanym czasie śmierci Postura. W tym celu, jak wiemy, Mohylny posłużył się zażyłą znajomością z Gosią Pontyską, zamieszkałą w sąsiedztwie, i spędził u niej noc, nie maskując się zbyt i dając się rozpoznać Alicji, służącej Pontyskich, aby w razie komplikacji i ona mogła zaświadczyć, że był w tym czasie w willi mecenasa. Inne okoliczności nieprzewidziane, jak działalność Andrzeja Rettingera, zachowanie się pani Dopustowej i pana, panie Melassa, również ułożyły się dla niego pomyślnie. Reszta jest chyba jasna i zrozumiała.

- Z wyjątkiem jednego - rzekł pochmurnie podporucznik Filip. - W jaki sposób wpadliście na myśl, że wtedy w sobotę wieczorem pan Antoni rozmawiał z Mohylnym, a nie Posturem?

- Zaczęłem od wątpienia. Wszystko poddawać w wątpienie, aby móc się wyzwolić z magii pozorów, oto jedyna droga, mój chłopcze. Dlatego nie zawahałem się zwątpić w tę scenę. Zwłaszcza gdy od razu stanęliśmy przed pytaniem, co się stało z okularami i kluczem od mieszkania ofiary. Oczywiście mogły zginąć przypadkowo. Lecz ja nie ufam przypadkom i dlatego sformułowałem pytanie inaczej. Zapytałem: po co były potrzebne mordercy okulary i klucz Postura? Czemu je zabrał? Głowiłem się nad tym od początku, a w niespodziewany sukurs przyszło mi tych oto pięciu milczących świadków - Trepka pokazał na manekiny. - Kiedy zrozumiałem, w jakim celu je przestawiono, sprawa stała się jasna. Był tylko jeden szkopuł - czas. Czas śmierci ustalony przez ekspertów psuł mi całą koncepcję. Na szczęście plamy opadowe krwi, na które zwrócił uwagę mój przyjaciel Dziarmaga, i ekspertyza doktora Baldurskiego wyjaśniły tę kwestię. W ten sposób manekiny awansowały do roli dowodu.

- Więc jednak manekiny - westchnął Filip.

- Tak jest, mój chłopcze. Pięć manekinów.

SPIS TREŚCI

- I. Antoni Bujwid Żurawski chce spać
- II. Godzina 24.00, Bielany, willa Rettingerów
- III. Start Hipolita Żurki
- IV. Apolonia Dopustowa
- V. Krystyna Parytet
- VI. „Gołębnik”

- VII. Piotr Mohylny
- VIII. Nitka z samodiała
- IX. Żurko i medycyna
- X. Strzykawka, czyli rekwizyt grający
- XI. Powrót truciciela
- XII. Porucznik Żurko niecierpliwi się
- XIII. Iwaniłło i zbrodnia techniczna
- XIV. Simca-aronde
- XV. Żurko w Poliklinice
- XVI. „Zielony Pawilon”, czyli czym się zajmują filozofowie
- XVII. Tadeusz Melassa
- XVIII. Czyżby człowiek-pająk
- XIX. Panna Gosia
- XX. Bagno 37
- XXI. Koledzy Tatomira
- XXII. Exodus Dopustowej
- XXIII. Spotkanie w „Gołębniku”
- XXIV. Podporucznik Filip i syntetyczne myślenie
- XXV. Piąty manekin
- XXVI. Piąty manekin-bis?
- XXVII. Więc ja mam być trzeci!
- XXVIII. Co robiła Mary Johnson w nocy?
- XXIX. Zagadnienie tańczącej froterki
- XXX. Obława
- XXXI. Antoni Bujwid Żurawski wybiera się do więzienia
- XXXII. Czwarty manekin
- XXXIII. Konfrontacja
- XXXIV. W cztery oczy z mordercą
- XXXV. Epilog, czyli zapięcie na ostatni guzik

Okładkę projektował JERZY KĘPKIEWICZ

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1959. Wydanie I

Nakład 50 000 egz. Obj.: 14,5 „ark. wyd., 20,5 ark. druk. Papier druk. mat. TO W. 70 g. (z fabryki w Częstochowie), format 70x10032. Oddano do składu 16.IV.1959 r. Podpis. do druku 17.IX.1S59. Druk ukończ. w listopadzie 1959 r. Zam. nr 713. Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie W-80.

Cena zł 22-